FALK:
WSPOMNIENIE

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

TOM VIII

FALK: WSPOMNIENIE

AMY FOSTER, JUTRO

WARSZAWA 1932

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

JOSEPH CONRAD

F A L K

WSPOMNIENIE

AMY FOSTER, JUTRO

TŁUMACZYŁA Z ANGIELSKIEGO

ANIELA ZAGÓRSKA

WARSZAWA 1932
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3200 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY

№ 560

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ. SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka.
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

ROBERTOWI B. CUNNINGHAME GRAHAM

Przedmowa ta odnosi się również i do utworu pod tytułem „Tajfun“, który ukazał się już w tomie oddzielnym.

PRZEDMOWA AUTORA

Główną cechę niniejszego tomu stanowi to, że zawarte w nim nowele nietylko należą do jednego i tego samego okresu, ale zostały napisane jedna po drugiej, w porządku, w którym ukazują się w książce*.

Ów okres przypada na czas po nawiązaniu przezemnie stosunków z Blackwood's Magazine. Skończyłem był właśnie „U kresu sił“ i rozglądałem się za jakimś tematem, któryby można było rozwinąć w formie krótszej niż opowiadania składające się na tom „Młodości“; wówczas to nasunęło mi się wspomnienie o parowcu pełnym kulisów, wracających z Singapuru do jakiegoś portu w północnych Chinach. Słyszałem o tem na wschodzie przed laty, jako o niedawnem wydarzeniu. Był to dla nas tylko jeden z licznych tematów do rozmowy. Ludzie, zarabiający na chleb w jakimkolwiek bardzo specjalnym zawodzie, mówią o jego sprawach nietylko dlatego, że to stanowi najistotniejszą treść ich życia, ale i dlatego, że mało mają wiadomości z innego zakresu. Nie starczyło im nigdy czasu aby się z czem innem obeznać. Dla większości z nas życie bywa dozorcą nietyle twardym co wymagającym.

Nie zetknąłem się osobiście z żadną z osób zamięszanych w tę historję, która nie zajmowała nas naturalnie z powodu burzy, ale ze względu na niezwykłe

---

* W wydaniu angielskiem nowele ukazały się w następującym porządku: „Tajfun“, „Amy Foster“, „Falk“, „Jutro“.

komplikacje wprowadzone do życia okrętu — w chwili wyjątkowych jego wysiłków — przez ludzki żywioł znajdujący się pod pokładem. Nigdy tej sprawy szerzej przy mnie nie omawiano. Wśród tamtej naszej kompanji każdy mógł sobie łatwo wyobrazić, jak się owa historja odbyła. Finansowe jej trudności, zawierające również i problem humanitarny, zostały rozwiązane przez umysł tak prosty, że nic na świecie nie mogło go wprawić w zakłopotanie — wyjąwszy próżną ludzką gadaninę, do której nie był stworzony.

Od pierwszej chwili sama treść tego zdarzenia, samo — powiedzmy — stwierdzenie faktu, że się taka rzecz stała na szerokiem morzu, wydało mi się dostatecznym tematem do rozmyślań. Ale właściwie był to przecież tylko fragment morskiej opowieści. Czułem że aby wydobyć z niego głębsze znaczenie — tak dla mnie oczywiste — trzeba jeszcze czegoś więcej, czegoś innego: przewodniego motywu, któryby sharmonizował wszystkie te ogłuszające hałasy — i punkt widzenia, któryby wyznaczył rozpętanym żywiołom miejsce dla nich właściwe.

Tem, czego potrzebowałem, był naturalnie kapitan MacWhirr. Skoro go tylko dostrzegłem, pojąłem że to jest właśnie człowiek odpowiedni do danej sytuacji. Nie chcę przez to powiedzieć, abym widział kiedy na własne oczy kapitana MacWhirra, czy też zetknął się z jego poziomym umysłem i nieustraszonym charakterem. MacWhirr nie jest dla mnie znajomością. Jest wytworem dwudziestu lat życia. Mojego własnego życia. Świadoma inwencja odegrała w tem rolę nieznaczną. Jeśli prawdą jest, że kapitan MacWhirr nigdy po tej ziemi nie chodził (osobiście niezmiernie mi trudno w to wierzyć), mogę natomiast zapewnić mych czytelników, że jest

najzupełniej autentyczny. Ośmielam się twierdzić to samo o wszystkich szczegółach opowiadania, a jednocześnie wyznaję, że tajfun z noweli nie jest tajfunem z mych przeżyć osobistych.

Po ukazaniu się tej noweli niektórzy krytycy uznali ją z miejsca za planowy opis burzy. Inni wysunęli na pierwszy plan MacWhirra, w którym wyraźnie dostrzegli umyślny symbol. Ani jedno ani drugie nie było moim wyłącznym celem. I tajfun, i kapitan MacWhirr — oba te motywy były dla mnie niezbędne, abym mógł z głębokiem przekonaniem przystąpić do pracy nad tematem noweli. Okoliczności im sprzyjały. A i mnie sprzyjały także; lecz pocóż rozwodzić się nad tem, jak rozwinąłem swój temat na tych oto kartkach, skoro leżą przede mną, objęte okładką książki, i będą mówić same za siebie.

Ta refleksja jest nieco spóźniona. Gdyby wcześniej przyszła mi na myśl, byłaby może zapobiegła powstaniu mojej przedmowy, ponieważ tę samą uwagę można zastosować do wszystkich nowel niniejszego tomu. Żadna z nich nie jest przeżyciem osobistem w dosłownem znaczeniu. Przeżycie jest w nich tylko kanwą dla zamierzonego obrazu. Wszystkie mają więcej niż jeden cel; każda nasuwa pytanie, jak się autor wywiązał z nastręczającego mu się zadania i każda odpowiada w słowach, które — jeśli mogę tak się wyrazić bez niewczesnej emfazy — pisałem ze świadomym szacunkiem dla prawdy mych własnych uczuć. A każda z tych nowel — aby nabrać odpowiedniego znaczenia — musi usprawiedliwić się po swojemu przed każdym z czytelników.

„Falk", drugi z rzędu utwór w książce, uraził delikatność conajmniej jednego z krytyków przez pewne

osobliwości tematu. Ale co jest tematem Falka? Tak bardzo tego pewien nie jestem. Czytelnik musi sam to wynaleźć. Pisząc „Falka“, nie miałem zamiaru kogokolwiek gorszyć. Jak w większej części mych książek, chodzi mi tu mniej o same wypadki niż o wpływ, który wywierają na osobach z noweli. Ale we wszystkiem, co napisałem, jest zawsze jeden niezmienny zamiar, a mianowicie ten, aby przykuć uwagę i obudzić zainteresowanie, zdobywając sympatję czytelnika dla danego tematu — takiego czy innego — który zaczerpnąłem z zakresu widzialnego świata i ludzkich wzruszeń.

Mogę śmiało powiedzieć, że Falk jest w zupełnej zgodzie ze znanemi mi przykładami pewnych prostolinijnych charakterów, w których wrodzona bezwzględność łączy się z pewną moralną skrupulatnością. Falk jest posłuszny swemu instynktowi samozachowawczemu, nie wątpiąc ani na chwilę że ma do tego prawo, ale gdy w jego życiu, którego bronił z całą bezwzględnością, następuje moment kulminacyjny, wówczas Falk nie zniża się do zatajenia prawdy. Ponieważ przedstawiłem go jako człowieka dość wrażliwego, na którym pewne niezwykłe przeżycie wywarło wpływ niezatarty, musiałem to przeżycie plastycznie czytelnikowi pokazać; nie ono jest jednak tematem opowiadania. Jeśli weźmiemy pod uwagę same fakty, wówczas tematem noweli będą usiłowania Falka aby się ożenić. Narrator opowieści wplątany jest niespodzianie w te jego konkury, nietylko z powodu bezwzględności Falka ale i delikatnych jego uczuć.

„Falk“ — na równi z drugą moją nowelą zatytułowaną „Powrót“ (z „Opowieści Niepokojących“) — wyróżnia się tem, że nigdy nie był drukowany w odcinku. O ile pamiętam, „Falk“ znalazł się w rękach redaktora

pewnego przeglądu, który to redaktor odrzucił z oburzeniem rękopis na tej jedynie podstawie, że „dziewczyna nie odzywa się ani razu“. To jest najzupełniejsza prawda. Od początku aż do końca bratanica Hermanna nie wypowiada ani jednego słowa — i to nie dlatego aby była niemową, ale z tej prostej przyczyny, że ilekroć narrator może ją obserwować, dziewczyna albo nie ma okazji do mówienia, albo zanadto jest wzruszona by się odezwać. Redaktor ów, który widocznie nowelę przeczytał, byłby mógł to sam zauważyć. Ale nie zauważył, ja zaś powstrzymałem się od wykazania mu, że inaczej być nie mogło; przecież nie ośmielił się twierdzić, że postać dziewczyny nie jest zgodna z prawdą, więc też jego oburzenie wcale mnie nie obeszło.

Pozostałe nowele wychodziły wszystkie w odcinkach. „Tajfun“ ukazał się we wczesnych numerach Pall Mall Magazine, który był wtedy redagowany przez nieżyjącego już Halketta. Przy tej sposobności zobaczyłem po raz pierwszy swoje pomysły wyrażone innemi środkami przez drugiego artystę. Maurycy Greiffenhagen umiał połączyć w ilustracjach własną, niezmiernie subtelną wizję z wiernem oddaniem natchnień pisarza. „Amy Foster“ pojawiła sią w The Illustrated London News z pięknym rysunkiem, który przedstawiał Amy w kapeluszu z wielkiem piórem, odwiedzającą rodzinę w dzień swego wychodnego i pojącą dzieciarnię herbatą.

„Jutro“ ukazało się po raz pierwszy w Pall Mall Magazine. O tej noweli powiem tylko to, że uderzyła wiele osób swą scenicznością. Namówiono mię aby ją przerobić na scenę — pod tytułem „Jeszcze jeden dzień“; jak dotychczas jest to jedyny wysiłek

mój w tym kierunku. Dodam jeszcze, że każda z czterech nowel — po ukazaniu się w książce — została uznana z różnych powodów za „najlepszą ze zbioru“ przez różnych krytyków, którzy pisali recenzje z gorącem uznaniem i zrozumieniem, z wnikliwością pełną sympatji i w tak przyjaznych wyrazach, że wdzięczność moja dla nich nie ma wprost granic.

1919 *J. C.*

FALK: WSPOMNIENIE

FALK: WSPOMNIENIE

Kilku z nas siedziało przy obiedzie w małej nadrzecznej gospodzie, nie dalej niż trzydzieści mil od Londynu i mniej niż dwadzieścia od tej płytkiej i niebezpiecznej kałuży, której ludzie z naszej nadbrzeżnej żeglugi nadają wspaniałe miano „oceanu Niemieckiego“. Wszyscy byliśmy mniej lub więcej związani z morzem. Za szerokiemi oknami roztaczał się widok na Tamizę, rozległy widok wzdłuż Lower Hope Reach. Ale obiad był ohydny i tylko oczy brały udział w rozkosznej uczcie.

Rozmowę naszą zaprawiał smak słonej wody, która dla tak wielu z nas była prawdziwą wodą żywota. Ten kto zaznał goryczy Oceanu, zachowa jej smak w ustach nazawsze. Lecz paru ludzi z naszej kompanji, rozpieszczonych przez życie na lądzie, uskarżało się na głód. Nie dało się nic przełknąć z tego jedzenia. I naprawdę, wszystko tu miało cechę dziwnej zmurszałości. Drewniana jadalnia sterczała nad błotnistym brzegiem jak nadwodne mieszkanie; deski w podłodze wydawały się zbutwiałe; zgrzybiały kelner dreptał rozczulająco tam i z powrotem przed stoczonym przez robaki, przedpotopowym bufetem; poszczerbione talerze wyglądały, jakby je wygrzebano z jakiegoś przedhistorycznego kopca w pobliżu jeziora z nadwodnemi mieszkaniami, a kotlety przypominały przeszłość bardziej jeszcze zamierzchłą. Przywodziły nieodparcie na myśl mroki pradawnych wieków, gdy pierwotny człowiek,

wyłaniając ze swej mętnej świadomości podstawy sztuki kucharskiej, przypalał kawałki mięsa na ogniu z chróstu, w towarzystwie swych zacnych kompanów; potem zaś, nasycony i szczęśliwy, zasiadał wśród obgryzionych kości, aby snuć niewyszukane opowieści o różnych przeżyciach — o głodzie, o polowaniu — a może i o kobietach!

Ale na szczęście wino okazało się równie stare jak kelner. Tedy rozsiedliśmy się wygodnie — nieco głodni lecz wcale zadowoleni — i rozpoczęliśmy niefrasobliwą gawędę. Mówiliśmy o morzu i wszelkich jego sprawach. Morze nie zmienia się nigdy, a jego sprawy — wbrew ludzkim opowiadaniom — spowite są w tajemniczość. Ale zgadzaliśmy się wszyscy, że czasy się zmieniły. I mówiliśmy o dawnych okrętach, o wypadkach na morzu, o zatonięciach statków, o pokładach ogołoconych z masztów, a także i o człowieku, który przeprowadził cało swój okręt z River Platte do Liwerpoolu pod prowizorycznym takielunkiem. Mówiliśmy o wrakach, o zmniejszonych racjach marynarskich i o bohaterstwie — a przynajmniej o tem co dzienniki nazwałyby bohaterstwem na morzu — o przejawach cnót różniących się zupełnie od bohaterstwa czasów pierwotnych. A niekiedy zapadało wśród nas milczenie i wszyscy razem wpatrywaliśmy się w rzekę.

Przejechał statek z linji Śródziemnomorsko-Wschodniej, kierując się wdół ku morzu. „Pyszne obiady jada się na tych okrętach“, zauważył któryś z naszej kompanji. Ktoś inny o bystrym wzroku wyczytał nazwę na rufie: Arcadia. „Cóż to za piękny okaz statku!“ szepnęło kilku z nas. Za okrętem jechał mały parowiec towarowy, zaś flaga, którą właśnie podniesiono, wskazywała że jest to statek norweski. Parowiec wy-

puścił mnóstwo dymu, a nim wiatr zwiał go zupełnie, pojawił się przed oknami krótki, drewniany bark o wysokich bokach, pod balastem, ciągnięty przez holownik. Wszyscy majtkowie byli zajęci na dziobie przy podnoszeniu przednich żagli, na tylnym zaś pokładzie kobieta w czerwonym kapturze, sam na sam z człowiekiem u steru, przechadzała się miarowo wzdłuż rufy tam i z powrotem, robiąc na drutach coś z popielatej wełny.

Któryś z naszej gromadki mruknął: — To pewnie Niemcy. — Szyper ma żonę na pokładzie — zauważył ktoś inny; a blask szkarłatnego zachodu, rozgorzały za dymem londyńskim, rzucił żar bengalskich ogni na maszty barku i zniknął z nad Hope Reach.

Wówczas jeden z nas, dotychczas milczący, człowiek po pięćdziesiątce, który dowodził statkami przez ćwierć wieku, rzekł, patrząc na bark sunący teraz wdal, cały czarny wśród blasku rzeki:

— To przypomina mi pewien idjotyczny epizod, który przytrafił mi się przed wielu laty, kiedy zostałem pierwszy raz dowódcą żelaznego barku, przyjmującego ładunek w pewnym wschodnim porcie morskim. Ów port był zarazem stolicą wschodniego królestwa, leżącego nieco w górę od ujścia rzeki, tak jak nieprzymierzając Londyn leży nad tą naszą starą Tamizą. Niema co się nad ową miejscowością rozwodzić; tego rodzaju przygoda mogła wydarzyć się wszędzie, gdzie się znajdują okręty, szyprowie, holowniki i bratanice sieroty o nieopisanej krasie. Idjotyczny ów epizod dotyczy tylko mnie, mego wroga Falka i mego przyjaciela Hermanna.

Słowa „mego przyjaciela Hermanna“ były wypowiedziane jakby ze specjalnym naciskiem, który skłonił

któregoś z nas (mówiliśmy właśnie o bohaterstwie) do leniwego i niedbałego pytania:

— A czy ten Hermann był bohaterem?

— Wcale nie, odparł nasz siwy przyjaciel. Bynajmniej. Był to Schiff-Führer: konduktor okrętu. Tak nazywają w Niemczech kapitana statku. Wolę naszą nomenklaturę. Brzmi dobrze i jest w niej coś, co daje nam, jako całości, poczucie wspólnoty — uczeń, pomocnik, kapitan — w dawnym i zaszczytnym morskim zawodzie. Co się tyczy mego przyjaciela Hermanna, może i był skończonym mistrzem w tym zaszczytnym kunszcie, lecz zwano go oficjalnie Schiff-Führerem, a wygląd jego prosty i ociężały — jak u zamożnego farmera — był zarazem nacechowany dobrodusznym sprytem drobnego sklepikarza. Jego wygolony podbródek, okrągłe członki i ociężałe powieki nie przypominały bynajmniej pracownika morza, jeszcze zaś mniej miłośnika morskich przygód. Jednakże po swojemu pracował znojnie na morzu, jak sklepikarz za ladą. A okręt był źródłem utrzymania dla jego wzrastającej ciągle rodziny.

Statek Hermanna, była to ciężka, silna, tępodzioba machina, przywodząca na myśl prymitywną solidność, podobnie jak drewniany pług naszych praojców. Z wielu względów machina ta sprawiała swojskie i sielskie wrażenie. Wystające w dziwaczny sposób drewniane historyjki u steru — których nie widziałem nigdy na żadnym innym statku — sprawiały, że ten czworokątny ster był podobny do tylnej części młynarskiego wozu. Ale cztery rufowe iluminatory kajuty — każdy zaopatrzony w sześć zielonawych szybek i ujęty w drewniane okienne ramy pomalowane na bronzowo — mogły być równie dobrze okienkami wiejskiej chaty.

Malutkie białe firaneczki i zieleń doniczek z kwiatami dopełniały podobieństwa. Raz czy dwa, gdy wypadło mi przepłynąć pod rufą statku, dostrzegłem z łódki okrągłe ramię nachylające polewaczkę i zgiętą, gładką głowę dziewczyny, którą będę zawsze nazywał bratanicą Hermanna, ponieważ naprawdę nie słyszałem nigdy jej imienia, pomimo mej zażyłości z całą rodziną.

Ale zażyłość ta rozwinęła się później. Tymczasem zaś, na równi z całą bracią żeglarską tego wschodniego portu, nie mogłem żywić żadnych wątpliwości co do wyobrażeń Hermanna o hygjenie w zakresie odzieży. Był najwidoczniej zwolennikiem noszenia na skórze porządnej, grubej flaneli. Prawie co dnia oglądało się małe sukienki i fartuszki schnące na olinowaniu środkowego masztu, lub rząd drobnych skarpeteczek powiewający na sygnałowych linkach; ale raz na dwa tygodnie cała rodzinna bielizna była obowiązkowo wystawiona na pokaz. Zapełniała caluteńką rufę. Przedwieczorny powiew pobudzał do dziwacznej, flakowatej ruchliwości tę stłoczoną ciżbę bielizny, mającą jakąś niejasną analogję z utopioną, okaleczałą i spłaszczoną ludzkością. Bezgłowe ciała kiwały na człowieka ramionami pozbawionemi rąk; nogi bez stóp kopały fantastycznie powietrze z oklapłym rozmachem; były tam również długie, białe szaty, które chłonęły wiatr przez obszyty koronką otwór u szyi, wydymając się przez chwilę gwałtownie, jakby wskutek przesuwania się jakichś otyłych, niewidzialnych kadłubów. W owe dni można było dostrzec statek na wielką odległość z powodu różnobarwnego, dziwacznego rozruchu panującego na rufie, za środkowym masztem.

Statek Hermanna miał swoje miejsce postoju tuż przedemną, nazywał się zaś D j a n a — ale nie z Efezu

tylko z Bremy. Oznajmiały to białe litery długie na stopę, rozmieszczone w wielkich odstępach wpoprzek rufy (coś w rodzaju napisu na szyldzie) pod sielskiemi okienkami. Ta śmiesznie nieodpowiednia nazwa uderzała swą impertynencją dla pamięci najczarowniejszej z bogiń; gdyż pomijając fakt, że stary statek był fizycznie niezdolny do wzięcia udziału w jakichkolwiek łowach, mieszkała na nim gromadka czworga dzieci. Wyglądały z nad burty, przypatrując się przepływającym łodziom i niekiedy upuszczały w nie różne przedmioty. I tak, w czasach, kiedy jeszcze nie znaliśmy się z Hermannem na tyle aby z sobą rozmawiać, dostałem kiedyś w kapelusz ohydną lalką z gałganów, należącą do najstarszej córeczki Hermanna. Ale naogół dzieciaki zachowywały się grzecznie. Miały jasne główki, okrągłe oczy, małe okrągłe noski jak kartofelki i bardzo były podobne do ojca.

Ta Djana z Bremy była najniewinniejszym ze starych okrętów i zdawała się nic o złem morzu nie wiedzieć, tak jak i na lądzie bywają rodziny, które nie wiedzą nic a nic o zepsutym świecie. A uczucia, które budziła, były zwyczajne i należały przeważnie do kategorji uczuć domowych. Djana była rodzinnem ogniskiem. Wszystkie te kochane dzieciaki nauczyły się chodzić na jej obszernym tylnym pokładzie. W rozważaniu takich faktów jest coś ładnego a nawet wzruszającego. Wyobrażam sobie naprzykład, że te bąki gryzły końce olinowania przy wyrzynaniu się zębów. Obserwowałem wiele razy małego Hermanna (Mikołaja), gdy żuł koniec brasu przedniej górnej rei. Najbardziej lubił przebywać pod kołkownicą głównego masztu. Z chwilą gdy go puszczono luzem, czołgał się tam natychmiast i pierwszy z brzegu majtek, który

się pokazał, przynosił malca z powrotem do drzwi kajuty, trzymając go troskliwie i podnosząc wysoko w rękach powalanych smołą. Przypuszczam że działo się to naskutek stale obowiązującego rozporządzenia. W czasie takich przenosin Mikołaj, który był jedyną gwałtowną osobą na statku, usiłował bić po twarzy tych dzielnych młodych majtków niemieckich.

Pani Hermann, miła, zażywna gosposia, nosiła na pokładzie workowate niebieskie suknie w białe kropki. Gdy się zdarzyło raz czy dwa, że zastałem ją przy ładnej małej balijce, trącą energicznie białe kołnierzyki, dziecinne skarpetki i letnie krawaty Hermanna, oblewała się rumieńcem jak młoda dziewczyna, i podniósłszy mokre ręce, witała się zdaleka, kiwając życzliwie głową raz po raz. Rękawy jej były zakasane aż po łokcie, a złota obrączka na palcu połyskiwała wśród mydlin. Miała miły głos, pogodne czoło, gładkie pasma bardzo jasnych włosów i wesoły wyraz oczu. Była macierzyńska i w miarę rozmowna. Przy uśmiechu tej prostodusznej matrony młodzieńcze dołeczki ukazywały się na świeżych, szerokich policzkach. Natomiast nie widziałem nigdy, aby małomówna bratanica Hermanna, sierota, próbowała się kiedy uśmiechnąć. Nie była to jednak u niej posępność lecz powściągliwość młodocianej powagi.

Wozili ją z sobą wszędzie przez ostatnie trzy lata, aby była wyręką przy dzieciach i towarzystwem dla pani Hermann, jak mi jej mąż kiedyś nadmienił. Bardzo im się bratanica przydawała, póki starsze dzieci nie podrosły, dodał ze strapioną miną. Jej to ramię właśnie i gładka główka mignęły mi pewnego rana w okienkach kajuty na rufie, nad doniczkami z fuksją i rezedą; ale gdy pierwszy raz ujrzałem ją w całej

postaci, poddałem się urokowi jej kształtów. Uwieczniły mi tę dziewczynę w pamięci, tak jak wielka piękność, wielka inteligencja, bystry umysł, lub dobroć serca mogły były mi upamiętnić w równym stopniu jakąś inną kobietę.

W niej zaś dominowała harmonja proporcyj i wzrostu. Majestatyczny jej czar tkwił w indywidualności fizycznej. Może była także wyjątkowo dowcipna, inteligentna i dobra. Nie wiem, i nie o to tu chodzi. Wiem tylko, że była wspaniale zbudowana. Zbudowana, to jest jedyne właściwe słowo. Była zbudowana, była niejako wzniesiona z królewską hojnością. Zapierało dech na widok beztroskiej rozrzutności materjału zużytego na to dziewczątko. Mimo swej młodzieńczości wydawała się nawskróś dojrzałą, jakby należała do szczęśliwego grona nieśmiertelnych. Musiała być także i ciężka, ale to nic nie szkodzi. Wrażenie jej trwałości było przez to jeszcze wyraźniejsze. Miała zaledwie dziewiętnaście lat. Ale co za barki! Co za krągłe ramiona! Co za rozpęd potężnych członków, gdy w trzech długich susach rzucała się na przewróconego Mikołaja — niepodobna wprost tego opisać. Robiła wrażenie dobrej, spokojnej dziewczyny, czujnej na potrzeby Leny, upadki Gustawa, stan noska kochanego Karola — dziewczyny sumiennej, ciężko pracującej i tak dalej. Ale jakież wspaniałe miała włosy! Bujne, długie, gęste, płowe. Mieniły się połyskiem drogocennego metalu. Nosiła je splecione ciasno w warkocz zwisający dziewczęco na plecy; koniec jego sięgał pasa. Zdumiewała masywność tego warkocza. Słowo daję, przypominał maczugę. Twarz dziewczyny była duża, urodziwa, o niezamąconym wyrazie. Cerę miała ładną, a niebieskie jej oczy tak były blade, że zdawały się patrzeć na

świat z bezbarwną, białą niewinnością posągu. Nie można było jej nazwać przystojną. Uroda jej wywierała daleko głębsze wrażenie. Prosty ubiór, bujność kształtów, imponująca postawa i niezwykle silna żywotność, która zdawała się z niej bić jak woń z kwiatu, wszystko to nadawało jej urodzie cechę sielską i olimpijską. Gdy się patrzyło, jak sięgała ku linie z suszącą się bielizną obojgiem ramion wzniesionych wysoko nad głową, zaduma pełna jakiejś pogańskiej czci ogarniała człowieka. Workowate, bawełniane stroje zacnej pani Hermann miały u szyi i u dołu coś w rodzaju prymitywnej koronki, lecz perkalowe suknie dziewczyny nie były ozdobione nawet zmarszczkami, tylko spódnice jej układały się w parę prostych fałd spływających do ziemi, a kiedy stała bez ruchu, fałdy te nabierały jakiegoś surowego i posągowego charakteru. Miała w sobie wrodzony spokój, czy przyszło jej siedzieć czy stać. Ale nie chcę przez to powiedzieć, aby była posągowa. Za bujne w niej było życie; mogła jednak mimo to służyć za wzór do alegorycznego posągu Ziemi. Nie mam na myśli tej zużytej ziemi, jaka jest w naszem władaniu, ale o Ziemi młodzieńczej, o dziewiczej planecie nie napastowanej przez wizje przyszłości, rojące się od potwornych kształtów życia i śmierci, wizje pełne zgiełku okrutnych bojów głodu i myśli.

Sam zacny Hermann nie wzbudzał szczególnego zainteresowania, choć mówił po angielsku zupełnie zrozumiale. Nie mogłem natomiast zrozumieć pani Hermann, która za każdą wizytą zwracała się do mnie conajmniej z jedną przemową, wypowiedzianą gościnnym, serdecznym tonem (prawdopodobnie w narzeczu platt deutsch). Co się tyczy ich bratanicy, miło było na nią patrzeć (przyczem ogarniał jakoś człowieka opty-

mizm co do przyszłości ludzkiego rodu), ale zachowywała się nieśmiało i milcząco, zajęta najczęściej szyciem; niekiedy tylko, jak zauważyłem, zapadała nad robotą w dziewczęcą zadumę. Ciotka siedziała naprzeciwko niej, także coś szyjąc, z nogami opartemi na drewnianym stołeczku. Po drugiej stronie pokładu Hermann i ja ustawialiśmy parę krzeseł z kajuty i zasiadaliśmy aby palić i zamieniać zrzadka kilka spokojnych słów. Przychodziłem prawie co wieczór. Zastawałem Hermanna w kamizelce. Z chwilą gdy wracał z brzegu na pokład swego statku, zdejmował natychmiast marynarkę, poczem kładł na głowę haftowaną, okrągłą czapeczkę z kutasem i zamieniał trzewiki na parę sukiennych pantofli. Następnie zaś palił u drzwi kajuty, przypatrując się dzieciom z miną pełną obywatelskiej cnoty, póki ich nie powyłapywano jednego za drugiem i nie zaniesiono do łóżek rozmieszczonych w różnych kabinach. Wreszcie wypijaliśmy trochę piwa w kajucie, gdzie stał drewniany stół na skrzyżowanych nogach i czarne krzesła o prostem oparciu, co przypominało raczej wiejską kuchnię niż kajutę na statku. Miało się wrażenie, że morze i wszystkie jego sprawy zostały odsunięte gdzieś bardzo daleko od gościnności tej wzorowej rodziny.

A mnie się to podobało, ponieważ miałem dość dużo kłopotów na własnym statku. Urzędowe rozporządzenie wydane przez brytyjskiego konsula powierzyło mi dowództwo tego okrętu po człowieku, który zmarł nagle, zostawiając jako wytyczne dla swego następcy kilka nie pokwitowanych rachunków — co wyglądało podejrzanie — parę kosztorysów z suchego doku zalatujących przekupstwem i mnóstwo dokumentów stwierdzających trzyletnią rozrzutną gospo-

darkę; wszystko to leżało jak groch z kapustą w zakurzonem starem pudle od skrzypiec, wysłanem rubinowym aksamitem. Pozatem znalazłem dużą książkę rachunkową, lecz gdy ją otworzyłem, pełen nadziei, okazało się ku memu niesłychanemu pognębieniu, że pełna jest wierszy — stronica za stronicą — jowialnych i nieprzyzwoitych wierszydeł, napisanych drobniutkiem pismem, najporządniejszem jakie kiedykolwiek widziałem. W tem samem pudle była i fotografja mego poprzednika, robiona ostatnio w Sajgonie, przedstawiająca na tle ogrodu, w towarzystwie kobiety przybranej w dziwaczne draperje, starszego, krępego człowieka o surowej powierzchowności i ponurym wyrazie twarzy, odzianego w niezgrabne ubranie z czarnego sukna; włosy nad skroniami zaczesane miał ku przodowi w sposób przypominający kły odyńca. Jedynym śladem po skrzypcach było to pudło, niby pozostała po nich łupina; natomiast po dwóch frachtach, które okręt z całą pewnością niedawno zarobił, nie zostało się nawet łupiny. Niepodobna było odgadnąć, gdzie się podziały te wszystkie pieniądze. Na statku ich nie było. Nie zostały również wysłane do kraju, gdyż znalazłem w jakiemś biurku list od właścicieli — zachowany widać tylko przez czysty przypadek — z dość łagodnemi wyrzutami, że kapitan nie zaszczycił ich ani słowem już od osiemnastu miesięcy. Zapasów nie znalazłem na statku prawie żadnych — ani cala liny, ani łokcia żaglowego płótna. Statek był ze wszystkiego ogołocony, i przewidywałem trudności bez końca zanim go wyszykuję do odjazdu.

Ponieważ byłem wówczas młody — nie miałem jeszcze trzydziestu lat — brałem bardzo poważnie i siebie, i swoje kłopoty. Stary pomocnik, który ode-

grał rolę głównego żałobnika na pogrzebie kapitana, nie był wcale zachwycony mojem przybyciem. Ale on sam nie miał właściwie kwalifikacyj potrzebnych do sprawowania dowództwa, konsul zaś był obowiązany w miarę możności dać statkowi marynarza z odpowiedniemi świadectwami. Co się tyczy drugiego pomocnika, nic o nim nie mogę powiedzieć, wyjąwszy to, że nazywał się Tottersen, czy coś w tym rodzaju. Miał zwyczaj noszenia na głowie (w tym podzwrotnikowym klimacie) wyleniałej futrzanej czapki. Był to bez kwestji najgłupszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem na statku. I wyglądał też na głupiego. Wyglądał tak beznadziejnie głupio, że się zawsze dziwiłem gdy odpowiadał na zawołanie.

Towarzystwo ich — w najlepszym razie — nie było dla mnie wielką pociechą, i gnębiła mię perspektywa odbycia z tymi osobnikami długiej podróży. A także i inne moje samotne rozważania nie przedstawiały się rozkosznie. Załoga była chora, ładunek nadchodził bardzo wolno; przewidywałem, że będę miał mnóstwo kłopotów z właścicielami, i wątpiłem czy wypłacą mi dość pieniędzy na wydatki związane z okrętem. Postawa szefów w stosunku do mnie była nieprzyjazna. Szło mi jak z kamienia. Odkrywałem o różnych dziwacznych porach (przeważnie około północy), że brak mi zupełnie doświadczenia, że nie mam pojęcia o prowadzeniu interesów, że jestem beznadziejnie nieodpowiedni na dowódcę jakiegokolwiek okrętu; a gdy jeszcze przyszło mi oddać do szpitala stewarda z objawami cholery, uczułem się pozbawiony jedynej przyzwoitej osoby na rufie. Była wszelka nadzieja że wyzdrowieje, ale narazie musiał go zastąpić jakiś inny służący. Z polecenia niejakiego Schomberga, właściciela

mniejszego z dwóch hoteli znajdujących się w mieście, zgodziłem Chińczyka. Schomberg, krzepki, włochaty Alzatczyk i straszny plotkarz, zapewniał mnie że wszystko będzie w porządku. „Ten boy jest pierwszorzędny. Przybył ze świtą jego ekscelencji komisarza Tsenga — pan wie. Jego ekscelencja Tseng mieszkał tu u mnie przez trzy tygodnie“.

Cedził głośno i z wielkiem namaszczeniem imię chińskiej ekscelencji, ale mimo to członek świty nie wydał mi się bardzo obiecujący. Lecz wówczas jeszcze nie wiedziałem, jakim Schomberg jest nieodpowiednim blagierem. „Boy“ mógł mieć lat ze czterdzieści, albo i sto czterdzieści, o ile mogłem sądzić; twarz jego należała do chińskiego typu „trupiej czaszki“ i była absolutnie nieprzenikniona. Zanim trzy dni upłynęły, okazał się zdecydowanym palaczem opium, szulerem, niesłychanie zuchwałym złodziejem i pierwszorzędnym szybkobiegaczem. Gdy uciekł — rozwinąwszy największą swą szybkość — i zabrał trzydzieści dwa funty z mych własnych ciężko zarobionych pieniędzy, była to już ostatnia kropla. Chowałem je na wypadek, gdyby trudności doszły do zenitu. Teraz, kiedy ta rezerwa przepadła, czułem się równie biedny i nagi jak fakir. Nie zniechęcałem się jednak do mego statku, mimo wszelkich udręk jakie mi sprawiał, ale czego nie mogłem wytrzymać, to długich, samotnych wieczorów w kajucie, której powietrze, nasycone zapachem cieknącej lampy, drżało od chrapania pomocnika. Ów człowiek zamykał się w swej dusznej kabinie punktualnie o ósmej i wydawał grube, odrażające odgłosy, jak nalana wodą trąba. To było doprawdy okropne, że nie mogłem się nawet martwić w spokoju na własnym okręcie. Wszystko na tym świecie, roz-

myślałem, nawet dowództwo ładnej małej barki, może się okazać ułudą i pułapką dla nieoględnej ludzkiej pychy.

Miło mi było uciekać od takich rozmyślań na pokład bremeńskiej Djany. Zdawało się że żadne podszepty o niegodziwości tego świata nigdy jej nie dosięgły. A jednak żyła na szerokiem morzu; a tragiczne i śmieszne morze, morze ze swą ohydą i oso bliwemi skandalami, morze pełne ludzi i rządzone przez żelazną konieczność jest niewątpliwie częścią świata. Ale nic z tego nie docierało do tej patrjarchalnej starej balji, niby do jakiegoś świętego zakątka. Była dla świata nieprzemakalna. Widocznie czcigodna jej niewinność okiełznała ryczące żądze morza. A jednak zadługo znałem już morze, aby wierzyć w jego szacunek dla zacności. Żywiołowa moc jest bezlitośnie szczera. Może był to skutek marynarskiej sprawności Hermanna, ale ja miałem wrażenie, jakgdyby zjednoczone oceany same się powstrzymywały od zmiażdżenia wysokiego nadburcia, wyrwania ciężkiego steru, przejęcia zgrozą dzieci, i wogóle otwarcia oczu całej rodzinie — poprostu przez powściągliwość. To wyglądało jak powściągliwość. Okrutne wyjawienie prawdy przypadło wkońcu człowiekowi; człowiekowi dość na to silnemu i żywiołowemu, którego pchnęła do odsłonięcia niektórych tajemnic morza potęga prostego i żywiołowego pragnienia.

Stało się to jednak znacznie później, a tymczasem chroniłem się prawie co wieczór na ten pogodny stary okręt. Jedyną osobą z pośród jego mieszkańców, która robiła wrażenia zatroskanej, była mała Lena, i niebawem zauważyłem, że zdrowie lalki z gałganów jest więcej niż delikatne. Ów objekt dożywał niejako ostatka swych dni — w drewnianem pudełku usta-

wionem przy pachołkach na prawej burcie — dozorowany i pielęgnowany z największem współczuciem i troskliwością przez wszystkie dzieci, którym przybieranie smutnego wyrazu twarzy i chodzenie na palcach sprawiało wielką radość. Tylko najmłodsze bobo — Mikołaj — rzucało na lalkę z ukosa spojrzenia zimne i brutalne, jakby należało do zupełnie innego plemienia. Lena wciąż się martwiła nad swojem pudełkiem, a i cała dzieciarnia brała to bardzo tragicznie. Niepodobna było zrozumieć, w jaki sposób dzieci mogły wzbudzić w sobie współczucie dla tego utytłanego przedmiotu, któregobym nie dotknął nawet szczypcami; sądzę że ćwiczyły i rozwijały na owej kukle właściwy swej rasie sentymentalizm. Ta wiązka gałganów była tak bardzo, tak podejrzanie brudna, że nie mogłem wyjść z podziwu iż pani Hermann pozwala Lenie pielęgnować ją i tulić z takiem oddaniem. A pani Hermann podnosiła z nad roboty swe piękne, bardzo kobiece oczy i przypatrywała się dzieciom z żartobliwem współczuciem, nie dostrzegając jakoś, że przedmiot ich miłości rzuca cień na nieskazitelność statku. Nieskazitelność, nie zaś czystość, jest tu słowem właściwem. Posunięta była tak daleko, że i w tem zdawałem się odkrywać sentymentalną przesadę, jak gdyby usuwanie brudu ze statku wypływało z prawdziwej miłości. Niepodobna dać wyobrażenia o schludności tak drobnostkowej. Zdawałoby się, że każdego ranka czyszczono pracowicie ten okręt zapomocą... zapomocą szczoteczek do zębów. Nawet tualetą bukszprytu zajmowano się trzy razy na tydzień, szorując go mydłem i kawałkiem miękkiej flaneli. Statek był przystrojony bez pretensji — muszę powiedzieć przystrojony — w dwa kolory: drewniane części

w olśniewającą białą farbę, a żelazne w ciemno zieloną; prostoduszne rozmieszczenie tych barw przywodziło na myśl obrazy prostodusznego spokoju, arkadyjskiej szczęśliwości; a dziecinna komedja choroby i smutku uderzała mnie czasem jak wstrętna, rzeczywista plama na tym idealnym stanie rzeczy.

Bardzo się nim rozkoszowałem i ze swej strony wprowadziłem do atmosfery trochę łagodnego podniecenia. Nasza zażyłość wywiązała się przy ściganiu owego złodzieja. Działo się to wieczorem, i Hermann, który wbrew swym przyzwyczajeniom długo bawił dnia tego na lądzie, gramolił się właśnie tyłem z małego czółenka na brzegu rzeki, kiedy pościg go mijał. Hermann połapał się w mig w położeniu, jakby miał oczy na łopatkach, dopadł nas jednym skokiem i wysforował się naprzód. Chińczyk leciał bezgłośnie, jak rączy cień, po kurzu niezmiernie wschodniej drogi. Biegłem za nim. Daleko z tyłu mój pomocnik pohukiwał jak dzikus. Młody księżyc rzucał nieśmiałe światło na równinę podobną do potwornie wielkiego ugoru; w oddali architektoniczna masa buddyjskiej świątyni rysowała się na niebie głuchą czernią. Złodziej uszedł nam naturalnie, ale mimo iż doznałem zawodu, musiałem podziwiać przytomność umysłu Hermanna. Szybkość, na jaką ten ociężały mężczyzna się zdobył w interesie zupełnie obcego człowieka, wzbudziła moją gorącą wdzięczność; w jego wysiłku było coś szczerze życzliwego.

Zdawało się że jest równie zawiedziony jak ja, gdy nie zdołaliśmy schwytać złodzieja, i nie słuchał prawie mych podziękowań. Odrzekł że to drobnostka i z miejsca zaprosił, abym przyszedł do niego na pokład i wypił szklankę piwa. Przez chwilę przetrząsa-

liśmy jeszcze sceptycznie krzaki, zajrzeliśmy bez przekonania do paru rowów. Nic się tam nie ruszało; płaty szlamu przebłyskiwały niewyraźnie wśród trzciny. Gdyśmy się wlekli ociężale z powrotem, schyleni pod cienkim sierpem księżyca, posłyszałem jak Hermann mruczy pod nosem: „Himmel! Zwei und dreissig Pfund!". Był pod wrażeniem rozmiarów mojej straty. Już od dłuższego czasu przestały nas dochodzić pohukiwania i wrzaski mego pomocnika.

— Każdy ma swoje biedy — rzekł do mnie Hermann, i gdyśmy szli dalej, zauważył, że nigdyby się o tem wszystkiem nie dowiedział, gdyby go jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności kapitan Falk nie przetrzymał na brzegu. Dodał z westchnieniem, że siedzieć długo na brzegu nie lubi. Cień smutku w jego głosie przypisałem oczywiście współczuciu dla mojej niedoli.

Na pokładzie Djany piękne oczy pani Hermann wyrażały duże zainteresowanie i współczucie. Zastaliśmy obie kobiety szyjące naprzeciwko siebie pod otwartą luką świetlną, w silnym blasku lampy. Hermann wszedł pierwszy, zaczynając już we drzwiach ściągać marynarkę i zapraszając mię głośnemi, gościnnemi wykrzyknikami: „Niechże pan wejdzie! Tędy! Niechże pan wejdzie, kapitanie!" Z marynarką w ręku zaczął natychmiast wszystko żonie opowiadać. Pani Hermann złożyła z podziwu dłonie; ja się kłaniałem, uśmiechając się z ciężkiem sercem; bratanica wstała od szycia aby przynieść pantofle Hermanna i jego haftowaną czapeczkę, którą włożył pontyfikalnie, rozprawiając cały czas (o mnie). Fale białego materjału leżały między krzesłami na podłodze kajuty; dosłyszałem słowa: „Zwei und dreissig Pfund", powtórzone

po kilka razy, i wkrótce przyniesiono piwo, które piłem z rozkoszą, gdyż zaschło mi w gardle od biegu i wzruszeń pościgu.

Wyszedłem od nich dopiero dobrze po północy, długo po usunięciu się kobiet. Hermann prowadził handel na wschodzie przez trzy lata lub więcej, wożąc głównie ładunki ryżu i budulca. Djana, znana dobrze we wszystkich portach od Władywostoku do Singapuru, była jego własnością. Dochody przynosiła umiarkowane, lecz wystarczało to na potrzeby rodziny, póki dzieci były jeszcze małe. Za jaki rok mniej więcej Hermann się spodziewał, że będzie mógł sprzedać starą Djanę za porządną cenę firmie japońskiej. Zamierzał wrócić do kraju, do Bremy, parowcem, drugą klasą, z żoną i dziećmi. Mówił to wszystko flegmatycznie, pykając zwolna z fajki. Zmartwiłem się, kiedy wytrząsnął tytoń i zaczął sobie przecierać oczy. Byłbym siedział z nim do samego rana. Poco się miałem spieszyć na pokład swego statku? Aby zobaczyć w kajucie wyłamaną, ograbioną szufladę? Brr! Na samą myśl o tem słabo mi się robiło.

Stałem się codziennym ich gościem, jak już wiecie. Zdaje mi się, że Hermannowa uważała mnie od samego początku za romantycznego człowieka. Oczywiście nie wyrywałem sobie włosów z głowy coram populo nad swoją stratą, a ona to brała za wielkopańską obojętność. Opowiedziałem im potem niektóre ze swoich przygód — jakie tam miałem do opowiedzenia — i dziwowali się wielce rozległemu memu doświadczeniu. Hermann tłumaczył ustępy, które uważał za najbardziej uderzające. Wstawał z krzesła, i jakby wypowiadając odczyt o jakimś fenomenie, zwracał się, gestykulując, do obu kobiet, które zwolna opuszczały

robotę na kolana. A ja tymczasem siedziałem nad szklanką piwa, usiłując przybrać skromną minę. Pani Hermann spoglądała na mnie przelotnie od czasu do czasu, wykrzykując zlekka: „Ach!“ Dziewczyna nie odzywała się nigdy. Nigdy! Ale i ona wznosiła czasem blade oczy aby spojrzeć na mnie łagodnem, jakby niewidzącem spojrzeniem. Jej wzrok nie był głupi bynajmniej; promieniał miękko i rozlewnie jak księżyc świecący nad krajobrazem — zupełnie inaczej niż badawcze, śledzące nas gwiazdy. Człowiek tonął w tych oczach i miał wrażenie że jego kontury się rozpływają. A jednak ten sam wzrok, skierowany na Krystjana Falka, musiał działać równie silnie jak reflektor wojennego okrętu.

Falk był drugim gościem, odwiedzającym pilnie statek, ale z jego zachowania można było wnioskować, że przychodzi z wizytą do kabestanu na rufie. Nie ulega wątpliwości iż wpatrywał się w niego często, dotrzymując nam towarzystwa przed drzwiami kajuty. Muskularne ramię Falka było przerzucone przez poręcz krzesła; długie, kształtne nogi, w bardzo ciasnych białych spodniach, wyciągał daleko przed siebie, a obuty był w czarne trzewiki obszerne jak łódki. Znalazłszy się na pokładzie, Falk potrząsał, mrucząc, ręką Hermanna, kłaniał się kobietom, i zasiadał przy nas ze zwykłą sobie, niedbałą miną odludka. Odchodził zaś raptownie, zrywając się z krzesła, i dopełniał jakby w popłochu ceremonji mruknięć, uścisków ręki, ukłonów. Niekiedy podchodził do kobiet z pewnego rodzaju dyskretnym a konwulsyjnym wysiłkiem, i zamieniał z niemi kilka cichych słów, najwyżej z jakie pół tuzina. W takich razach zwykłe spojrzenie Hermana stawało się szkliste, a na pełną dobroci twarz

Hermannowej wybijał się rumieniec. Dziewczyna nigdy nawet nie drgnęła.

Falk był Duńczykiem, a może Norwegiem, tego już sobie nie przypominam. W każdym razie pochodził ze Skandynawji, pozatem zaś był nadętym pyszałkiem, a przyczyniał się do tego jego monopol na rzece. Może i nie znał słowa monopol, ale o samej rzeczy miał jasne wyobrażenie. Jego taryfa cen, pobieranych za holowanie statków w górę i w dół rzeki, stanowiła najbrutalniejszy, najbardziej bezwzględny dokument tego rodzaju jaki kiedykolwiek widziałem. Był dowódcą i właścicielem jedynego holownika w tym porcie, bardzo schludnego statku o objętości stu pięćdziesięciu ton lub więcej, wymuskanego jak jaki jacht, z okrągłą sterownią wznoszącą się niby oszklona wieżyczka wysoko nad spiczastym przodem, gdzie stał jeden jedyny smukły maszt powleczony pokostem. Przypuszczam że jest jeszcze kilku szyprów na morzu, pamiętających bardzo dobrze Falka i jego holownik. Wydzierał swoje półtora krwawego funta nam wszystkim szyprom handlowym z pewnego rodzaju nieugiętą obojętnością, za którą go niecierpiano, a nawet bano go się. Schomberg rzucał często uwagę: „Nie będę mówił o tym człowieku. Przez rok okrągły nie wypije pewnie i sześciu szklanek w moim zakładzie. Ale radzę wam, panowie, nie zadawajcie się z nim broń Boże, jeśli tylko możecie".

Ta rada — pominąwszy nieuniknione stosunki z Falkiem z powodu interesów — łatwa była do wykonania, ponieważ nie narzucał się nikomu. Porównanie szypra holowniczego statku do centaura wydaje się absurdem, a jednak Falk przypominał mi rycinę, przestawiającą centaury nad strumieniem, z małej ksią-

żeczki, którą miałem będąc chłopcem; otóż był tam jeden centaur na pierwszym planie, wspinający się na tylne kopyta, z łukiem i strzałami w ręku, o regularnych, surowych rysach i olbrzymiej, kręconej, falistej brodzie spływającej na piersi. Twarz Falka przypominała mi owego centaura. W dodatku Falk robił wrażenie istoty złożonej. Nie był człowiekiem-koniem, to prawda, ale był człowiekiem-statkiem. Mieszkał na swoim holowniku, który pędził wiecznie w górę albo w dół rzeki, od wczesnego ranka aż do rosistego wieczoru. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca można było dostrzec daleko w dole rzeki jego brodę powiewającą wysoko na białej budowli, sunącej pod prąd wśród spienionej wody aby zarzucić na noc kotwicę. Na mostku widać było tors biało ubranego mężczyzny i ciepłą plamę bronzowej brody, ale od pasa ów mężczyzna był ukryty za poprzecznemi, białemi linjami poręczy mostkowych, które prowadziły oko do spiczastych, białych zarysów dziobu prującego błotnistą wodę rzeki.

Rozłączony ze swoim statkiem, Falk robił wrażenie — przynajmniej na mnie — niekompletnego. A i holownik bez głowy i torsu swego dowódcy na mostku wyglądał jak okaleczały. Lecz Falk opuszczał go bardzo rzadko. Przez cały czas mego pobytu w przystani widziałem Falka tylko dwa razy na brzegu. Pierwszy raz spotkałem go u dzierżawców mego statku; wszedł z miną mizantropa aby odebrać należność za holowanie francuskiej barki w dniu poprzednim. Za drugim razem ledwie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdyż zobaczyłem go w bilardowym pokoju Schomberga, siedzącego na trzcinowem krześle, z brodą wspartą o łokieć.

Bardzo było zabawnie patrzeć jak wyraźnie Schomberg Falka ignoruje. Sztuczność tego ignorowania odbijała jaskrawo od naturalnej obojętności Skandynawa. Okazały Alzatczyk rozmawiał głośno ze swymi gośćmi, chodząc od stolika do stolika, tylko obok krzesła Falka przechodził z oczyma utkwionemi prosto przed siebie. Falk siedział z nietkniętą szklanką u łokcia. Musiał znać z widzenia i nazwiska każdego z białych znajdujących się w pokoju, ale nie odzywał się absolutnie do nikogo. Zareagował na moją obecność opuszczeniem powiek, i to było wszystko. Siedział na krześle, wyciągnąwszy nogi przed siebie, i niekiedy przesuwał rękoma po twarzy z góry na dół, wzdrygając się przytem zlekka prawie niedostrzegalnym ruchem.

Takie miał przyzwyczajenie, i znałem je oczywiście doskonale, ponieważ nie można było spędzić godziny w towarzystwie Falka, nie dziwiąc się temu gestowi, przerywającemu często długi okres bezruchu. Był to gest namiętny i niewytłumaczony. Zjawiał się we wszystkich możliwych okolicznościach, naprzykład po wysłuchaniu przez Falka szczebiotu małej Leny o cierpiącej lalce. Dzieciarnia oblegała zawsze szczelnie jego nogi, choć się trochę przed nią cofał w łagodny sposób. Odnosiło się jednak wrażenie, że Falk bardzo jest przywiązany do całej rodziny. Szczególniej do samego Hermanna. Ubiegał się o jego towarzystwo. Naprzykład w wypadku o którym mówię, musiał właśnie czekać na Hermanna, bo z chwilą gdy ten się pokazał, wstał śpiesznie i obaj wyszli razem. Po ich odejściu Schomberg wykładał w mojej obecności trzem czy czterem gościom swoją teorję o Falku; zapewniał że Falk kocha się w bratanicy kapitana Hermanna, i twierdził z całą pewnością że nic z tego nie będzie.

Zupełnie to samo było zeszłego roku, kiedy kapitan Hermann przyjechał tu po ładunek.

Nie wierzyłem oczywiście Schombergowi, ale przyznaję że przez pewien czas obserwowałem pilnie co się dzieje. Nie spostrzegłem nic poza pewnem zniecierpliwieniem Hermanna. Na widok Falka wchodzącego na schodnię, zacny ten człowiek zaczynał mruczeć pod nosem i żuć w zębach coś co wyglądało na niemieckie przekleństwa. Ale, jak już zaznaczyłem, nie znam niemieckiego języka, a z łagodnej, okrągłookiej fizjonomji Hermanna nic się nie dało wyczytać. Patrząc tępo przed siebie, witał Falka słowami: „Wie geht's“, albo angielskiem: „How are you?“ wypowiadanem gardłowym tonem. Dziewczyna spoglądała przelotnie w górę, poruszając zlekka wargami; pani Hermann opuszczała ręce na kolana i mówiła płynnie do Falka przez jaką minutę lub dwie swym miłym głosem, zanim znów się wzięła do szycia. Falk rzucał się na krzesło, wyciągał długie nogi i zwykle przesuwał namiętnie rękami w dół po twarzy. W stosunku do mnie nie był wyraźnie impertynencki, wyglądało to raczej, że się nie może zaprzątać takiemi drobnostkami jak moja egzystencja; w gruncie rzeczy zaś, mając w ręku monopol, nie potrzebował wysilać się na uprzejmość. Był i tak pewien, że otrzyma wymuszoną przez siebie opłatę za holowanie — czy będzie się srożył czy uśmiechał. Ściśle mówiąc, nie robił ani jednego ani drugiego; ale wkrótce zdołał zadziwić mię niepomału i rozpętać bardziej niż kiedykolwiek język Schomberga.

Stało się to w sposób następujący. Przy ujściu rzeki znajdowała się płytka mielizna, którą należało usunąć; tymczasem władze państwa były pobożnie zajęte zło-

ceniem na nowo wielkiej buddyjskiej pagody, i przypuszczam że nie miały pieniędzy na pogłębianie dragą rzeki. Nie wiem jak to tam teraz wygląda, ale w czasach, o których mówię, mielizna ta była wielką przeszkodą przy ładowaniu towarów na okręt. Wynikało stąd między innemi, że statki o pewnem zanurzeniu, jak naprzykład statek Hermanna i mój, nie mogły przyjąć całego towaru na miejscu. Zabrawszy z sobą ładunku ile się tylko dało, musiały opuścić rzekę aby ładowanie do końca doprowadzić. Cała ta procedura była nieskończonem nudziarstwem. Kiedy się przypuszczało, że na statku jest już tyle towaru, ile można przewieść bezpiecznie przez mieliznę, szło się i zawiadamiało swoich agentów. Ci z kolei zawiadamiali Falka, że taki a taki gotów jest do odjazdu. Wówczas Falk (który uzależniał holowanie niby to od ogólnego rozkładu swej pracy, ale Bogiem a prawdą postępował dowolnie według własnego widzimisię), upewniwszy się w biurze dokładnie, że mają dosyć pieniędzy na uregulowanie rachunku, podjeżdżał niechętnie, wpatrując się z mostka w człowieka żółtemi oczami, poczem wyholowawszy statek z nieczułym pośpiechem, jakby na egzekucję, zostawiał go z potarganym takielunkiem i pokładem w nieładzie. W dodatku zmuszał nas do użycia swej własnej liny holowniczej, za którą naznaczona była oczywiście specjalna dopłata. Kiedy się wykrzykiwało, protestując przeciw temu wymuszeniu, wielki tułów Falka, z ręką na telegrafie do maszynowni, potrząsał tylko brodatą głową ponad pluskiem, hałasem i kłębami dymu, holownik zaś, cofając się na swoje miejsce wśród wodnego pyłu, wznieconego przez obracające się koła, zachowywał się jak dzikie i niecierpliwe stworzenie. Załoga jego składała się z bandy

najbezczelniejszych krajowców, jakich kiedykolwiek widziałem, a Falk pozwalał im krzyczeć impertynencko na swoich klijentów. Po umocnieniu liny porywał statek z miejsca, jakby mu było obojętne co się na pokładzie potrzaska. Trzeba było wlec się za nim osiemnaście mil wdół rzeki, a potem jeszcze trzy wzdłuż wybrzeża, do miejsca gdzie grupa niezamieszkanych, skalistych wysepek otaczała zaciszne kotwowisko. Okręt stał tam na jednej jedynej kotwicy, z nagiemi rejami zwróconemi w stronę bardzo błękitnego morza, usianego jałowemi fragmentami lądu. Nic tam zresztą nie było do oglądania prócz nagiego wybrzeża, błotnistego skraju brunatnej równiny z wijącą się po niej ciemnozieloną rzeką, którą się dopiero co opuściło, i Wielką Pagodę, co wznosiła się samotnie, masywnie, i połyskiwała na falistych wygięciach, najeżona wieżyczkami, jak wspaniały, kamienny wykwit podzwrotnikowych skał. Nie miało się tam nic do roboty, tylko trzeba było czekać z irytacją na dokończenie ładunku, który nadsyłano rzeką jaknajnieregularniej. I wolno było człowiekowi pocieszać się myślą, że ostatecznie ten okres nudów zwiastuje, iż odjazd od tamtych brzegów naprawdę wreszcie się zbliża.

Obaj z Hermannem musieliśmy przejść przez tę fazę, i było między nami pewnego rodzaju ciche współzawodnictwo co do tego, czyj okręt będzie pierwej gotów. Trzymaliśmy się na jednej linji prawie aż do końca, gdy wygrałem ostatecznie wyścig, idąc osobiście do biura przed południem, aby zawiadomić że odjeżdżam; tymczasem Hermann, który z trudem się decydował na odwiedzenie lądu, dotarł do biura swych agentów dopiero nad wieczorem. Powiedziano mu że mój statek jest pierwszy z kolei i wyrusza nazajutrz

rano; odrzekł — o ile pamiętam — że mu się nie spieszy. Dogadzało mu wyjechać dzień później.

Tego wieczoru siedział na pokładzie Djany, rozstawiwszy szeroko grube kolana, wpatrując się przed siebie i pykając z wygiętego ustnika fajki. Niebawem odezwał się do bratanicy z pewną niecierpliwością, że czas już aby dzieci szły spać. Pani Hermann, która mówiła właśnie do Falka, zatrzymała się nagle i spojrzała niespokojnie na męża, ale dziewczyna wstała natychmiast i zapędziła dzieci do kajuty. Po krótkiej chwili Hermannowa musiała nas opuścić, gdyż sądząc po odgłosach dochodzących z kajuty, wybuchnął tam niebezpieczny rokosz, który należało poskromić. Na to Hermann zaczął coś mruczeć pod nosem. Jeszcze przez jakieś pół godziny Falk, zostawiony z nami sam na sam, kręcił się na krześle, wzdychał lekko, wreszcie przesunąwszy rękami wdół po twarzy, wstał, i jakby porzuciwszy nadzieję że potrafi się wypowiedzieć (nie otworzył ust ani razu), rzekł po angielsku: „No więc... dobranoc, kapitanie Hermann“. Zatrzymał się chwilę przed mojem krzesłem i spojrzał na mnie przeciągle, mogę nawet powiedzieć, że spiorunował mię wzrokiem, przyczem zdobył się nawet na głęboki, gardłowy pomruk. Było w tem wszystkiem coś tak znaczącego, że po raz pierwszy w ciągu naszej dalekiej znajomości, polegającej na kiwaniu głową i pomrukach, wzbudził we mnie coś w rodzaju zaciekawienia. Ale rozczarował mię natychmiast — bo odszedł spiesznie wielkim krokiem, nie kiwnąwszy mi nawet głową.

Obejście jego było zazwyczaj dziwaczne i nie zwracałem na nie oczywiście wielkiej uwagi; ale tym razem zastanowiło mię w nim to coś szczególnego, co niby ukryty zamysł zdawało się zawsze czyhać w głębi jego

nonszalancji, jak ostrożny stary karp w stawie; otóż to coś jeszcze nigdy nie znalazło się tak blisko powierzchni. Pobudził wyraźnie moje zainteresowanie. Nie byłbym w stanie powiedzieć, czego się spodziewałem, lecz w żadnym razie nie spodziewałem się idjotycznych wypadków, które spadły na mnie już nazajutrz o samym świcie.

Pamiętam tylko, iż owego wieczoru zachowanie Falka było tak znaczące, że po jego ucieczce wyraziłem głośno ciekawość, o co właściwie mu chodzi. Na to Hermann odrzekł, zakładając z rozmachem nogę na nogę, przyczem ze złością odwrócił się ode mnie na krześle:

— Ten drab sam nie wie o co mu chodzi.

Powyższa uwaga nie była pozbawiona wnikliwości. Nie odpowiedziałem nic, a on dodał, wciąż odwrócony:

— Takusieńki był i zeszłego roku, gdyśmy tu stali.

Kłąb tytoniowego dymu obwinął mu głowę, jak gdyby jego zniecierpliwienie wybuchło nakształt prochu.

Przez chwilę chciałem zapytać go prosto z mostu, czy nie wie przynajmniej dlaczego Falk, znany odludek, odwiedza jego statek tak pilnie. Przyszło mi nagle na myśl, że to jest jednak rzecz niezmiernie dziwna. Ciekaw jestem, coby Hermann był wówczas odpowiedział. Tymczasem stało się tak, że nie dopuścił do tego pytania. Zapominając najwidoczniej o Falku, zaczął monologować o swoich planach na przyszłość: o sprzedaży okrętu, o powrocie do kraju, i wpadając w nastrój pełen rozwagi i przezorności, mruczał przez zęby o kosztach wśród miarowych wytrysków dymu. Konieczność wydatku na podróż całego swego ple-

mienia zdawała się go nurtować w sposób tembardziej uderzający, że skądinąd żadnych przejawów skąpstwa nie zdradzał. A jednak rozwodził się markotnie nad perspektywą tej jazdy parowcem do kraju, jak zadomowiony kupiec korzenny, który postanowił wyruszyć na zwiedzenie świata. Przypuszczam że był z natury oszczędny, jak większość jego współziomków, i zapewne stanowiło to dla niego zupełną nowość, że musiał płacić za podróż, która była normalnym trybem życia dla jego rodziny, a dla większości jej członków nawet od samej kolebki. Widziałem że żałował już z góry każdego szylinga, który będzie musiał wydać w tak idjotyczny sposób. Było to dosyć zabawne. Rozwodził się nad tem żałośnie, a potem znowu wzdychał z irytacją i wyrażał przypuszczenie, że niema na to żadnej rady; będzie musiał wziąć trzy bilety drugiej klasy — a tu jeszcze i za czworo dzieci przyjdzie zapłacić. Taki wielki jednorazowy wydatek. Kupa pieniędzy.

Siedziałem z nim, przysłuchując się (nie po raz pierwszy) tym zwierzeniom, póki nie ogarnęła mnie senność; wówczas pożegnałem go i wróciłem na pokład swego statku. O świcie obudził mię jazgot wrzaskliwych głosów, któremu towarzyszył wielki rozruch na wodzie i krótkie, naglące świsty parowej gwizdawki. Falk zjawił się po nas na holowniku.

Zacząłem się ubierać. Zastanowiło mię, że hałaśliwy odzew na moim statku i tupot nóg nad głową nagle ustały. Posłyszałem natomiast oddalone, gardłowe głosy, które zdawały się wyrażać zdumienie i rozdrażnienie. Potem doszedł mnie głos mego pomocnika, wyjący na odległość jakieś wymówki. Przyłączyły się do niego inne głosy, najwidoczniej oburzone; odpowie-

dział chór złożony jakby z wymyślań. Od czasu do czasu rozlegał się pisk gwizdawki.

Ten niepotrzebny zgiełk był naogół męczący, ale tam na dole w kajucie brałem go spokojnie. Za chwilę, mówiłem sobie, będę jechał wdół po tej nędznej rzece, a najdalej za tydzień porzucę na dobre to wstrętne miejsce i wszystkich tych wstrętnych ludzi.

Pokrzepiony wielce tą myślą, chwyciłem szczotki do włosów, i patrząc w lustro, zacząłem się czesać. Nagła cisza zapadła po zgiełku, i usłyszałem (iluminatory mojej kajuty były otwarte), usłyszałem — ale nie na pokładzie mego statku — głęboki, spokojny głos, wołający stanowczym tonem po angielsku, z mocnym cudzoziemskim akcentem: „Naprzód!“

Może i zdarzają się w ludzkich sprawach przypływy, które, jeśli je w odpowiedniej chwili wykorzystać... i tak dalej. Ja osobiście wyglądam wciąż takiego ważnego zwrotu. Ale obawiam się, że większość z nas jest skazana na miotanie się wieczne w martwej wodzie stawu, którego brzegi są zaiste jałowe. Natomiast wiem, że przychodzą często na człowieka — niespodziane a nawet irracjonalne — chwile dziwnej przenikliwości, kiedy dźwięk nic nie znaczący skądinąd, a może tylko jakiś nawskróś pospolity gest, wystarcza do odsłonięcia nam całej głupoty, całej zarozumiałej głupoty naszego zadowolenia. Słowo „naprzód“ nie jest szczególnie uderzające, nawet jeśli je z cudzoziemska wymówić; a jednak obróciło mnie w kamień, i to w chwili gdy uśmiechałem się do swojej twarzy w lustrze. Nie chcąc wierzyć własnym uszom, lecz kipiąc już z oburzenia, wypadłem z kabiny i pobiegłem w górę na pokład.

Było to niewiarogodne lecz prawdziwe. Najzu-

pełniej prawdziwe. Oczy moje nie widziały nic prócz Djany. To ją zabierał holownik. Opuściła już swoje leże i pędziła wpoprzek rzeki.

— Jak ten warjat wyszarpnął statek! To coś niesłychanego — rzekł tuż nad mojem uchem przerażony głos pomocnika.

— Hejże! Hallo! Falk! Hermann! Cóż to za podły kawał? — wrzeszczałem w furji.

Nikt mnie nie słyszał. Falk napewno nie mógł mnie słyszeć. Holownik zawracał całym pędem u drugiego brzegu. Druciana lina holownicza między nim a Djaną, naciągnięta jak struna, drgała niepokojąco.

Wysoki, czarny statek przechylił się przy tym strasznym wysiłku. Głośny trzask rozległ się na jego pokładzie, poczem nastąpiło pękanie i rozpadanie się drzewa. „Masz tobie!“ rzekł przerażony głos prosto w moje ucho. „Oderwał im kółko holownicze.“ I pomocnik mój ciągnął dalej z zapałem: „O, niech pan patrzy, panie kapitanie! Widzi pan, o tam na dziobówce, jak te Szwaby zmykają w susach. Mam w Bogu nadzieję, że poprzetrąca im parę kilka kulasów, nim się ta heca skończy!“

Darmo wrzeszczałem, protestując. Promienie wschodzącego słońca, pędząc poziomo nad równiną, grzały mi plecy, ale i tak gotowało się we mnie z wściekłości. Nie byłbym nigdy uwierzył, że zwykły manewr holowniczy może przypominać tak wyraźnie uprowadzenie siłą, porwanie. Falk poprostu uciekał z Djaną.

Biały holownik gnał ku środkowi rzeki. Czerwone łopatki jego kół kręciły się z obłąkaną szybkością, przemieniając w pianę całą wodną przestrzeń. Djana, znalazłszy się w środku rzeki, obróciła się jak w walcu z wdziękiem starej stodoły, i popędziła za gwałtowni-

kiem. Skroś poszarpaną mgłę dymu pędzącą po rzece mignął mi Falk — jego kwadratowe, nieruchome ramiona pod białym kapeluszem, wielkim jak koło od wozu, jego czerwona twarz, żółte, wytężone oczy, wielka broda. Zamiast trzymać straż na przodzie, odwrócił się umyślnie plecami do rzeki, aby wpatrywać się w holowaną przez siebie Djanę. Wysoki, ciężki statek, z którym się nigdy jeszcze nikt tak nie obszedł, wyglądał jakby stracił zmysły; zboczył z drogi, niby szalony, wbrew swemu sterowi, i przez chwilę leciał wprost na nas, groźny i niezgrabny, jak zbiegła góra. Gnał przed sobą piętrzącą się, syczącą, kipiącą falę, która sięgała do połowy sztaby na tępym dziobie; załoga moja zawyła jednym wielkim głosem — i wstrzymaliśmy oddech w piersiach. To była groźna chwila. Ale Falk trzymał Djanę! Miał ją w swych szponach. Zdawało mi się że słyszę świst stalowej liny holowniczej, rozkołysanej na dziobówce Djany, wśród majtków uciekających przed nią we wszystkich kierunkach. To była groźna chwila. Hermann ze zwichrzonemi włosami, w tabaczkowej flanelowej koszuli i spodniach koloru musztardy, rzucił się z pomocą do koła. Widziałem jego okrągłą twarz pełną zgrozy; widziałem nawet jego zęby, odsłonięte w okropnym, nieruchomym grymasie; i wśród potężnego, rozkołysanego zgiełku wód między obu statkami Djana przesunęła się tak blisko, że byłbym mógł rzucić szczotką w głowę Hermanna, gdyż zdaje mi się że przez cały czas trzymałem obie szczotki w rękach. Jednocześnie zaś pani Hermann siedziała spokojnie na luce świetlnej z wełnianym szalem na plecach. Zacna kobieta w odpowiedzi na moje gesty pełne oburzenia powiała ku mnie chustką, kiwając głową i uśmiechając się w najuprzejmiejszy sposób. Chłopcy, nawpół ubrani,

skakali po rufówce w niezmiernem rozradowaniu, pokazując jaskrawe szelki; a Lena w krótkiej, szkarłatnej spódniczce niańczyła z oddaniem lalkę z gałganów, tuląc ją cienkiemi, gołemi ramionkami o spiczastych łokciach. Cała rodzina przesunęła się przedemną, jakby ją wleczono przez teren jakichś rozszalałych wypadków. Na ostatku zobaczyłem bratanicę Hermanna, stojącą oddzielnie z najmłodszem Hermanniątkiem na ręku. Wyglądała wspaniale w obcisłej sukni w rzucik, a z jawnej doskonałości jej kształtów biło coś tak władczego, że słońce zdawało się wstawać wyłącznie dla niej. Potok światła uwydatniał i otaczał chwałą bujność i młodzieńczą siłę jej postaci. Przesunęła się w zupełnym bezruchu, jakby pogrążona w zamyśleniu, tylko kraj jej sukni kołysał się w powiewie; promienie słońca załamywały się w jej gładkich, płowych włosach; a ten łysogłowy brutal, Mikołaj, bił ją w plecy. Widziałem jego drobne, tłuste ramionko wznoszące się i opadające ruchem robotnika przy pracy. Potem zaś cztery wiejskie okienka Djany ukazały się, sunąc szybko wdół rzeki. Ramy okienne były podniesione i jedna z białych perkalowych firanek powiewała poziomo jak chorągiew nad skłębioną wodą brózdy żłobionej przez okręt.

Żeby kogoś tak nabrać i złamać prawo kolejności, to był wypadek wprost niesłychany. W biurze mego agenta, dokąd poszedłem natychmiast aby się poskarżyć, zapewnili mnie wśród przeprosin, że nie mogą zrozumieć jakim sposobem taka pomyłka mogła się zdarzyć; lecz Schomberg, gdy wpadłem później do restauracji aby przełknąć coś na śniadanie, choć zdziwił się na mój widok, wyjaśnienie miał zaraz gotowe. Zastałem go siedzącego u końca długiego, wązkiego stołu na przeciwko żony — wychudzonej kobieciny o długich

lokach i niebieskim zębie, uśmiechającej się idjotycznie w przestrzeń; robiła zawsze przestraszoną minę, kiedy było się do niej odezwać. Między nimi rozkołysane punkah wachlowało dwadzieścia pustych trzcinowych krzeseł i dwa rzędy błyszczących talerzy. Trzech Chińczyków w białych kurtkach wałęsało się z serwetami w ręku naokoło pustego stołu. Ukochany table-d'hôte Schomberga nie miał tego wieczoru wielkiego powodzenia. Schomberg opychał się zapamiętale i wyglądał na przepełnionego goryczą.

Rozkazał brutalnym głosem aby mi przyniesiono kotlety, poczem rzekł, odwracając się na krześle:

— Powiedzieli panu że to pomyłka? Nic podobnego! Niech pan nie wierzy w to ani na chwilę, panie kapitanie! Falk, to nie jest taki człowiek żeby się mylić — chyba że pomyli się naumyślnie.

Miał nieugięte przekonanie, że ten Falk przez cały czas usiłował wkraść się tanim kosztem w łaski Hermanna.

— Tanim kosztem, niech pan to zapamięta! Nie zapłaci ani centa za wyrządzenie panu tej zniewagi, a kapitan Hermann wyprzedzi o dzień pański statek. Czas to pieniądz! Co? Zdaje mi się, że pan jest na bardzo dobrej stopie z kapitanem Hermannem, ale cóż z tego, człowiek musi się cieszyć z każdej drobnej korzyści, jaką może uzyskać. Kapitan Hermann zna się na interesie, a w interesach przyjaźń nie istnieje. Czy nie mam racji? — Pochylił się naprzód, i jak zwykle zaczął zerkać ukradkiem. — Ale Falk jest i był zawsze nędznikiem. Jabym nim pogardzał.

Mruknąłem kwaśno, że nie mam szczególnego szacunku dla Falka.

— Jabym tam nim pogardzał — powtórzył z naciskiem jakby niespokojnie, co byłoby mnie zabawiło,

gdybym nie był szczerze zgryziony. Każdy młody człowiek, dosyć sumienny i tak pełen dobrej woli jak to się zdarza tylko u młodych, bierze zwykłe przeciwności życia za szczególne okrucieństwo. Młodość, która ma jeszcze tak mało doświadczenia, że wierzy w winę, w niewinność i w siebie, gotowa jest zawsze przypuszczać, iż może na swój los zasłużyła. Walczyłem z kotletem, chmurny i pozbawiony apetytu; pani Schomberg siedziała ze swym wiecznym, głupim grymasem na ustach, a stek głupstw wypowiadanych przez Schomberga rósł z każdą chwilą.

— Coś panu powiem. Tu chodzi o tę dziewczynę. Nie wiem na co kapitan Hermann czeka, ale gdyby się mnie zapytał, mógłbym mu coś nie coś o Falku powiedzieć. To nędznik. A przytem jest skończonym niewolnikiem. Tak go właśnie nazywam. Niewolnikiem. Zeszłego roku zacząłem prowadzić ten table d'hôte i porozsyłałem zawiadomienia — jak panu wiadomo. Myśli pan że choć raz przyszedł tu coś zjeść? Że choć raz spróbował? Nic podobnego. Wynalazł sobie teraz jednego kucharza z Madrasu, skończonego oszukańca, którego trzciną z kuchni wygnałem. Nie nadaje się na kucharza dla białych. Nawet i nie dla psów białych ludzi; ale, uważa pan, panu Falkowi wystarczy byle jaki parszywy krajowiec, który potrafi uwarzyć garnek ryżu. Falk kupuje sobie za parę centów ryżu i małą rybkę na czółnie rybackim w porcie, i to jest jego pożywienie. Trudno temu uwierzyć, prawda? Żeby biały człowiek tak postępował...

Obtarł usta, wywierając swój gniew na serwecie i spoglądając na mnie. Mimo zgnębienia przyszło mi na myśl, że jeśli mięso na mieście podobne jest do tych kotletów, to Falk właściwie ma słuszność. Mia-

łem to już na końcu języka, ale wzrok Schomberga był onieśmielający. Mruknąłem więc zamiast tego:

— Może on jest wegetarjaninem.

— On jest skąpcem. Nędznym skąpcem — twierdził hotelarz z wielką siłą. — Naturalnie że mięso nie jest tu takie dobre jak w kraju. I drogie w dodatku. Ale przecież pan widzi. Biorę tylko dolara za śniadanie, a dolara pięćdziesiąt centów za obiad. Niech mi pan pokaże gdzie jest taniej. A dlaczego ja to robię? Korzyści z tej zabawy mam mało. Falk nie chciałby nawet spojrzeć na taki zarobek. A ja to robię dla tutejszej białej młodzieży, która nie miałaby gdzie zjeść porządnego posiłku w przyzwoitem, szanującem się towarzystwie. U mojego stołu jest zawsze towarzystwo pierwszorzędne.

Ogarnął puste krzesła tak pewnem spojrzeniem, że się poczułem jak natręt, który wtargnął do towarzystwa duchów.

— Biały powinien jeść jak białemu przystoi, do stu djabłów — wybuchnął gwałtownie. — Powinien jeść mięso, musi jeść mięso. Ja umiem zdobywać mięso dla moich klijentów jak rok okrągły. Może nie? U mnie się nie pitrasi dla bandy nędznych kulisów; może jeszcze kotlet, panie kapitanie? Nie? Ty tam, boy! zabieraj to.

Oparł się gwałtownym ruchem o tylną poręcz krzesła i czekał posępnie na curry*. Nawpół zamknięte żaluzje przyciemniały pokój przesiąknięty zapachem świeżej farby; rój much brzęczał i opadał kolejno, a uśmiech biednej pani Schomberg zdawał się ogniskować głupotę wszystkich durniów, jacy tylko w tych

* Indyjska korzenna przyprawa.

gołych ścianach zabierali głos, oddychali, i byli karmieni wstrętnem mięsem bawolem. Schomberg zamilkł i otworzył usta dopiero po to, aby w nie wsunąć łyżkę tłustego ryżu. Zawrócił śmiesznie oczyma przy połykaniu gorącego pokarmu i zaczął mówić na nowo.

— To jest wprost poniżające. Zanoszą mu do sterowni tacę z półmiskiem i nakryciem, a on zamyka oboje drzwi zanim się weźmie do jedzenia. Naprawdę! Musi się sam siebie wstydzić. Niech pan zapyta maszynisty. Nie może się obejść bez maszynisty, rozumie pan, a ponieważ od żadnego szanującego się człowieka nie można oczekiwać, że się zgodzi na taki wikt, Falk dodaje im na strawne jeszcze piętnaście dolarów miesięcznie. Ręczę panu, że to prawda! Niech pan tylko zapyta Ferdynanda da Costa. Tak się nazywa maszynista, którego Falk ma teraz na statku. Musiał go pan widzieć w moim zakładzie; delikatny, ciemnowłosy młodzieniec o bardzo pięknych oczach i małym wąsiku. Przybył tu przed rokiem z Kalkuty. Mówiąc między nami, domyślam się że tamtejsi lichwiarze musieli na niego nastawać. Chwyta każdą okazję, żeby wpaść do mnie na obiad czy na śniadanie, bo niechże mi pan powie, cóż to za przyjemność dla dobrze wychowanego młodzieńca jadać samotnie w swojej kajucie — jak dzika bestja? Falk sobie wyobraża, że jego maszyniści będą znosili takie rzeczy za piętnaście dolarów pensji extra. A te krzyki na statku za każdym razem gdy jakiś lekki zapach kuchenny rozejdzie się po pokładzie! Nie uwierzyłby pan! Któregoś dnia da Costa namówił kucharza żeby mu usmażył kotlet — i to kotlet z żółwia, wcale nie wołowy — no i tłuszcz się przypalił, czy coś w tym rodzaju.

Młody da Costa sam mi to opowiadał, tu, w tym pokoju. „Panie Schomberg — mówi do mnie — gdyby pokrywa od cylindra wyleciała przez lukę świetlną z powodu mojego niedbalstwa, kapitan Falk nie byłby mógł bardziej się wściekać. Tak kucharza nastraszył, że ten już nic nie chce dla mnie gotować“. Biedny da Costa miał łzy w oczach. Niechże pan spróbuje postawić się na jego miejscu, panie kapitanie; to taki wrażliwy chłopiec i dżentelmen. Czy ma jeść wszystko na surowo? Ale cały Falk w tem jest, jak żywy. Niech się pan zapyta kogo pan tylko chce. Przypuszczam że te piętnaście dolarów extra, które musi wyłoić, gryzą go bezustanku — o tutaj.

I Schomberg uderzył się w męską pierś. Siedziałem nawpół ogłuszony przez jego niedorzeczną paplaninę. Nagle wziął mnie ostrożnie za ramię w znaczący sposób, jakby naprawdę chciał mię wprowadzić do jakiejś jaskini zwierzeń.

— Wszystko to nic innego tylko zawiść — rzekł zniżonym tonem, który podniecił zmęczony mój słuch. — Nie zdaje mi się żeby w tem całem mieście była jedna jedyna osoba, o którąby nie był zazdrosny. Mówię panu, że on jest groźny. Nawet ja przed nim bezpieczny nie jestem. Wiem z pewnością, że usiłował otruć...

— Cóż znowu! — wykrzyknąłem z oburzeniem.

— Ależ ja wiem to napewno. Sami ci ludzie przyszli i opowiedzieli mi o tem. Chodzi wszędzie i rozpowiada, że jestem dla tego miasta gorszą zarazą niż cholera. Wygaduje na mnie od samego początku, od chwili kiedy otworzyłem ten hotel. Kapitana Hermanna także jaknajgorzej do mnie usposobił. Poprzednim razem, kiedy D j a n a przyjmowała tu ładunek,

kapitan Hermann przychodził dzień w dzień żeby coś wypić, albo wypalić cygaro. A teraz nie przychodzi nawet dwa razy na tydzień. Jak mi pan to wytłumaczy?

Ścisnął mi ramię i wydusił ze mnie coś w rodzaju pomruku.

— Zarabia dziesięć razy więcej odemnie. Jest tu jeszcze drugi hotel, z którym muszę walczyć, a drugiego holownika na rzece niema. Przecież mu nie wchodzę w drogę, nieprawdaż? Nie umiałby prowadzić hotelu, gdyby się wziął do tego. Ale taka już jego natura. Nie może znieść myśli, że zarabiam na życie. Mam nadzieję że mu to porządnie dopieka. I taki jest pod każdym względem. Lubiłby bardzo zjeść porządnie. Ale nie robi tego — dla zaoszczędzenia kilku centów. Nie może się na to zdobyć. To przechodzi jego siły. Ja to nazywam niewolnictwem. A taki jest niegodziwy, że zaraz robi skandal kiedy mu się sprzeciwić. Rozumie pan? To go świetnie maluje. Skąpiec i zawistnik. Nie można sobie tego w inny sposób wytłumaczyć. Czy nie prawda? Obserwowałem go pilnie przez te ostatnie trzy lata.

Chciał koniecznie abym się zgodził na jego teorję. I rzeczywiście, kiedy się zastanowiłem, wyglądało mi to dość prawdopodobnie, tylko że w paplaninie Schomberga czuło się zawsze zasadniczy fałsz i brak odpowiedzialności. Nie byłem jednak usposobiony do zgłębiania psychologji Falka. W owej chwili jadłem z rozpaczą kawałek czerstwego holenderskiego sera, a byłem taki zwątpiały, że nie obchodziło mnie nawet co sam łykałem, tembardziej więc nie mogłem sobie zaprzątać głowy stosunkiem Falka do gastronomji. Nie było nadziei, abym studjując ów stosunek, znalazł klucz

do postępowania Falka w interesach, które to postępowanie nie miało według mnie nic wspólnego z moralnością czy nawet przyzwoitością w najpospolitszym gatunku. Jakże ja muszę wyglądać marnie i nic nie znacząco, jeśli ten człowiek ośmiela się mnie w taki sposób traktować — rozmyślałem, skręcając się w duchu z niemej udręki. I tak gorliwie posyłałem w myśli do wszystkich djabłów Falka i jego dziwactwa, że zapomniałem o egzystencji Schomberga, póki mnie nie chwycił naglęco za ramię.

— No, panie kapitanie, może pan myśleć i myśleć aż wszystkie włosy panu z głowy wypadną, ale w żaden inny sposób pan tego nie wytłumaczy.

Ze względu na spokój i ciszę zgodziłem się z nim śpiesznie, w nadziei iż mię już teraz zostawi w spokoju. Ale słowa moje odniosły tylko ten skutek, że wilgotna twarz Schomberga rozjaśniła się przebiegłą dumą. Cofnął na chwilę rękę, aby spędzić czarną masę much z cukiernicy i znów mię chwycił za ramię.

— Z całą pewnością. Wszyscy wiedzą, że Falk chciałby się ożenić. Ale nie może. Przytoczę panu jeden przykład. Otóż przed dwoma laty niejaka panna Vanlo, bardzo dystyngowana młoda osoba, przybyła tu aby prowadzić dom swemu bratu, Fredowi, który miał na wybrzeżu warsztat dla mniejszych reperacyj. Nagle Falk zaczyna chodzić po obiedzie do ich willi i siedzi godzinami na werandzie, nic nie mówiąc. Biedna dziewczyna nie miała pojęcia co z takim człowiekiem robić, to też wciąż grała na fortepianie i śpiewała mu co wieczór; ledwie nie padła ze zmęczenia. A przytem zdaje się że wcale silną nie była. Miała już trzydziestkę, a klimat porządnie dał jej się we znaki. No i — uważa pan — Fred musiał siadywać

z nimi dla przyzwoitości, przez całe tygodnie nie mógł się ani razu przed dwunastą do łóżka położyć. To chyba nie należy do przyjemności, jeśli człowiek jest zmęczony, nieprawdaż? W dodatku Fred miał wtedy wielkie kłopoty, bo trwonił szybko pieniądze, a warsztat dochodów nie dawał. Pragnął gorąco stąd się wydostać i spróbować szczęścia gdzieindziej, ale ze względu na siostrę ociągał się i ociągał, póki nie wpędził się w długi powyżej uszu — mówię panu. Ja sam mógłbym pokazać u siebie w szufladzie garść rachunków Freda za jedzenie i picie w moim hotelu. Ale nigdy nie mogłem się dobadać, skąd wytrzasnął przed wyjazdem te wszystkie pieniądze. Nic innego, tylko musiał naciągnąć tego swojego brata, kupca węglowego w Port Saidzie. W każdym razie spłacił wszystkich przed wyjazdem, ale dziewczynie mało serce nie pękło. Nic dziwnego, taki zawód i to jeszcze w jej wieku, rozumie pan... Moja żona była dla niej bardzo dobra; mogłaby panu wszystko to opowiedzieć. Straszne to było. Dziewczyna mdlała z rozpaczy. Skandal — w całem tego słowa znaczeniu. Do tego stopnia, że stary Siegers — nie ten obecny dzierżawca pańskiego statku, ale ojciec Siegers — stary pan, który wycofał się z interesów, zrobiwszy majątek, i został pochowany na morzu w drodze powrotnej do kraju — otóż stary Siegers musiał wziąć Falka na rozmowę do swego prywatnego biura. To był człowiek, który umiał gadać jak z nut, a w dodatku firma Siegers dopomogła kiedyś Falkowi, dając mu na początek ładny kawał grosza. Po prawdzie to można powiedzieć, że go postawili na nogi. Tak się złożyło, że w tym samym czasie kiedy Falk tu się zjawił, firma Siegers wynajmowała co rok mnó-

stwo okrętów, i leżało w ich interesie, żeby na rzece łatwo było o holowanie. Rozumie pan?... No więc — wracając do rozmowy Falka z Siegersem — zawsze się znajdzie jakieś ucho przy dziurce od klucza, nieprawdaż? I rzeczywiście — zniżył ton poufnie — w tym wypadku ucho należało do mego dobrego znajomego — może pan tu go spotkać każdego wieczoru — tylko że niestety rozmawiali dość cicho. W każdym razie mój przyjaciel jest pewien, że Falk usiłował się tłumaczyć na wszelki sposób, a stary Siegers bardzo kaszlał. I potem także Falk chciał się ciągle żenić. Jakże! Wszyscy wiedzą, że ten człowiek tęskni od lat za założeniem rodzinnego ogniska. Ale nie chce się narazić na wydatki, i kiedy przyjdzie mu włożyć rękę do kieszeni — odrzuca go poprostu. To jest najprawdziwsza prawda. Zawsze to mówiłem, a dzisiaj każdy ze mną się zgodzi. Co pan o tem myśli — no?

Odwoływał się do mego oburzenia, ale miałem ochotę mu dokuczyć, i zauważyłem że „wydaje mi się to bardzo nędzne, jeżeli tak jest naprawdę“.

Skoczył na krześle, jak gdybym wbił w niego szpilkę. Nie wiem co byłby mi odpowiedział, ale w tej samej chwili usłyszeliśmy przez nawpół otwarte drzwi bilardowego pokoju kroki dwóch ludzi wchodzących z werandy, gwar dwóch głosów; rozległo się ostre stukanie monetą o stolik i Schombergowa z niezdecydowaniem nawpół podniosła się z krzesła. „Siedź spokojnie“, syknął mąż na nią, poczem krzyknął donośnie gościnnym, jowialnym tonem, pozostającym w jaskrawej sprzeczności z gniewnem spojrzeniem, po którem żona jego znów się opuściła na krzesło:

— Proszę panów, siedzimy tu jeszcze przy śniadaniu.

Nie było na to odpowiedzi, lecz głosy nagle ucichły. Główny kelner, Chińczyk, wyszedł do bilardowego pokoju. Usłyszeliśmy jak lód dźwięknął o szklanki, potem ktoś nalewał wodę; rozległo się szurganie nogami i zgrzyt krzeseł. Schomberg, wyraziwszy cichym szeptem zdziwienie, kto u djabła mógł przyleźć o tej porze, wstał z serwetą w ręku aby zajrzeć ostrożnie przez drzwi. Cofnął się szybko na palcach, i szepcząc z ustami osłoniętemi ręką, powiadomił mię że to Falk, Falk we własnej osobie tam się znajduje i, co więcej, w towarzystwie kapitana Hermanna.

Powrót Falka z zewnętrznego portu był nieoczekiwany lecz możliwy, gdyż Falk zabrał Djanę o wpół do piątej, a teraz była już druga. Schomberg zwrócił moją uwagę, że żaden z tych ludzi nie chce wydać dolara na śniadanie, choć muszą przecież być głodni. Lecz nim się zebrałem do odejścia, Falk wyszedł. Słyszałem kroki jego wielkich butów, oddalające się po deskach werandy. Hermann siedział samotnie w obszernym, drewnianym pokoju, gdzie stały dwa bezduszne bilardy spowite w pasiaste pokrowce, i wycierał pilnie pot z twarzy. Miał na sobie najlepsze ubranie, które nosił podczas lądowych wycieczek: sztywny kołnierzyk, czarny surdut, obszerną białą kamizelkę, popielate spodnie. Biały bawełniany parasol z trzcinową rączką spoczywał między jego nogami, bokobrody były zaczesane starannie, podbródek świeżo wygolony; bardzo niejasno przypominał rozczochranego, przerażonego człowieka w tabaczkowej koszuli i ohydnych starych spodniach, którego widziałem zrana, jak wieszał się u koła Djany.

Drgnął na mój widok i zwrócił się do mnie natychmiast z pewnem zmieszaniem, lecz jednocześnie

ze szczerą skwapliwością. Pragnął mi wyjaśnić, że nie ma nic wspólnego z tem, co nazwał „tą głupią historją“, która miała miejsce dziś rano. Było mu to jaknajbardziej nie na rękę. Spodziewał się, że spędzi jeszcze jeden dzień w mieście aby uregulować rachunki i podpisać pewne papiery. Miało jeszcze nadejść trochę zapasów oraz kilka sztuk „mojego żelastwa“ — jak się dziwnie wyraził — które znajdowało się na brzegu dla naprawy i tam zostało. Teraz jest zmuszony wynająć krajowe czółno aby przewieźć to wszystko na statek. Będzie to kosztowało z pięć albo sześć dolarów. Falk nie uprzedził go o niczem. Nie powiedział mu ani słowa. Uderzył w stół swoją krótką, grubą pięścią... Der verfluchte Kerl zjawił się rano jak „jaki zbój, psiakrew“, z wielkim hałasem i zabrał ich. Pomocnik nie był gotów, cumy nie odwiązane — to haniebne tak człowieka napastować. Haniebne! Ale Falk stanowił na rzece taką potęgę, że kiedy powiedziałem lodowatym tonem, iż Hermann mógł się poprostu nie zgodzić na poruszenie swego statku z miejsca, poczciwiec przestraszył się poprostu tej myśli. Nigdy przedtem nie zdałem sobie tak jasno sprawy z tego, że żyjemy w wieku pary. Wyłączne posiadanie marynarskiego kotła dało Falkowi władzę nad nami wszystkimi. Hermann, przyszedłszy do siebie, tłumaczył mi błagalnie, że wiem bardzo dobrze jak niebezpiecznie jest się sprzeciwiać temu drabowi. Na to się tylko chłodno uśmiechnąłem.

— Der Kerl! — krzyknął. Przykro mu teraz że nie odmówił. Bardzo przykro. Co za szkody! Co za szkody! I poco te wszystkie szkody! Nie było żadnego powodu do szkód. Czy wiem jakie mu szkody wyrządził? Odrzekłem z pewną przyjemnością, że słysza-

łem jak jego stara buda trzeszczała, mijając nas, na baku i rufie.

— Przejechaliście koło nas wcale blisko — dodałem znacząco.

Na to wspomnienie podniósł obie ręce do nieba. W jednej z nich trzymał przez środek biały parasol, przyczem dziwnie był podobny do karykatury obywatela kupieckiego stanu z jego rodzimych niemieckich pism humorystycznych.

— Ach! To było niebezpieczne — zawołał. Ubawiło mię to. Ale natychmiast dodał niby to z prostotą: — Bok waszego żelaznego statku byłby wgnieciony jak — jak to pudełko zapałek.

— Doprawdy? — burknąłem ze znacznie mniejszym humorem; ale nim się zorjentowałem że to nie miał być docinek, wybuchło w Hermannie wielkie rozgoryczenie na Falka. Co za niewygoda, co za szkody, co za wydatek! Gottferdamm! Niech go djabli wezmą. Za ladą baru Schomberg z cygarem w zębach udawał, iż pisze coś ołówkiem na dużym arkuszu papieru; a że podniecenie Hermanna wciąż rosło, poczucie własnego spokoju i wyższości podziałało na mnie pokrzepiająco. Lecz gdy słuchałem jego wymyślań, przyszło mi nagle na myśl, że jednak poczciwiec przyjechał na holowniku. Pod tym względem nie miał wolnego wyboru, ponieważ musiał być w mieście. Ale przecież pili coś razem z Falkiem, zaprosił go lub też został zaproszony? Osadziłem go tedy na miejscu, mówiąc wyniośle, że spodziewam się iż każe Falkowi zapłacić koszta naprawy aż do ostatniego pensa.

— Otóż to! Otóż to właśnie! Weźcie się do niego! — zawołał Schomberg od baru, rzucając ołówek i zacierając ręce.

Udaliśmy że go nie słyszymy. Lecz podniecenie Hermanna nagle opadło, jak kipiąca woda w garnku odsuniętym od ognia. Zacząłem mu przekładać, że skończył już teraz z Falkiem i jego przeklętym holownikiem. Przecież on, Hermann, nie pojawi się może całemi latami w tej części świata, ponieważ zamierza sprzedać Djanę przy końcu tej podróży („Wrócimy do domu parowcem jako pasażerowie“, mruknął machinalnie). Był zatem przed złośliwością Falka zabezpieczony. Pozostaje mu tylko popędzić do swoich agentów i wstrzymać zapłatę rachunku za holowanie, póki jeszcze nie miał czasu tam pójść i podjąć pieniędzy.

Zaduma, z jaką Hermann zabrał się do ustawiania swego parasola, opierając go o brzeg stołu, była krańcowo sprzeczna z duchem tej mojej rady.

Gdy śledziłem ze zdziwieniem jego skupione wysiłki, rzucił na mnie jedno czy dwa zakłopotane, nawpół nieśmiałe spojrzenia. Potem usiadł.

— Wszystko to bardzo pięknie — rzekł z namysłem.

Nie ulegało wątpliwości, że wyholowanie Hermanna z portu wbrew jego woli wyprowadziło go z równowagi. Jego flegma została głęboko wstrząśnięta, bo inaczej nie byłby się nigdy zdecydował spytać mnie nagle, czy nie zauważyłem że Falk zerka na jego siostrzenicę.

— Nie więcej ode mnie — odpowiedziałem ze ścisłą prawdą. Dziewczyna miała powierzchowność tego rodzaju, że w pewnem znaczeniu musiało się na nią spoglądać. Nie mówiła nic, ale wypełniała w sposób jaknajprzyjemniejszy dla oka dobry kawał przestrzeni.

— Ale pan, panie kapitanie, nie jest człowiekiem tego samego pokroju — zauważył Hermann.

Stwierdzam z przyjemnością, że nie potrzebowałem temu przeczyć. Nie mogłem się jednak powstrzymać od zapytania:

— No a cóż ona na to?

Hermann spojrzał na mnie przeciągle z powagą, jak gdyby chciał zmienić temat. Nagle zaczął nieoczekiwanie coś mruczeć o swoich dzieciach, które wkrótce już tak wyrosną, że trzeba je będzie posyłać do szkoły. Będzie musiał zostawić je z babką na lądzie, gdy obejmie to nowe dowództwo, które spodziewa się dostać w Niemczech.

Dziwnie brzmiały te ciągłe jego nawroty do spraw domowych. Widać musiał to być dla niego jakby zasadniczy przełom w życiu. Nowa epoka. Przytem miał rozstać się z Djaną! Służył na niej od lat. Dostał ją w spadku. Po jakimś wuju, jeśli dobrze pamiętam. A teraz przyszłość majaczyła przed nim, wyolbrzymiona, zaprzątając wszystkie jego myśli; rozważał różne możliwości, jak w przeddzień jakiegoś ryzykownego przedsięwzięcia. Siedział namarszczony, gryząc wargę, i nagle zaczął się irytować i marudzić.

Zabawiło mię na chwilę pewne odkrycie; oto Hermann zdawał się sobie wyobrażać, że byłbym mógł, czy byłbym powinien, doprowadzić w jakiś sposób Falka do tego aby się wypowiedział. Taka pretensja była niezrozumiała lecz zabawna. Zniecierpliwiło mię obcowanie z temi wszystkiemi głupstwami. Powiedziałem kwaśno, że nie zauważyłem w Falku żadnych oznak zakochania, a jeśli jakie były — skoro on, Hermann, tak twierdzi — to tem gorzej. Nie rozumiem, co za przyjemność Falk znajduje w takiem nabieraniu ludzi. Ale moim najświętszym obowiązkiem jest przestrzec Hermanna. I powiedziałem mu, że niedawno

doszło do mojej wiadomości, jakoby istniał człowiek, który niebardzo dawno został nabrany właśnie w taki sam sposób.

Wszystko to było mówione półgłosem, i w tej właśnie chwili Schomberg, rozjątrzony naszą tajemniczością, wyszedł z pokoju, zatrzaskując drzwi z hukiem, na który literalnie zerwaliśmy się z krzeseł. Może to podziałało na Hermanna, a może moje słowa, dość że się obraził. Wskazując pogardliwie na drzwi, które trzęsły się jeszcze, wyraził przypuszczenie że słyszałem którąś z idjotycznych bzdur tamtego człowieka. To wyglądało naprawdę, jakby go ktoś do Schomberga uprzedził.

— Te jego opowiadania, to są... to są — powtarzał, szukając słowa — śmiecie. — Powtórzył jeszcze raz, że to są śmiecie, i że w dodatku ja, będąc jeszcze młodym...

Okropna ta potwarz (żałuję że nie jestem już dziś narażony na tego rodzaju zniewagę) obraziła mię także. Poczułem w sobie gotowość do poparcia każdego twierdzenia Schomberga, na jakikolwiek temat. W jednej chwili, Bóg wie dlaczego, Hermann i ja zaczęliśmy na siebie spoglądać jaknajbardziej wrogo. On, niewiele myśląc, schwycił kapelusz, a ja zrobiłem sobie tę przyjemność i krzyknąłem wślad za nim:

— Niech pan posłucha mojej rady i zmusi Falka, żeby zapłacił za potrzaskanie pańskiego statku. Nie zdaje mi się, aby pan mógł na nim jeszcze co innego wydębić.

Kiedy znalazłem się później na swoim okręcie, stary pomocnik, który był bardzo przejęty rannemi wypadkami, zauważył:

— Widziałem, jak holownik wracał z zewnętrznego portu akurat przed drugą P. M.[1]) (Nie używał

---

[1]) P. M., post meridiem (po południu); A. M., ante meridiem (przed południem).

nigdy, w żadnym wypadku, słów: rano albo popołudniu. Mówił zawsze P. M. albo A. M., stylem dziennika okrętowego). To ciężka praca. Człowiek ciągle musi się spieszyć. Cóż to jest za ordynarne drabisko, prawda, panie kapitanie? Znam ja w Londynie na Eastend parę szynków, gdzie taki jak on akuratby się przydał za ladą. — Zachichotał ze swego żartu. — Skończony cham. Teraz, kiedy wylał na pysk tego Szwaba, przypuszczam że nasza kolej jutro rano.

O świcie byliśmy wszyscy na pokładzie (przyczołgali się nawet chorzy, nieboraki), gotowi odbić od brzegu w mgnieniu oka. Nie pokazał się żaden statek. Falk się nie pokazał. Wreszcie kiedy zacząłem myśleć, że się coś pewnie popsuło w jego maszynowni, spostrzegliśmy holownik płynący pełną parą w dół rzeki, jak gdybyśmy wogóle nie istnieli. Przez chwilę żywiłem szaloną myśl, że zawróci za następnym zakrętem. Potem śledziłem dym ukazujący się nad równiną, to tu, to tam, zgodnie z zakrętami rzeki. Znikł. Wówczas bez słowa zeszedłem na dół na śniadanie. Poprostu — zeszedłem na dół na śniadanie.

Żaden z nas nie odezwał się ani słowem, aż wreszcie pomocnik, który skończył wchłaniać drugą filiżankę herbaty, wessawszy ją ze spodka, wykrzyknął:

— Gdzież go u djabła poniosło?

— Pojechał się przystawiać! — krzyknąłem z tak szatańskim śmiechem, że staruszek nie ośmielił się już więcej ust otworzyć.

Ruszyłem do biura z zupełnym spokojem. Ze spokojem nadmiernej wściekłości. Tam widocznie już wszystko wiedzieli i przyjęli mnie z udaną konsternacją. Dyrektor, niezmiernie otyły, stąpający cicho człowiek o krótkim oddechu, wstał i podszedł aby się

ze mną przywitać, a młodzi urzędnicy siedzący naokoło pokoju, pochyleni nad robotą, spojrzeli ku mnie w górę z nad swoich papierów. Tłuścioch nie czekał na moją skargę, i sapiąc ciężko, udzielił mi wiadomości takim tonem, jakby sam nie chciał temu wierzyć, że Falk — kapitan Falk — oświadczył — oświadczył stanowczo — że nie będzie holował mojego statku — że nie chce mieć nic do czynienia z moim statkiem — ani dziś, ani jakiegokolwiek innego dnia. Nigdy!

Ze wszystkich sił starałem się zachować zimną krew, ale musiało być jednak widoczne jak bardzo jestem zaskoczony. Rozmawialiśmy na środku pokoju. Nagle za memi plecami jakiś osioł wytarł nos z wielkim hałasem, a jednocześnie inny gryzipiórek zerwał się i wyszedł pośpiesznie na schody. Przyszło mi na myśl, że muszę mieć bardzo głupią minę. Zażądałem gniewnie widzenia się z pryncypałem w jego prywatnym gabinecie.

Skóra na głowie Siegersa prześwitywała trupią białością między stalowo siwemi pasmami włosów, zaczesanemi gładko na krzyż na wierzchu czaszki od ucha do ucha, nakształt bandaża. Jego wązka, zapadła twarz była jednostajnego, trwałego koloru terrakoty, jak naczynie z gliny. Był chorowity, chudy i mały, a przeguby u rąk miał jak dziesięcioletni chłopiec. Ale z tego słabego ciała wydobywał się gniewny głos, niesłychanie głośny, szorstki i dźwięczący, głos o wielkim rezonansie, jakby wydawany przez jakiś potężny mechanizm w rodzaju rogu. Nie wiem co robił z tym głosem w prywatnem, domowem życiu, ale w szerszym zakresie interesów głos ów przedstawiał tę korzyść, że umożliwiał odpieranie argumentów bez naj-

lżejszego umysłowego wysiłku, poprostu samą objętością dźwięku. Mieliśmy z sobą już kilka utarczek. Robiłem zawsze co mogłem, żeby obronić interesy mych mocodawców — których notabene nie widziałem nigdy na oczy — gdy tymczasem Siegers, (który poznał ich przed kilku laty, podróżując w interesach po Australji) udawał że zna najtajniejsze ich myśli i ciągle świecił mi w oczy znajomością z nimi, jako jego „bardzo bliskimi przyjaciółmi“.

Spojrzał na mnie krzywem okiem (nie miłowaliśmy się zbytnio) i oświadczył odrazu, że to jest dziwne, bardzo dziwne. Jego wymowa angielska była tak cudaczna, że nie będę nawet usiłował jej odtworzyć. Mówił, naprzykład, „parco cifne“, co sprawiało — w połączeniu z ryczącym głosem — że język mego dzieciństwa brzmiał dziwacznie i zastraszająco, a nawet jeśli się go brało poprostu za rodzaj hałasu bez żadnej treści, przejmował z początku zdziwieniem.

— Znamy się z kapitanem Falkiem — ciągnął — już od bardzo dawna, i nie miałem nigdy powodu...

— Właśnie dlatego przychodzę do pana — przerwałem. — Mam prawo się dowiedzieć, jaka jest przyczyna tej haniebnej bzdury.

W półcieniu pokoju, zielonawym od wierzchołków drzew zasłaniających okno, zobaczyłem że Siegers wzrusza chudemi ramionami. Przyszło mi do głowy — takie oderwane myśli błyskają człowiekowi w najprzeróżniejszych chwilach — że to jest najprawdopodobniej ten sam pokój, w którym — jeśli wierzyć opowiadaniom — Falk dostał nauczkę od Siegersa ojca. Przytłaczający głos Siegersa (syna), grzmiący mosiężnemi dźwiękami — jakby dyrektor usiłował mówić przez trombon — otóż głos ów wyrażał ubolewanie nad obejściem, nacecho-

wanem bardzo wielkim brakiem delikatności... Jakem żyw, i mnie także dawano nauczkę! Trudno było zrozumieć ogłuszający szwargot Siegersa, ale doprawdy, to moje obejście — moje! ośmielał się... Do djabła! Tego już znieść nie mogłem.

— Do czegoż pan zmierza u licha? — zapytałem z wściekłością. Wsadziłem kapelusz na głowę (Siegers nigdy nikomu nie wskazywał krzesła) i w chwili gdy zdawało się że oniemiał na widok tego braku uszanowania, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Jego głosowy narząd zagrzmiał za mną, rzucając pogróżki, że ściągnie z okrętu opłatę za przetrzymanie barek odwożących towar, oraz za wszystkie inne wydatki wynikające ze zwłoki, której powodem jest moja lekkomyślność.

Gdy się znalazłem na dworze, w słońcu, zakręciło mi się w głowie. Tu nie chodziło już tylko o zwłokę. Poczułem się w matni beznadziejnych i poniżających absurdów, które prowadziły do czegoś co przypominało klęskę. „Spokojnie, spokojnie", mruknąłem do siebie i pobiegłem w cień padający od trędowatej ściany. Z tej krótkiej bocznej ulicy widać było szeroki główny trakt, zniszczony i wesoły, biegnący daleko, daleko, wśród rozpadających się murów, bambusowych płotów, rzędów arkad z cegieł i tynku, lepianek z krokwi i błota, wyniosłych świątynnych bram rzeźbionych w drzewie, szop skleconych ze zgniłych mat — niezmiernie szeroki trakt, zapełniony luźno jak okiem sięgnąć grupami bosych i brunatnych ludzi brodzących w kurzu po kostki. Przez chwilę czułem że bliski jestem szaleństwa z udręki i rozpaczy.

Trzeba mieć trochę pobłażania dla uczuć młodego człowieka nie przywykłego do odpowiedzialności. My-

słałem o mojej załodze. Połowa majtków była chora, i zaczynałem naprawdę myśleć że kilku z nich umrze na statku, jeśli nie da się ich prędko wywieźć na morze. Oczywiście będę musiał przeprowadzić statek wdół rzeki albo posługując się żaglami, albo używając manewru zwanego zawożeniem kotwicy — które to sposoby, podobnie jak wielu innych współczesnych marynarzy, znałem tylko teoretycznie. I wzdragałem się prawie przed podjęciem ich bez dostatecznej ilości ludzi i bez lokalnej znajomości rzecznego łożyska, która jest taka potrzebna dla ufnego kierowania okrętem. Nie było ani pilotów, ani znaków ostrzegawczych na rzece, ani boj jakichkolwiek; był tam natomiast djabelski zaiste prąd, co każdy mógł z łatwością zobaczyć, mnóstwo płycizn i conajmniej dwa wybitnie trudne zakręty między mną i morzem. Ale nie mogłem wiedzieć jak dalece te zakręty są niebezpieczne. Nie wiedziałem nawet do czego mój okręt jest zdolny! Nigdy jeszcze nie miałem z nim do czynienia. Nieporozumienie między człowiekiem a jego statkiem na trudnej rzece, gdzie niema miejsca aby błąd naprawić, musi się skończyć źle dla człowieka. Z drugiej strony należy przyznać, że nie miałem powodu liczyć na pomyślne losy. A gdyby mnie spotkało nieszczęście, gdybym wpędził statek na jakąś obrzydłą mieliznę? To położyłoby kres podróży. Było jasne, że jeśli Falk odmówił holowania mojego statku, nie chciałby również ściągnąć mnie z mielizny. A coby to oznaczało? W najlepszym razie jeden stracony dzień, ale daleko prawdopodobniej całe dwa tygodnie prażenia się na jakiejś zapowietrzonej, błotnistej mieliźnie, dwa tygodnie rozpaczliwej pracy, wyładowywania towaru; z pewnością oznaczałoby to również pożyczanie pieniędzy na lich-

wiarski procent, i to w dodatku od zgrai Siegersów. Byli w porcie potęgą. A ten mój majtek w podeszłym wieku, Gambril, wyglądał okropnie, kiedy poszedłem na bak aby dać mu proszek chininy. Z pewnością umrze — nie mówiąc już o dwóch czy trzech innych, co wyglądali prawie na równie ciężko chorych, i o reszcie załogi, która gotowa była złapać pierwszą lepszą z panujących podzwrotnikowych chorób. Zgroza, ruina, wieczne wyrzuty sumienia. I żadnej pomocy. Znikąd. Dostałem się między nieprzyjaznych warjatów!

W każdym razie, jeśli mnie czekało przeprowadzenie okrętu o własnych siłach, obowiązkiem moim było w miarę możności zapewnić sobie trochę lokalnych informacyj. Ale to nie było łatwe. Jedyną osobą odpowiednią do tego rodzaju usług był niejaki Johnson — dawniej kapitan tubylczego statku, żonaty obecnie z autochtonką — który zeszedł zupełnie na psy. Słyszałem o nim, że żyje ukryty wśród dwustu tysięcy krajowców i wyłania się na światło dzienne tylko po to aby wynaleźć trochę wódki. Wyobrażałem sobie, że gdybym mógł go wyszukać, doprowadziłbym go do trzeźwości na statku i miałbym pilota. Byłoby to lepsze niż nic. Marynarz jest zawsze marynarzem — a on znał tę rzekę od lat. Ale w naszym konsulacie (gdzie przyszedłem ociekający potem od szybkiego chodu) nic mi nie umieli powiedzieć. Urzędujący tam zacny młodzian, choć pragnął mi dopomóc, należał do takich sfer białej kolonji, dla których ludzie w rodzaju Johnsona wcale nie istnieją. Podsunięto mi myśl, abym go sam wyszukał przy pomocy policjanta konsulatu — byłego sierżanta z oddziału huzarów.

Zwykłe obowiązki owego człowieka polegały prawdopodobnie na siedzeniu za stolikiem w jednym z pierwszych pokoi biur konsularnych. Gdy mu polecono aby mi pomógł w wyszukaniu Johnsona, wykazał mnóstwo energji i niesłychany zasób swego rodzaju lokalnej wiedzy. Nie ukrywał jednak pełnej sceptycyzmu, niezmiernej wzgardy dla tej całej historji. Zwiedziliśmy razem owego wieczoru nieskończoną ilość podłych szynków z grogiem, szulerskich nor, spelunek dla palenia opjum. Szliśmy w górę wązkiemi uliczkami, gdzie nasz wózek — małe pudło na kołach, ciągnięte przez narowistego burmańskiego kucyka — nie mógłby w żaden sposób przejechać. Policjant był widać w stosunkach pogardliwej zażyłości z Maltańczykami, z Eurazjatami, z Chińczykami, z Klingami i zamiataczami obsługującymi świątynię, z którymi rozmawiał u wrót Interpelowaliśmy także niezmiernie otyłego Włocha. rozmawiając z nim przez kratę w ścianie z mułu, zamykającej ślepą uliczkę; ów Włoch — według uwagi rzuconej mimochodem przez byłego sierżanta — zabił znów człowieka w zeszłym roku. Co powiedziawszy, sierżant zwrócił się do tegoż Włocha, nazywając go „Antonjem“ i „starym kozłem“, choć to nadęte ścierwo, na oko zapełniające więcej niż połowę pomieszczenia w rodzaju celi, przypominało raczej tłustą świnię w chlewie. Poufały i majestatyczny, sierżant wziął pod brodę — dosłownie wziął pod brodę — pooraną ohydnie zmarszczkami i pokurczoną starą wiedźmę wspartą na kiju, która ofiarowała się z jakąś informacją; i z równie nieporuszoną twarzą wiódł ożywioną rozmowę z grupami spowitych w tkaniny brunatnych kobiet, które siedziały, paląc cygara, na progach, przed drzwiami glinianych lepianek stojących

długim rzędem. Wysiadaliśmy z wózka i wspinaliśmy się do mieszkań przewiewnych niby klatki do pakowania, albo schodziliśmy do izb ponurych jak piwnice. Wsiadaliśmy do wózka, jechaliśmy dalej, wysiadaliśmy znów, z jednym jedynym celem, jak się zdawało, aby zajrzeć za kupę rumowisk. Słońce zniżyło się; mój towarzysz dawał mi krótkie i szyderskie odpowiedzi, ale wynikało z nich, że się wciąż z Johnsonem mijamy. Wreszcie wehikuł nasz stanął raz jeszcze z szarpnięciem, woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki.

Czarne bajoro przegradzało dróżkę. Kopiec odpadków ze zdechłym psem na wierzchu bynajmniej nas nie odstręczył. Pusta puszka po australijskich konserwach z wołowego mięsa podskoczyła wesoło przed moim butem. Potem przecisnęliśmy się przez szparę w ciernistym płocie...

Znaleźliśmy się na bardzo czystem podwórzu. Wielka kobieta z tamtejszej rasy — o gołych brunatnych nogach, grubych jak u słonia — czołgała się za srebrnym dolarem, który się skądś wytoczył. Była to pani Johnson we własnej osobie.

— Pański Johnson jest w domu — rzekł były sierżant i usunął się na bok, zaznaczając ostentacyjnie zupełną obojętność w stosunku do wszystkiego co mogło nastąpić. Johnson stał tyłem do chaty o ścianach z mat, stojącej na palach. W lewej ręce trzymał banan. Prawą rzucił w przestrzeń drugiego dolara. Tym razem kobieta złapała go w lot i opuściła się ciężko na ziemię, aby się nam przypatrywać w wygodniejszej pozycji.

„Mój Johnson“ miał bladą, nieogoloną twarz, siwe włosy, a łokcie i plecy zabłocone; przez rozłażące się

szwy szewiotowego surduta było widać jego białą nagość. Na szyi miał resztki papierowego kołnierzyka. Spojrzał na nas z powagą i zdumieniem, chwiejąc się na nogach. „Skąd się pan tu wziął?“ zapytał. Upadłem na duchu. Jakże mogłem być taki głupi, żeby dla czegoś podobnego tracić czas i energję!

— Ale zabrnąwszy już tak daleko, podszedłem do Johnsona i wyłożyłem mu cel mojej wizyty. Chodzi mi o to, aby zabrał się ze mną odrazu, spędził noc u mnie na statku, i jutro z pierwszym odpływem pomógł mi przeprowadzić statek przez rzekę — bez użycia pary. Mój bark ma sześćset ton pojemności i dziewięciostopowe zanurzenie rufą. Zaproponowałem Johnsonowi osiemnaście dolarów za jego znajomość terenu; przez cały ten czas były marynarz przypatrywał się uważnie ze wszystkich stron bananowi, podnosząc go do oczu to z jednej, to z drugiej strony.

— Pan zapomniał mnie przeprosić — rzekł wreszcie bardzo wyraźnie. — Nie będąc sam dżentelmenem, nie czuje pan prawdopodobnie, gdy się pan dżentelmenowi narzuca. Ja jestem dżentelmenem. Życzę sobie aby pan zrozumiał, że kiedy jestem przy pieniądzach to nie pracuję, a teraz właśnie...

Byłbym go uznał za zupełnie trzeźwego, gdyby się nie zatrzymał i nie zaczął trzeć z wielkiem zajęciem dziury w spodniach na kolanie.

— Mam pieniądze — i mam przyjaciół. Tak jak i każdy dżentelmen. Możeby pan chciał poznać mego przyjaciela? Nazywa się Falk. Mógłby pan pożyczyć od niego trochę pieniędzy. Niech się pan stara zapamiętać: F-A-L-K. Falk. — Zmienił ton nagle. — Szlachetna dusza — rzekł z roztargnieniem.

— Więc Falk dał panu pieniędzy? — spytałem,

przerażony drobiazgowem wykończeniem tego ciemnego spisku.

— Pożyczył mi, mój poczciwcze, a nie dał mi — poprawił ze słodyczą. — Spotkał mnie na przechadzce wczoraj wieczór, a że chciał być, jak zwykle, usłużny — — Czyby pan tak nie poszedł sobie do djabła z mojego podwórza?

Co rzekłszy, bez żadnego ostrzeżenia cisnął banan, który przeleciał koło mojej głowy i trafił policjanta akurat pod lewem okiem. Ten rzucił się na nędznego Johnsona, bełkocząc z wściekłości. Upadli obaj... Ale po co się rozwodzić nad niedolą, poniżeniem, bezsensem tamtych chwil, nad mojem zmęczeniem, i brakiem tchu, i śmiesznością, i upokorzeniem i — i — kroplistym potem? Odciągnąłem byłego huzara. Zachowywał się jak dzikie zwierzę. Zdaje się, że utrata wolnego popołudnia bardzo mu była nie na rękę, gdyż ogród, który miał przy domku, wymagał jego osobistego dozoru. Lekkie uderzenie bananem rozpętało w nim bestję. Gdyśmy odchodzili, Johnson leżał nawznak, wciąż jeszcze siny na twarzy, ale zaczynał poruszać zlekka nogami. Podczas tego wszystkiego wielka kobieta siedziała wciąż na ziemi, widocznie obezwładniona okropnym strachem.

Przez pół godziny trzęśliśmy się w sunącem pudełku, milcząc głucho. Były sierżant tamował krew płynącą z długiej kresy na policzku.

— Mam nadzieję, że pan jest zadowolony — rzekł nagle. — Ładny koniec tej błazeńskiej historji! Gdyby pan się nie pokłócił z kapitanem holownika o jakąś tam dziewczynę, nigdyby do tego wszystkiego nie doszło.

— Tak panu opowiadano? — rzekłem.

— Naturalnie że opowiadano. I dziwiłbym się gdyby to nie doszło do samego generalnego konsula. Jak ja się przed nim jutro stawię z tą krechą na twarzy? To panu się należało.

Wypowiedziawszy to, zaczął równym głosem sypać przekleństwa — okropne, soczyste, żołnierskie, wobec których najgorsze marynarskie klątwy brzmiałyby jak szczebiot dziecięcy; wreszcie wózek się zatrzymał i były sierżant wyskoczył bez pożegnania. Co się mnie tyczy, ledwo mi sił starczyło na dopełznięcie do kawiarni Schomberga, gdzie napisałem przy małym stoliku kartkę do pomocnika, zawiadamiając go aby miał wszystko w pogotowiu, bo nazajutrz rano ruszamy. Nie mogłem znieść widoku swego statku. No, no! Ładnego ma nieborak kapitana, niema co mówić! Cóż to za okropna historja! Objąłem rękoma głowę. Chwilami doprowadzał mię do rozpaczy fakt, że nic temu winien nie jestem. Cóż ja takiego zrobiłem? Gdybym popełnił coś, z czegoby to wszystko wynikało, byłbym się przynajmniej nauczył drugi raz tego nie robić! Ale się czułem niewinny poprostu aż do absurdu.

Kawiarnia była jeszcze pusta, tylko Schomberg krążył koło mnie, wybałuszając oczy z pewnego rodzaju lękliwą ciekawością i szacunkiem. Nie wątpiłem że to on rozpuścił ową historję, ale miał jednak dobre serce, i jestem doprawdy przekonany że dzielił wszystkie moje troski. Krzątał się koło mnie jak tylko mógł. Usunął na bok ciężką zapalniczkę, ustawił prosto krzesło, popchnął zlekka nogą spluwaczkę — jak to się daje drobne dowody współczucia przyjacielowi, którego dotknął ciężki smutek — wreszcie westchnął i rzekł, niezdolny utrzymać dłużej języka na wodzy:

— No! Ostrzegałem pana, panie kapitanie. Ma pan za to, że się pan porwał na Falka. Ten człowiek gotów iść po trupach do celu.

Siedziałem bez ruchu; Schomberg obrzucił mię wzrokiem wyrażającym coś w rodzaju współczucia, i wybuchnął zachrypłym szeptem:

— Ale pyszny bo pyszny kąsek z tej dziewczyny. — Mlasnął głośno grubemi wargami. — Najpyszniejszy kąsek, jaki kiedykolwiek... — ciągnął z wielkiem namaszczeniem, lecz urwał niewiadomo dlaczego. Wyobraziłem sobie w duchu, że rzucam mu czemś w głowę. — Ja pana nie potępiam, panie kapitanie. Nie potępiam, żebym tak zdrów był — powtórzył protekcjonalnym tonem.

— Dziękuję panu — rzekłem z rezygnacją. Niewarto było walczyć przeciw tej fałszywej opinji. Nie wiem nawet, czy sam byłem pewien gdzie się prawda zaczyna. Kolejne wstrząsy, którym uległo moje poczucie bezpieczeństwa, wpoiły mi przekonanie że to wszystko skończy się katastrofą. Zacząłem przypisywać nadzwyczajną potęgę czynnikom, nie mającym w gruncie rzeczy żadnego znaczenia. Zdawało mi się że w bezpodstawnych plotkach Schomberga tkwi jakaś moc, która przemienia je w rzeczywistość, albo że wrogość Falka sama przez się mogłaby wpędzić mój statek na mieliznę.

Wyjaśniłem już jak dalece taki wypadek byłby fatalny. To, co teraz nastąpi, kładę na karb mojej młodości, niedoświadczenia, i bardzo realnego niepokoju o zdrowie załogi. Postępek mój był nawskróś impulsywny. A został wywołany poprostu przez ukazanie się Falka we drzwiach kawiarni.

W pokoju pełnym już gości panował gwar. Wszyscy spojrzeli na mnie z ciekawością, ale jakże

mam opisać sensację wywołaną przez ukazanie się Falka — we własnej osobie — który zatarasował drzwi swą postacią? Natężone oczekiwanie obecnych można było zmierzyć głębokością ciszy, co pochłonęła nawet dźwięk kul bilardowych. Jeśli chodzi o Schomberga, wyglądał na niezmiernie wystraszonego; nienawidził śmiertelnie wszelkiego rodzaju kłótni (nazywał to fracas) w swoim zakładzie. Twierdził że fracas jest rzeczą szkodliwą dla interesów; ale w gruncie rzeczy ten okaz tęgiego mężczyzny w średnim wieku był z usposobienia bojaźliwy. Nie wiem, czego się wszyscy spodziewali po sytuacji wytworzonej przez moją obecność w kawiarni. Może mieli nadzieję, że wybuchnie coś w rodzaju walki rogaczy? Albo przypuszczali że Falk przybywa aby mnie zupełnie unicestwić. W rzeczywistości zaś przyszedł na prośbę Hermanna aby zapytać o drogocenny biały bawełniany parasol; wśród trosk i niepokojów poprzedniego dnia Hermann zapomniał go na stole, przy którym toczyła się nasza krótka rozmowa.

To właśnie było dla mnie okolicznością sprzyjającą. Nie sądzę, abym się był wybrał na poszukiwanie Falka. Nie. Nie sądzę. Wszystko ma jednak pewne granice. Ale trafiła mi się okazja i chwyciłem ją — starałem się już wyjaśnić dlaczego. Teraz chcę tylko stwierdzić, że według mnie szyprowi wolno uciec się do wszystkiego i wszystko powinno mu się wybaczyć — prócz zbrodni — jeśli jego celem jest wywiezienie chorej załogi na morskie powietrze i zapewnienie swemu statkowi szybkiego odjazdu. W takim wypadku szyper powinien schować do kieszeni swoją dumę; może przyjmować zwierzenia; musi usprawiedliwiać się ze swej niewinności, jak gdyby to był

grzech; ma prawo wykorzystać cudze mylne pojęcia, pragnienia, słabości; powinien ukryć swój wstręt i inne uczucia, a jeśli los ludzkiej istoty — choćby to była cudowna młoda dziewczyna — jest dziwnie w tę sprawę wplątany, tedy powinien patrzeć na ów los bez drgnięcia powiek, nie bacząc na to, jakimby mu się wydawał. Uciekłem się do tych wszystkich sposobów: perswazji, wysłuchiwania zwierzeń, udawania — aż do obojętności włącznie — i nikt, nie wyłączając nawet bratanicy Hermanna, nie powinien rzucić na mnie kamieniem. Schomberg zaś w żadnym razie, ponieważ od początku aż do końca nie było na szczęście najlżejszego „fracas".

Opanowawszy nerwowy skurcz tchawicy, zdołałem wykrzyknąć: „Kapitanie Falk!" Drgnął ze zdumienia najnaturalniej w świecie, lecz potem ani się nie uśmiechnął, ani nie zmarszczył. Czekał poprostu. Wreszcie gdy rzekłem: „Muszę z panem pomówić", i wskazałem krzesło u mego stolika, podszedł do mnie, ale nie usiadł. Tymczasem Schomberg, z wysoką szklanką w ręku, kierował się ostrożnie w naszą stronę i wówczas to odkryłem w Falku jedyną oznakę słabości. Miał do Schomberga odrazę przypominającą tego rodzaju fizyczny lęk, jakiego doświadczają niektórzy na widok ropuchy. Może dla człowieka tak zasadniczo skupionego i tak milczącego (choć umiał dość dobrze mówić, jak się wkrótce miałem o tem przekonać), niepohamowana gadatliwość Schomberga — nie przepuszczająca żadnemu ludzkiemu stworzeniu, które się znalazło w zasięgu jego języka — mogła się wydawać przeciwna naturze, odrażająca i potworna. Otóż Falk zdradził nagle oznaki narowistości — zupełnie jak koń, który gotów jest wierzgać; szepnął gorączkowo, jakby

wśród wielkiego bólu: „Nie. Nie mogę znieść tego człowieka“ — i zdawało się, że lada chwila ucieknie. Ta jego słaba strona dała mi nad nim przewagę od samego początku.

— Chodźmy na werandę — zaproponowałem, jakby chcąc mu oddać przysługę i wyprowadziłem go pod ramię. Potknęliśmy się o kilka krzeseł; poczuliśmy przed sobą otwartą przestrzeń i świeży oddech rzeki — świeży lecz zakażony. Chińskie teatry za wodą znaczyły się jaśniejącemi ośrodkami blasku i odległego, wyjącego zgiełku wśród gęstych mroków, usianych zrzadka migotliwemi światłami, co jest charakterystyczne dla wschodnich miast w nocy. Poczułem, że Falk staje się znowu powolny jak zwierzę, jak dobroduszny koń, po usunięciu przedmiotu, którego się stracha. Tak. Czułem tam w ciemnościach, do jakiego stopnia Falk stał się powolny, choć moje przekonanie o jego nieugiętości — a może raczej zawziętości — bynajmniej się nie zachwiało. Nawet jego ramię, poddające się chwytowi mych palców, było twarde jak marmur — jak ramię z żelaza. Wtem usłyszałem wewnątrz kawiarni hałaśliwe szurganie nogami. Siedzący tam beznadziejni idjoci tłoczyli się u okien, i za spuszczonemi roletami włazili jeden drugiemu na plecy, nie wypuszczając z ręki kijów bilardowych. Ktoś stłukł szybę, i jednocześnie z dźwiękiem padającego szkła, przypominającym zamieszki i spustoszenie, Schomberg wytoczył się za nami w takim strachu, że się nie rozstał ze swem brandy i wodą sodową. Musiał się trząść jak liść osiki. Kawałek lodu w wysokiej szklance, którą trzymał w ręku, dźwięczał jak szczękające zęby.

— Ja panów proszę — upominał nas, bełkocząc niewyraźnie — niechże panowie... No, no! Doprawdy, ja muszę nalegać...

Jakże jestem dumny ze swej przytomności umysłu!

— Hallo — rzekłem natychmiast głośnym i naiwnym tonem — ktoś tłucze pańskie okna, panie Schomberg. Może pan powie któremu z kelnerów, żeby tu przyniósł talję kart i świece. A także dwa whisky z wodą sodową. Zgoda?

Usłyszawszy zamówienie, Schomberg natychmiast się uspokoił. To wchodziło w zakres jego zawodu.

— Proszę bardzo — odpowiedział tonem niezmiernej ulgi. Noc była dżdżysta, chwilami zrywał się silny wiatr, i gdyśmy tak czekali na świece, Falk rzekł, jakby chcąc usprawiedliwić swój popłoch:

— Nie wtrącam się do niczyich spraw. Nie daję nigdy okazji do plotek. Jestem porządnym człowiekiem. Ale ten drab wietrzy wszędzie coś złego i nie może się uspokoić, póki nie znajdzie kogoś, ktoby mu uwierzył.

Była to pierwsza rzecz, której się dowiedziałem o Falku. Jego pragnienie szacunku, upodobnienia się do wszystkich innych ludzi, było jedynym dowodem uznania, którego udzielał łaskawie ludzkiej organizacji. Zresztą mógł być równie dobrze członkiem stada jak społeczeństwa. Chodziło mu wyłącznie o samoobronę. Nie był to u niego egoizm, lecz poprostu instynkt samozachowawczy. Samolubstwo nie istnieje w człowieku bez świadomości, wolnego wyboru, a przytem i obecności innych ludzi; tymczasem jego instynkt działał, jakby Falk był ostatnim żyjącym człowiekiem i przechowywał prawo samoobrony, niby jedyną iskrę świętego ognia. Nie chcę przez to powiedzieć, że zadowolniłby się mieszkaniem nago w jaskini. Był najoczywiściej wytworem warunków, wśród których się urodził. Nie ulega wątpliwości, że samoobrona oznaczała także obronę owych warunków. Lecz zasadniczo

była jednoznaczna z czemś daleko prostszem, naturalniejszem i bardziej potężnem. Jakby to wyrazić? Oznaczała — powiedzmy — obronę jego pięciu zmysłów, biorąc to i w najwęższem i w najrozleglejszem znaczeniu. Myślę że przyznacie mi wkrótce słuszność. Ale gdyśmy tam stali razem na ciemnej werandzie, nie wyrobiłem sobie jeszcze o Falku żadnego zdania — i nie miałem wcale ochoty go sądzić, co jest ze wszechmiar zajęciem jałowem. Prawda przenikała we mnie bardzo wolno.

— Naturalnie nie chodzi mi właściwie o to, żeby grać z panem w karty — rzekłem porozumiewawczym tonem.

Dojrzałem że Falk przesunął ręce po twarzy (podchwyciłem ten niewyraźny ruch, namiętny i pozbawiony znaczenia) — a potem czekał, milcząc cierpliwie. Otworzył usta dopiero gdy przyniesiono światła. Jego mruknięcie miało oznaczać, że „nie umie wcale grać w karty".

— To tylko taki sposób, żeby Schomberg i tamci durnie trzymali się zdaleka — rzekłem, otwierając talję. — Czy pan słyszał o co nas posądzają, że się kłócimy o dziewczynę? Pan wie naturalnie o kogo. Wstyd mi doprawdy pana pytać, ale czy to możliwe, aby pan mi robił ten zaszczyt i uważał mnie za niebezpiecznego?

Mówiąc to, czułem się bardzo głupio a jednocześnie pochlebiało mi to przypuszczenie, bo istotnie, cóżby jego zachowanie mogło innego oznaczać? Odpowiedź Falka, wypowiedziana jak zwykle półgłosem i beznamiętnie, wyjaśniła że się nie mylę, ale niekoniecznie jest to dla mnie takie pochlebne jak przypuszczam. Otóż uważał mnie za niebezpiecznego nietyle ze względu na dziewczynę

co na Hermanna; co się zaś tyczy przypuszczalnej kłótni między nami, zobaczyłem odrazu jakie to słowo jest nieodpowiednie. Nie było między nami żadnej kłótni. Siły przyrody nie są kłótliwe. Nie można się kłócić z wiatrem, który spłatał człowiekowi figla i okrył go śmiesznością, zdmuchując mu z głowy kapelusz na ulicy pełnej ludzi. Falk nie kłócił się ze mną. Kamień, spadający mi na głowę, takżeby się ze mną nie kłócił. Falk porwał się na mnie zgodnie z prawem, które nim rządziło — prawem nie ciążenia lecz samoobrony. Ta interpretacja jest oczywiście dość luźna. Ściśle biorąc, Falk istniał i mógł w dalszym ciągu istnieć, nie żeniąc się wcale. Ale powiedział mi, że mu wciąż trudniej żyć w samotności. Tak. Po upływie pół godziny takeśmy się pokumali, że powiedział mi to swym cichym, obojętnym głosem.

Tyle czasu mniej więcej potrzebowałem aby go przekonać, że nie mignęło mi nawet przez myśl aby żenić się z bratanicą Hermanna. Czy można sobie wyobrazić dziwaczniejsze położenie? A trudno mi przyszło Falka przekonać, gdyż był tak zakochany, że nie umiał sobie wcale wyobrazić aby ktokolwiek mógł pozostać obojętnym dla jego ideału. Zdawał się myśleć, iż każdy mężczyzna mający oczy ku patrzeniu musi pożądać tej wspaniałej obfitości ciała. Ta jego niezachwiana wiara przebijała ze sposobu, w jaki mi się przysłuchiwał, siedząc bokiem do stołu i bawiąc się z roztargnieniem kilku kartami, które mu dałem na chybił trafił. A im głębiej w niego wglądałem, tem więcej rzeczy mi się wyjaśniało. Wiatr chwiał płomieniami świec, a twarz Falka spalona przez słońce, zarośnięta aż po oczy, zdawała się kolejno rozpalać szkarłatem i gasnąć. Widziałem niezwykłą szerokość jego wysokich kości policzko-

wych, jego prostopadłe rysy, masywne czoło strome jak skała, wyłysiałe u góry, o szeroko odkrytych skroniach. Nie widziałem go nigdy przedtem bez kapelusza a teraz właśnie, jakby rozgrzany moim ferworem, zdjął go i położył ostrożnie na podłodze. Coś szczególnego w kształcie i osadzeniu żółtych oczu nadawało im tę wyzywającą, głuchą siłę, która cechowała jego spojrzenie. Ale twarz była szczupła, poorana zmarszczkami, zniszczona; odkryłem to poprzez gąszcz włosów, jak się odnajduje sękaty kształt pnia zagubiony w gęstem podszyciu. Zarośnięte policzki były zapadłe. Ta koścista głowa pustelnika o kapucyńskiej brodzie tkwiła na ciele Herkulesa. Ale nie na ciele atlety. Herkules według mnie nie był atletą, tylko człowiekiem silnym, wrażliwym na wdzięki kobiece i nie lękającym się znoju. I to samo można powiedzieć o Falku, który był silnym człowiekiem. Niezmiernie był silny, tak jak dziewczyna (skoro muszę łączyć ich w myśli) była nieodparcie pociągająca przez potężny czar ciała i krwi, tkwiący w jej budowie, objętości, postawie — pociągająca przez bezpośredni apel do zmysłów. Otóż Falk, któremu zależało na ludzkiem uznaniu, tchórzył wobec języka Schomberga i wydawał się zupełnie niedostępny dla moich argumentów; to też posunąłem się aż do zapewnienia go, że prędzejbym pomyślał o ożenieniu się z wierną kucharką mojej matki (kochanej staruszeczki), niż z bratanicą Hermanna. Prędzej — zapewniałem z rozpaczą — daleko prędzej, ale jakoś nie wyglądało na to, aby Falk widział coś ubliżającego w takiem twierdzeniu; trwając w sceptycznym bezruchu, zdawał się żywić w głębi ducha argument, że w każdym razie kucharka jest bardzo, bardzo daleko. Muszę dodać, że na chwilę przedtem

zrobiłem fałszywy krok, powołując się na swoje zachowanie podczas odwiedzin na pokładzie Djany. Przecież nie usiłowałem nigdy zbliżyć się do dziewczyny, ani mówić do niej, ani nawet patrzeć na nią w znaczący sposób. To jasne jak słońce! Ale ponieważ wyobrażenie Falka o — powiedzmy — zalotach zdawało się polegać właśnie na milczącem przesiadywaniu godzinami w bliskości ukochanego objektu, więc też mój argument wzbudził w nim nieufność. Patrząc wdół na swoje wyciągnięte nogi, chrząknął — jakby chciał powiedzieć: „Wszystko to bardzo pięknie, ale mnie pan oczu nie zamydli".

Doprowadzony do ostateczności, zapytałem go wreszcie:

— Dlaczego pan nie porozmawia z Hermannem, żeby tę sprawę rozstrzygnąć? — i dodałem z ironją: — Chyba się pan nie spodziewa, że się rozmówię w pana imieniu?

Na to rzekł, jak na niego bardzo głośno:

— A czyby pan to zrobił?

I pierwszy raz podniósł głowę aby spojrzeć na mnie z ciekawością i niedowierzaniem. Podniósł głowę tak gwałtownie, że nie mogłem się mylić. Dotknąłem w nim jakiejś struny. Oceniłem należycie tę pomyślną dla siebie okoliczność, nie śmiąc prawie w nią uwierzyć.

— Ha cóż. Pomówić z... No, oczywiście — ciągnąłem bardzo wolno, śledząc go bacznie, bo — słowo daję — obawiałem się że żartuje. — Może nie z samą panną. Pan wie, ja nie mówię po niemiecku. Ale...

Przerwał mi solennem zapewnieniem, że Hermann ma o mnie jaknajlepszą opinję; i poczułem odrazu, że w tym wypadku trzeba postępować z możliwie największą dyplomacją. Tedy drożyłem się w samą miarę,

aby go pociągnąć za język. Falk wyprostował się na krześle, ale jego twarz była niezdolna do wyrażania wzruszeń, tylko źrenice rozszerzyły mu się bardzo widocznie, do tego stopnia że tęczówki wyglądały jak dwa wąskie, żółte pierścienie.

— O tak! Hermann ma doprawdy jaknajwiększy...

— Niech pan weźmie karty do ręki, Schomberg zerka na nas z za rolety! — rzekłem.

Zrobiliśmy kilka ruchów, które mogły uchodzić za partję *écarté*. Wkrótce niemożliwy plotkarz wycofał się, prawdopodobnie aby tamtym z bilardowego pokoju udzielić wiadomości, że obaj gramy na werandzie jak szaleni.

Nie była to wprawdzie szulerka, ale jednak była to gra; i w trakcie jej czułem, że trzymam w ręku atuty. Stawką było w gruncie rzeczy powodzenie podróży — dla mnie; a co do niego obawiam się że nie miał nic do przegrania. Nasza zażyłość dojrzewała szybko, i już na początku rozmowy zrozumiałem, że zacny Hermann użył mnie za narzędzie. Zdaje się że ten prostoduszny i przebiegły Germanin wygrywał mnie przeciw Falkowi, przedstawiając mię w świetle rywala. Byłem dość na to młody aby zgorszyć się takim fałszem.

— Czy mówił to panu wyraźnie? — spytałem z oburzeniem.

Nie mówił tego wyraźnie. Dawał mu to jednak do zrozumienia, i oczywiście niewiele było potrzeba żeby Falka zaniepokoić; ale zamiast się oświadczyć, przedsięwziął kroki aby usunąć rodzinę z pod mego wpływu. Był najzupełniej otwarty — tak jak jest otwartą dachówka spadająca komuś na głowę. Nie było fałszu w tym człowieku; a kiedy mu winszowałem

doskonałości przedsięwziętych przez niego kroków — aż do przekupienia nieszczęsnego Johnsona włącznie — szczerze przeciw temu zaprotestował. Nikogo nie przekupywał. Wiedział że tamten nie weźmie się do pracy, póki będzie miał w kieszeni kilka centów żeby się upić, i naturalnie (powiedział — „naturalnie“) dał mu parę dolarów. Dalej mówił że sam jest marynarzem i przewidywał zgóry, jak się inny marynarz — taki jak ja — zachowa w tym wypadku. Z drugiej zaś strony nie wątpił, że byłoby się to źle dla mnie skończyło. Nie napróżno się tłukł w górę i w dół po tej rzece przez ostatnich siedem lat. Nie okryłoby mnie to wstydem, ale — twierdził z całą pewnością — byłbym wpędził bardzo niefortunnie swój statek na mieliznę dwie mile poniżej Wielkiej Pagody...

A z tem wszystkiem nie miał złej woli. To było wyraźne. W tej chwili decydującej jedynym jego celem było zyskać na czasie — tak sobie to wyobrażam. Wspomniał następnie, że pisał do Hong-Kongu aby mu przysłano trochę biżuterji — prawdziwie ładnej biżuterji. Odbierze ją za dzień lub dwa.

— No więc — rzekłem wesoło — wszystko w porządku. Nie pozostaje panu nic innego, tylko ofiarować pannie klejnoty razem z sercem, i żyć potem w wiecznej szczęśliwości.

Miałem wrażenie, że Falk jest naogół w zgodzie z tym moim projektem, co się tyczy dziewczyny, lecz nagle spuścił powieki. Jeszcze stoi coś na przeszkodzie. Przedewszystkiem to, że Hermann tak bardzo go nie lubi. Co się mnie tyczy, przeciwnie, nie może się mnie dosyć nachwalić. Taksamo i pani Hermann. Falk nie wie dlaczego oboje go tak nie lubią. To ogromnie wszystko utrudnia.

Słuchałem z obojętną miną, czując coraz bardziej i bardziej konieczność dyplomatyzowania. Jego słowa nie były przejrzyste. Należał do tych ludzi, którzy zdają się żyć, czuć, cierpieć w pewnego rodzaju duchowym półmroku. Ale jedno było jasne jak słońce: że uległ czarowi dziewczyny i że owładnęła nim chęć założenia z nią domu. Otóż — mówił dalej — idzie mu o rzecz takiej doniosłości, iż lęka się ją wystawić na niebezpieczną próbę oświadczyn. Przytem wchodzi tu w grę jeszcze coś innego. A że Hermann taki jest na niego zawzięty...

— Rozumiem — rzekłem w zamyśleniu, a tak byłem podniecony swą własną dyplomacją, że czułem jak serce mi wali. — Nie mam nic przeciw wybadaniu Hermanna. Nawet gotów jestem wszystko dla pana zrobić w tym względzie, aby dowieść jak dalece pan się mylił.

Lekkie westchnienie wymknęło mu się z piersi. Przesunął ręce wdół po twarzy, odsłaniając kościste, niezmienione oblicze jakby o skamieniałych tkankach. Cała namiętność była w tych wielkich, brunatnych rękach. Oświadczył że jest zadowolony. Ale wchodzi w grę jeszcze ta druga sprawa. Otóż ze wszystkich ludzi na świecie ja jeden mógłbym nakłonić Hermanna, aby odniósł się do tego rozsądnie! Znam doskonale świat i mam mnóstwo doświadczenia. Sam Hermann to przyznaje. A przytem jestem marynarzem. Falk uważa, że marynarz potrafi najlepiej zrozumieć niektóre rzeczy...

Mówił to, jakby Hermannowie spędzili całe życie w sielskiej wiosce, i jakbym ja jeden — dzięki memu doświadczeniu — umiał się odnieść wyrozumiale i pobłażliwie do pewnych faktów. Taki był skutek mojej dyplomacji. Zaczęło mi się to nagle nie podobać.

— Słuchajno pan — zapytałem wręcz ostrym tonem — czy pan nie ma już gdzie jakiej żony w ukryciu?

Ból i wstręt — z jakiemi zaprzeczył — były bardzo uderzające. Czyż nie mogę tego zrozumieć, że on jest równie godzien szacunku jak każdy z tutejszych białych, zarabiających uczciwie na życie? Widać cierpiał nad mojem podejrzeniem, a nizki półton głosu nadawał jego zapewnieniom coś bardzo przejmującego. Zawstydził mię na chwilę, ale wbrew mojej dyplomacji, zaczynało się we mnie budzić sumienie, jak gdyby pomyślny wynik tego matrymonialnego przedsięwzięcia doprawdy ode mnie zależał. Udając coś dosyć gorliwie, można dojść do tego że się we wszystko uwierzy — byleby to było coś dla nas pochlebnego. A ja udawałem bardzo gorliwie, ponieważ wciąż dążyłem do tego, aby mi Falk bezpiecznie statek wyholował. Ale — przez sumienność czy też głupotę — nie mogłem się powstrzymać od napomknięcia o sprawie Vanlo.

— Pan dość niełądnie wtedy postąpił. Może nie? — ośmieliłem się powiedzieć, bowiem logika naszego postępowania jest zawsze na łasce ciemnych i nieprzewidzianych popędów.

Rozszerzone źrenice Falka zsunęły się z mojej twarzy, spoglądając ku oknu z pewnego rodzaju wściekłością pomieszaną z lękiem. Słyszeliśmy zza rolet powtarzający się ciągle dźwięk kości słoniowej, wesoły gwar wielu głosów i głęboki, męski śmiech Schomberga.

— Więc ta stara pleciucha, ten przeklęty hotelarz nigdy już, nigdy nie zostawi mnie w spokoju! — wykrzyknął Falk. — No więc tak! To się stało przed dwoma laty.

Okazało się, że kiedy przyszło co do czego, Falk nie mógł się zdobyć na to aby zaufać Fredowi Vanlo — który nie był marynarzem, a przytem robił wrażenie trochę głupawego. Nie mógł mu zaufać, ale żeby zatkać mu gębę, pożyczył Fredowi na zapłacenie wszystkich długów przed wyjazdem. Bardzo mię to zdumiało. Więc mimo wszystko Falk nie mógł być takim skąpcem. Tem lepiej dla dziewczyny. Siedział przez chwilę, milcząc, potem wziął do ręki kartę i rzekł, patrząc na nią:

— Niech pan nic złego o mnie nie myśli. To był wypadek. Spotkało mnie raz nieszczęście.

— Więc na miłość boską niech pan nic o tem nie mówi.

Z chwilą gdy mi się te słowa z ust wymknęły, wydało mi się że powiedziałem coś niemoralnego. Falk potrząsnął głową. On to musi powiedzieć. Wypada aby krewni panny o tem wiedzieli. A mnie przyszło na myśl, że gdyby panna Vanlo nie miała trzydziestki, i gdyby klimat nie podkopał jej zdrowia, Falk byłby uznał iż może się zwierzyć przed Fredem Vanlo. Postać bratanicy Hermanna stanęła mi w oczach, wspaniale młodzieńcza, tryskająca hojną siłą i bogactwem bujnych kształtów. Dziewczęca ta postać o potężnej i nieskalanej żywotności musiała krzyczeć głośno o życiu do tego mężczyzny, podczas gdy biedna panna Vanlo umiała tylko śpiewać sentymentalne piosenki, brzdąkając na fortepianie.

— A ten Hermann nienawidzi mnie, wiem o tem! — zawołał półgłosem w nagłym przypływie niepokoju. — Muszę im to powiedzieć. Wypada aby wiedzieli. Pan chyba też tak myśli.

Potem zaczął szeptać, napomykając tajemniczo o ko-

nieczności pewnych specjalnych domowych urządzeń. Choć pobudził moją ciekawość, nie miałem już ochoty wysłuchiwać żadnych jego zwierzeń. Bałem się aby mi nie opowiedział czegoś takiego, coby mi mogło zohydzić przybraną rolę swata — mimo jej całej nierealności. Zdawałem sobie sprawę, że Hermannowie daliby mu dziewczynę z pocałowaniem ręki, i — powstrzymując się od parsknięcia mu śmiechem w twarz — oświadczyłem że potrafię bezwzględnie wyperswadować Hermannowi antypatję do niego, Falka.

— Jestem pewien że mi się to uda — rzekłem. Falk wyglądał na bardzo zadowolonego.

Wstaliśmy; ani jedno słowo nie padło w sprawie holowania! Ani jedno! Stawka była wygrana i honor ocalony. O błogosławiony biały bawełniany parasolu! Podaliśmy sobie ręce, i właśnie powstrzymywałem się z trudnością od puszczenia się w taniec radości, gdy Falk zawrócił, przeszedł wielkiemi krokami przez całą długość werandy i rzekł podejrzliwie:

— Ale panie kapitanie, ja mam pańskie słowo? Pan — pan — mnie nie zawiedzie?

O nieba! Jakże on mnie nastraszył. W jego podejrzliwym tonie było coś rozpaczliwego i groźnego. Zadurzony osioł. Ale stałem na wysokości zadania.

— Kochany panie — rzekłem, zaczynając kłamać tak gładko i z taką czelnością, że zdziwiło mnie to nawet w owej chwili — zwierzenie za zwierzenie. (Wcale mi się nie zwierzał). Muszę panu powiedzieć, że jestem już zaręczony z niezmiernie uroczą panną w kraju, więc — rozumie pan...

Chwycił moją rękę i zgniótł ją w miażdżącym uścisku.

— Niech mi pan wybaczy. Czuję, że z każdym dniem trudniej mi żyć samotnie...

— Rybami i ryżem — przerwałem złośliwie, chichocząc ze zdenerwowania, jak po uniknięciu niebezpieczeństwa.

Puścił moją rękę, jakby rozpaliła się nagle do czerwoności. Nastała chwila głębokiego milczenia; rzekłbyś że stało się coś nadzwyczajnego.

— Obiecuję panu uzyskać zgodę Hermanna — wybełkotałem nareszcie, i wydało mi się niepodobieństwem, aby nie przejrzał nawylot tej oszukańczej obietnicy. — Jeśli coś jeszcze stanie na przeszkodzie, będę się starał panu dopomóc — ustępowałem w dalszym ciągu, czując się jakby pokonany i pognębiony — ale i pan ze swej strony musi zrobić wszystko, co tylko się da.

— Spotkało mię raz nieszczęście — mruknął obojętnie, i odwróciwszy się, odszedł, stąpając powoli i ciężko po podłodze z desek, jakby miał nogi podkute żelazem.

Lecz następnego ranka poczynał sobie dość ochoczo jako człowiek-statek — istota złożona, na którą składały się pluski i krzyki, krzątanina bezczelnych majtków na pokładzie i spokojne, dumne spojrzenie milczącego popiersia u góry. Przyjechał po nas najniepotrzebniej w świecie o niemożliwej godzinie, a była już prawie jedenasta rano, gdy nas przyciągnął na odległość liny od statku Hermanna. W dodatku zrobił to bardzo źle, śpiesząc się, i o włos byłby minął obszar dobrego gruntu kotwicznego, a to wszystko z powodu że spostrzegł na rufie bratanicę Hermanna. Ja ją także spostrzegłem i prawdopodobnie w tej samej chwili. Ujrzałem skromną, gładką wspaniałość płowej główki, krągłe kształty obleczone w popielatą dziewczęcą suknię w rzucik, którą wypełniała tak idealnie, tak zadawalająco, czarując niezawodnie pewnemi linjami — istna nimfa Djany łowczyni. A D j a n a - okręt o wysokich bokach, solidny jak

jaka instytucja, leżał na gładkiej powierzchni wody — najmniej interesujący i najszanowniejszy statek pod słońcem, pożyteczny i brzydki, oddany pielęgnowaniu domowych cnót, jak pierwszy lepszy sklep kolonjalny na lądzie. Falk odpłynął natychmiast, bo czekała na niego jakaś robota. Miał wrócić wieczorem.

Przepłynął tuż obok nas, bardzo wolno, bez okrzyknięcia się. Bełkot kół, odbijając się od kamiennych wysepek jak od rozwalonych ścian rozległej areny, napełniał kotwowisko chaotycznym klekotem, nakształt potężnych, wolnych oklasków. Zrównawszy się ze statkiem Hermanna, Falk zatrzymał maszyny; głębokie milczenie panowało nad skałami, wybrzeżem i morzem, gdy zdjął kapelusz przed nimfą w szarej perkalowej sukni. Porwałem za lornetkę, i mogę zaręczyć że dziewczyna nie poruszyła się wcale, gdy stała tam u poręczy, kształtna i wyprostowana, trzymając jedną ręką linę na poziomie swej głowy; a holownik sunął przed nią zwolna wraz z głębokim hołdem mężczyzny. Ta scena miała dla mnie olbrzymie znaczenie; poczułem że jestem świadkiem uroczystych oświadczyn. Losy były rzucone. Po takiej manifestacji Falk już się nie mógł wycofać. I pomyślałem, że teraz jest mi już wszystko jedno. Nagle komin wyrzucił kłęby czarnego dymu, szalony wir kół wybuchnął dziwacznym, pośpiesznym klekotem, i holownik wypadł z pustej areny. Skaliste wysepki leżały na morzu jak stosy jakichś cyklopicznych ruin na równinie; stonogi i skorpiony czaiły się pod kamieniami; nigdzie nie było widać ani źdźbła trawy, ani jednej jedynej jaszczurki wygrzewającej się w słońcu na głazie nadbrzeżnym. Gdy spojrzałem znów na statek Hermanna, dziewczyny nie było już na pokładzie. Nie mogłem odkryć najdrobniejszej centki ptaka na olbrzymiem niebie,

a płaskość lądu zlewała się z płaskością morza aż po nagą linję horyzontu.

To tło złączyło się dla mnie nazawsze z wiadomością o nieszczęściu Falka. Znalazłem się tam naskutek dyplomatycznych zabiegów, a teraz miałem tylko czekać sposobnej chwili aby objąć rolę ambasadora. Moja dyplomacja osiągnęła dobre wyniki; okręt mój był zabezpieczony; stary Gambril prawdopodobnie wyżyje; słaby odgłos uderzeń młotka dochodził od czasu do czasu z pokładu Djany. W czasie popołudnia spoglądałem niekiedy na stary, przytulny okręt, wierną piastunkę Hermannowego potomstwa, lub też ziewałem w kierunku odległej świątyni Buddy — wyglądającej jak samotny pagórek na równinie — gdzie wygoleni kapłani żywią myśli o tem Unicestwieniu, które jest godną nagrodą nas wszystkich. Nieszczęście! Spotkało go raz nieszczęście. No, w stosunku do całego życia nie jest to jeszcze tak źle. I jakiż u djabła mógł być rodzaj tego nieszczęścia? Przypomniało mi się iż znałem już raz człowieka, który oświadczył mi że przed laty stał się ofiarą nieszczęścia; ale to nieszczęście — którego skutki zdawały się nieodwołalne (wyglądał jakby nie miał grosza przy duszy) otóż nieszczęście to nie różniło się niczem od złamania wiary, gdy było je bezstronnie rozpatrzyć. Czyżby to mogło być coś w tym rodzaju? Ale wydawało mi się wręcz niemożliwe, aby Falk chciał mówić o czemś podobnem właśnie ze swym przyszłym — powiedzmy — teściem, a przytem miałem dziwne uczucie, że wygląd Falka nie harmonizuje z tego rodzaju przewinieniem. Podobnie jak w bratanicy Hermanna uderzał głęboki, fizyczny czar kobiecości, wielka postać jej wielbiciela uosabiała w mojem pojęciu twardą, prostą męskość; czuło się że mógłby zabić, ale nigdy zniżyć się

do oszustwa. To się rzucało w oczy. Mógłbym z równą słusznością podejrzewać dziewczynę o krzywy kręgosłup.

Spostrzegłem się że słońce zachodzi. Dym z holownika unosił się hen daleko u ujścia rzeki. Trzeba już było wejść w rolę ambasadora; przypuszczałem że układy nie będą trudne, bylem tylko nie dał nic poznać po sobie. Wszystko to wyglądało zbyt dziwacznie i bezsensownie, osądziłem więc że będzie najlepiej, jeżeli przybiorę ton pełen powagi. Ćwiczyłem się w nim już po drodze, jadąc łódką, ale z chwilą gdy się znalazłem na pokładzie Djany, ogarnęła mię nieśmiałość wprost niepojęta. Natychmiast po przywitaniu Hermann zapytał skwapliwie, czy aby Falk nie wspominał o znalezieniu białego parasola.

— Sam go panu zaraz przyniesie — rzekłem bardzo uroczyście. — A tymczasem poruczył mi pośrednictwo w ważnej sprawie, i prosi o przychylne jej rozpatrzenie. Jest zakochany w pańskiej siostrzenicy...

— Ach so! — syknął z gniewem, który zmienił moją udaną powagę w najszczerszy niepokój. Co znaczył ten ton? Mówiłem śpiesznie dalej:

— Pragnie, oczywiście za pańskiem zezwoleniem, prosić ją aby została jego żoną, zaraz — to znaczy zanim państwo stąd odjedziecie. Pomówiłby o tem z konsulem.

Hermann usiadł i zaczął gwałtownie palić. Strawił z pięć minut na tych rozmyślaniach pełnych wściekłości, aż wreszcie, wyjąwszy z ust długą fajkę, wybuchnął gorącą filipiką przeciwko Falkowi — przeciw jego chciwości, głupocie („człowiek który ledwie potrafi odpowiedzieć „tak“ albo „nie“ na najzwyklejsze pytanie“) — przeciw jego oburzającemu traktowaniu

wszystkich okrętów w porcie (ponieważ wie że są zdane na jego łaskę i niełaskę) i — przeciw jego sposobowi chodzenia, który to sposób — według Hermanna — wykazuje wprost nieznośną zarozumiałość. O szkodach wyrządzonych Djanie oczywiście też nie zapomniał, i wogóle wszystko co Falk mówił czy robił (aż do poczęstunku w hotelu włącznie) zdawało się być kamieniem obrazy. „Ośmielił się“ wciągnąć jego (Hermanna) do tej kawiarni; jakby jakikolwiek poczęstunek mógł powetować stratę czterdziestu siedmiu dolarów i pięćdziesięciu centów wydanych na samo drzewo — nie licząc dwóch dni pracy cieśli. Hermann nie będzie naturalnie dziewczynie przeszkadzał. Wraca z rodziną do Niemiec, gdzie się roi od ubogich dziewcząt.

— On bardzo jest zakochany — oto wszystko co znalazłem do powiedzenia.

— Tak! — zawołał. — Doprawdy, czas był ostatni; wszyscy na wybrzeżu gadali o nas już kiedy byłem tu poprzednim razem, a także i teraz. Przychodził na statek co wieczór, zawracał dziewczynie głowę i nic nie mówił. Cóż to jest za postępowanie?

Siedem tysięcy dolarów, które ten drab miał zawsze na języku, nie usprawiedliwiały w opinji Hermanna podobnego zachowania. Co więcej, nikt owych dolarów nigdy nie widział. On sam (Hermann) wątpi poważnie czy tam jest siedem tysięcy centów, a holownik z pewnością zadłużony jest w firmie Siegersa aż do szczytu komina. Ale niech tam. Nie będzie dziewczynie przeszkadzał. Falk tak jej głowę zawrócił, że w ostatnich czasach zrobiła się do niczego. Bez pomocy ciotki nie potrafi nawet dzieci do łóżka położyć. Bardzo to źle dla dzieci; zrobiły się nieposłuszne, a wczoraj trzeba było dać Gustawowi w skórę.

Widocznie i za to czynił Falka odpowiedzialnym. I patrząc na ociężałą, nalaną, dobroduszną twarz mojego Hermanna, wiedziałem iż musiał się zdobyć na ten wysiłek dopiero pod wpływem wielkiego rozjątrzenia i stąd zapewne bił bardzo mocno, a będąc tłustym, był zły że musi to robić. Jakim sposobem Falk zdołał zawrócić dziewczynie głowę, to było trudniejsze do zrozumienia. Prawdopodobnie Hermann będzie to wiedział. A czyż przedtem nie było to samo z panną Vanlo? Nie wchodziły tu w grę aksamitne słówka Falka lub subtelny urok jego obejścia; tego co nazywamy „manierami“ nie miał więcej od zwierzęcia — które jednak skądinąd nigdy nie jest, i nie może być ordynarne. Więc należało to przypisać jego wyglądowi, który uderzał nadmiarem męskości, tak jak jego broda uderzała nadmierną bujnością; męskość ta była podobna do nieustannej srogości. Przebijała nawet z jego sposobu wyciągania się na krześle. Nie chciał nikogo urazić, ale jego obejście było nacechowane czemś w rodzaju szczerego lekceważenia w stosunku do cudzej drażliwości; człowiek wysoki na siedem stóp i sześć cali, a przytem obracający się w świecie karłów, zachowywałby się tak samo z całą prostotą, nie chcąc wcale być nieuprzejmym. Ale wśród ludzi mniej więcej wzrostu Falka, to jego szczere korzystanie ze swej przewagi — w takich sprawach naprzykład jak okropne rachunki za holowanie — było często powodem bezsilnego zgrzytania zębami. Przy głębszem zastanowieniu bezwzględność Falka wydawała się niekiedy groźna. Był dziwną bestją. Ale może kobiety to lubią. Warto było doprawdy go oswoić, i sądzę że każda kobieta w głębi serca uważa się za poskromicielkę dziwnych bestyj.

Hermann wstał porywczo aby zanieść nowinę żonie. Ledwie zdążyłem go chwycić za spodnie, w chwili gdy szedł ku drzwiom kabiny. Prosiłem żeby poczekał, aż Falk pomówi z nim osobiście. O ile zrozumiałem, pozostała do omówienia jeszcze jakaś drobna sprawa.

Usiadł natychmiast z powrotem, pełen podejrzeń.

— Cóż to za sprawa? — rzekł kwaśno. — Dość mam już jego głupstw. Nie pozostało nic do omówienia i on to wie bardzo dobrze; dziewczyna nie ma złamanego szeląga. Przyjechała do nas w jednej jedynej sukienczynie po śmierci mego brata, a ja mam małe dzieci.

— To nie może być nic w tym rodzaju — zawyrokowałem. — On jest rozkochany na umór w pańskiej siostrzenicy. Nie wiem dlaczego przedtem się nie oświadczył. Słowo daję, chyba się bał utracić szczęście siadywania blisko niej na pańskiej rufie.

Dałem Hermannowi do zrozumienia, że mojem zdaniem miłość Falka jest taka wielka, iż staje się w pewnem znaczeniu tchórzliwą. Wielka namiętność ma skutki nieobliczalne. Wiadomo że może mężczyznę onieśmielić. Ale Hermann patrzył na mnie jak gdybym bredził bez sensu, a zmierzch szybko gęstniał.

— Pan nie wierzy w potęgę namiętności, co, kapitanie? — rzekłem wesoło. — Potężny strach daje odwagę nawet przypartemu do muru szczurowi. Falk jest przyparty do muru. Weźmie ją z waszych rąk w jednej sukienczynie, tak jak do was przyszła. A po dziesięciu latach służby to wcale niezły interes — dodałem.

Daleki od obrazy, przybrał z powrotem minę pełną obywatelskiej cnoty. Nagła noc spadła na niego w chwili,

gdy patrząc flegmatycznie wzdłuż pokładu, przytykał do grubych warg wygięty ustnik cybucha, i odejmował go, wypuściwszy kłąb dymu. Noc spadła na niego i zakryła z pośpiechem bokobrody, okrągłe oczy, nalaną, bladą twarz, tłuste kolana i obszerne, płaskie pantofle na patrjarchalnych nogach. Tylko krótkie ramiona w porządnych białych rękawach od koszuli pozostały bardzo widoczne; opierał się na nich, jak leżąca na brzegu foka na pletwach.

— Falk nie chciał się ze mną porozumieć co do naprawy uszkodzeń. Powiedział żeby się naprzód przekonać, ile drzewa będzie potrzeba, a potem się zobaczy — rzekł Hermann; splunął spokojnie w ciemności, i zaraz potem posłyszeliśmy łoskot kół holownika. Wśród spokojnej nocy nic nie maluje lepiej dzikiego i ślepego pośpiechu, niż szybki odgłos wydawany przez koła parowca, który młóci wodę, płynąc przez spokojne morze; i zdawało się że Falk dąży ku swemu losowi, naglony przez niecierpliwe, namiętne pragnienie. Obroty maszyn były widać doprowadzone do ostatecznych granic szybkości. Posłyszeliśmy że koła zwolniły wreszcie tempo, i biały kadłub holownika ukazał się, sunąc na tle czarnych wysepek, jednocześnie zaś rozległo się ze wszystkich stron jakby powolne i rytmiczne klaskanie tysięcy rąk. Ustało nagle, chwilę przedtem nim Falk statek zatrzymał. Po jednorazowym, nagłym plusku nastąpił przeciągły grzechot żelaznych ogniw biegnących przez kluzę. Potem uroczysta cisza zaległa przystań.

— Falk będzie tu wkrótce — mruknąłem i czekaliśmy na niego bez słowa. Tymczasem podniosłem oczy, wpatrując się w blask wyniosłego nieba nad szczytami masztów Djany. Mnóstwo gwiazd ustawionych w kępki, rzędy, linje, masy, grupy, błyszczało

zgodnie razem, a nieliczne gwiazdy samotne, świecąc oddzielnie w pośrodku czarnych plam, zdawały się należeć do jakiegoś wyższego gatunku i błyszczeć z niewygasłą mocą. Wielkie, śpieszne kroki rozległy się wzdłuż pokładu; wysokie nadburcia Djany znaczyły się głębszą ciemnością. Wstaliśmy szybko z krzeseł, a Falk ukazał się, wszystek biały, i stanął.

Nikt się z początku nie odzywał, jakby nas ogarnęło zmieszanie. Przybycie Falka pełne było ognia, lecz biała jego postać o niewyraźnym kształcie i bez twarzy majaczyła przed nami niby człowiek ze śniegu.

— Kapitan powiedział mi właśnie... — rzekł Hermann naturalnym, przyjaznym tonem, na co Falk zaśmiał się cicho i nerwowo. Zaczął mówić swym zwykłym, równym, zniżonym głosem, chłodno i niedbale; lecz potężne wzruszenie sprawiało że mówił bez związku. Pragnął zawsze domowego ogniska. Trudno żyć samemu, chociaż on nie był odpowiedzialny. Jest domatorem; miał różne trudności; ale odkąd zobaczył bratanicę Hermanna, przekonał się że samotne życie stało się dla niego niemożliwe.

— Powtarzam — niemożliwe — rzekł bez nacisku, tylko z bardzo nieznaczną pauzą między tymi wyrazami, lecz słowa jego zapadły we mnie z siłą jakiejś nowej myśli.

— Nic jej jeszcze nie mówiłem — zauważył spokojnie Hermann. Falk odpowiedział:

— To dobrze. Naturalnie. Tak wypada. — Zupełna szczerość jest konieczna — zwłaszcza gdy człowiek się żeni. Hermann zdawał się słuchać uważnie, ale schwycił pierwszą lepszą sposobność aby poprosić nas do kabiny.

— Ale, ale, panie Falk — rzekł niewinnie gdyśmy

wchodzili — koszt drzewa wyniesie nie mniej niż czterdzieści siedem dolarów i pięćdziesiąt centów.

Falk, zdejmując czapkę, zatrzymał się we drzwiach.

— Innym razem — rzekł, a Hermann trącił mnie gniewnie łokciem — nie wiem dlaczego. Dziewczyna siedziała sama w kajucie, w pewnej odległości od stołu i szyła. Falk stanął u wejścia jak wryty. Bez słowa, bez gestu, bez najlżejszego pochylenia kościstej głowy, jedynie siłą niemej wyrazistości swych oczu, zdawał się kłaść do jej stóp herkulesową swą postać. Ręce dziewczyny opadły zwolna na kolana; podniósłszy jasne oczy, ogarnęła go od stóp do głów łagodnem, promiennem spojrzeniem niby leniwą, bladą pieszczotą. Usiadł, bardzo rozgorączkowany; dziewczyna szyła dalej ze spuszczoną głową; jej szyja bardzo była biała w świetle lampy. Falk ukrył twarz w dłoniach i wzdrygnął się zlekka. Zsunął ręce po policzkach aż do brody, a jego odsłonięte oczy zadziwiały mię natężonym i błędnym wyrazem — wyglądał jakby połknął porządny łyk alkoholu. Wyraz ten minął z chwilą gdy Falk zaczął mówić, zobowiązując nas do dyskrecji. Właściwie to wszystko mu jedno, tylko nie lubi aby go brano na języki. A ja przypatrywałem się włosom dziewczyny, tym cudnym, wspaniałym, królewskim włosom, splecionym ciasno w jeden zdumiewający, dziewczęcy warkocz. Gdy odwracała kształtną głowę, poruszał się sztywno na jej plecach tam i z powrotem. Cienki perkalowy rękaw przylegał niby skóra do nieskazitelnej krągłości ramienia, a suknia obciągająca piersi zdawała się pulsować jak żywa tkanka od bijącej z ciała żywotnej siły. Jakże piękną była jej cera, i miękki zarys policzka, i drobna, zaokrąglona koncha różanego ucha! Trzymała igłę, podnosząc mały

palec; wydało mi się to trwonieniem sił, że ta dziewczyna szyje — wiecznie szyje — podnosząc rękę tym pracowitym, dokładnym ruchem, powtarzającym się wiecznie na wszystkich oceanach, pod każdem niebem, w niezliczonych portach. I nagle usłyszałem głos Falka, oświadczający że nie mógłby poślubić kobiety, któraby nie wiedziała o pewnym fakcie z jego życia, fakcie który się wydarzył przed dziesięciu laty. Był to wypadek. Nieszczęśliwy wypadek, który wywrze pewien wpływ na ich tryb domowy, ale gdy zostanie raz wyjawiony, będzie można już nigdy o nim nie wspominać, aż do końca wspólnego życia.

— Chciałbym aby moja żona mię rozumiała — rzekł Falk. — Ten wypadek mnie unieszczęśliwił.

I jakżeby mógł to przemilczeć, mówił dalej, może przez długie lata współżycia? Przemyślał to wszystko gruntownie. Żona musi o tem wiedzieć. Więc dlaczego nie odrazu? Liczy na dobroć Hermanna, na to że Hermann przedstawi tę sprawę w najkorzystniejszem świetle. A twarz Hermanna, z początku zaciekawiona, nabrała bardzo kwaśnego wyrazu. Rzucił mi ukradkiem pytające spojrzenie. Potrząsnąłem głową na znak że nic nie rozumiem. Niektórzy myślą, mówił Falk, że takie przejście zmienia człowieka na resztę życia. On tego nie uważa. To było ciężkie, okropne, niepodobna o tem zapomnieć, ale Falk nie znajduje aby był gorszym człowiekiem niż przetem. Tylko zdaje mu się że mówi teraz często przez sen... Zacząłem wreszcie myśleć że zabił kogoś wypadkiem; może przyjaciela, może własnego ojca; a Falk ciągnął dalej, iż wiemy prawdopodobnie że nigdy nie jada mięsa. Mówił wciąż po angielsku, oczywiście ze względu na mnie.

Zachwiał się na krześle i pochylił ciężko naprzód.

Dziewczyna nawlekała igłę, podniósłszy ręce do bladych oczu. Spojrzał na nią; potężny jego tors rzucił cień na stół, zbliżając ku nam szerokie barki, gruby kark, i tę nieodpowiednią do jego postaci twarz pustelnika spalonego na puszczy, zapadłą i chudą, jakby od nadmiernego czuwania i postów. Imponująca broda spływała mu na piersi i ginęła między dwojgiem brunatnych rąk ściskających krawędź stołu, a uporczywe spojrzenie, pociemniałe od rozszerzonych źrenic, było przykuwające.

— Wyobraźcie sobie państwo — rzekł zwykłym głosem — że jadłem ludzkie mięso.

Zdołałem tylko wykrzyknąć zcicha: „Aha!“ gdyż wszystko mi się wyjaśniło. Lecz Hermann, ogłuszony zbyt silnym wstrząsem, mruknął:

— Himmel! Dlaczego?

— To było dla mnie straszne nieszczęście — rzekł Falk miarowo półgłosem. Dziewczyna, nieświadoma naszej rozmowy, szyła dalej. Hermannowej nie było, siedziała w innej kajucie przy Lenie, która miała gorączkę, lecz Hermann podniósł gwałtownie obie ręce. Haftowana czapeczka spadła mu z głowy; w mgnieniu oka potargał sobie włosy w najdziwaczniejszy sposób. Usiłował coś powiedzieć; zdawało się że z każdą chwilą oczy wyłażą mu bardziej z orbit; głowa wyglądała jak wiecheć. Zabrakło mu tchu, zaczął chwytać ustami powietrze, przełknął ślinę i zdołał wykrzyknąć tylko jedno słowo:

— Zwierzę!

Od tego momentu aż do chwili gdy Falk wyszedł z kajuty, dziewczyna nie odrywała od niego wzroku, złożywszy ręce na kolanach na swej robocie. Oczy Bogu ducha winnego Falka miotały się po kabinie,

starając się tylko ominąć widok szalejącego Hermanna. Kapitan Djany wyglądał śmiesznie, a stawał się prawie straszny wskutek milczenia wszystkich obecnych. Był to widok godny pogardy, a stawał się przerażającym wskutek nieprzepartego wstrętu Hermanna do owego okropnego zwierzenia, które go nagle spotkało, przynosząc wiadomość o fakcie tego rodzaju. Chodził wielkim krokiem po kajucie i dyszał ciężko. Jakże Falk śmiał przyjść do niego z czemś podobnem? Czy wyobraża sobie, że można mu pozwolić na przebywanie w tej samej kajucie, gdzie mieszkają jego, Hermanna, żona i dzieci? Powiedzieć bratanicy! Falk spodziewa się, że on, Hermann, powie to swojej bratanicy! Córce własnego brata! To bezwstydne! Czy słyszałem kiedy o podobnej bezczelności? — zwrócił się do mnie.

— Ten człowiek powinien zejść ludziom z oczu, zamiast...

— Przecież to jest dla mnie wielkie nieszczęście. Przecież to jest dla mnie wielkie nieszczęście — wykrzykiwał Falk od czasu do czasu.

Ale Hermann biegał wciąż, obijając się często o rogi stołu. W końcu zgubił pantofel; skrzyżowawszy ramiona na piersiach, podszedł z jedną nogą w pończosze bardzo blisko do Falka i zapytał, czy sobie wyobraża że jest gdziekolwiek na ziemi kobieta dość na to opuszczona, aby wiązać się z podobnym potworem? Czy Falk tak myśli? Czy może doprawdy tak myśleć? Starałem się go powstrzymać. Wyrwał mi się z rąk; znalazł swój pantofel, i usiłując go włożyć, piorunował dalej, stojąc na jednej nodze — a tymczasem Falk siedział z twarzą nieporuszoną i odwróconemi oczyma, trzymając potężną swą brodę w obszernej dłoni.

— Więc powinienem był umrzeć? — rzekł w zadumie. Położyłem mu rękę na ramieniu.

— Odejdź pan — szepnąłem rozkazująco, bez żadnej wyraźnej przyczyny, prócz tej że pragnąłem położyć koniec wstrętnemu hałasowi. — Odejdź pan.

Patrzył przez chwilę badawczo na Hermanna, nim ruszył się z miejsca. Wyszedłem za nim z kajuty aby go odprowadzić. Ale zatrzymał się na rufie.

— To jest moje nieszczęście — rzekł spokojnym głosem.

— Pan postąpił idjotycznie, wyjeżdżając z tem w podobny sposób. Przecież codzień się takich zwierzeń nie słyszy.

— O co temu człowiekowi chodzi? — rozważał ściszonym basem. — Ktoś musiał umrzeć — ale dlaczegóż ja?

Stał przez chwilę nieruchomo w ciemnościach — milczący, prawie niewidzialny. Nagle przycisnął mi łokcie do boków. Czułem się zupełnie bezsilny w jego ramionach. Drgający głos szeptał mi do ucha:

— To gorsze od głodu. Kapitanie, czy pan wie co to znaczy? A ja wówczas mogłem zabić — albo zostać zabitym. Czemuż ten lewar nie zmiażdżył mi czaszki przed dziesięciu laty! A teraz muszę żyć. Bez niej. Czy pan to rozumie? Może przez wiele lat. Ale jak? Co mam począć? Gdybym był sobie pozwolił spojrzeć na nią raz jeden, byłbym ją porwał w oczach tego człowieka — o tak.

Poczułem że mnie uniósł z pokładu, potem puścił mię nagle; zatoczyłem się wtył, oszołomiony i obolały. Cóż to za człowiek! Zapanowała cisza; Falk odszedł. Posłyszałem głos Hermanna rozprawiający w kajucie i skierowałem się tam.

Z początku nie mogłem zrozumieć ani jednego słowa, ale zobaczyłem że Hermannowa — która posłyszała hałas i weszła do kajuty ze zdziwieniem i łagodnem niezadowoleniem malującem się wyraźnie na twarzy — ujawnia teraz głębokie, bezradne wzburzenie. Mąż przywitał ją potokiem gardłowych słów; oparła się natychmiast ręką o gródź, żeby nie upaść, drugą zaś chwyciła się za luźną suknię na piersi. Hermann przemawiał do obu kobiet z niezwykłą gwałtownością; kawał koszuli zwieszał mu się z za pasa; tupał, zwracając się od jednej do drugiej; czasem wyrzucał w górę oba ramiona, wprost nad potarganą głową, i trzymał je w tej pozycji, wygłaszając ustęp swego oskarżenia; to znów krzyżował gwałtownie ręce na piersiach, albo też syczał z gniewu, garbiąc się i wysuwając głowę naprzód. Dziewczyna płakała.

Nie zmieniła pozy. Z jej spokojnych oczu, które utkwiła bacznie we drzwiach, odprowadziwszy wychodzącego Falka, płynęły szybkie, gęste łzy na jej ręce, na robotę leżącą na kolanach, ciepłe i łagodne jak deszcz wiosenny. Płakała, nie krzywiąc się wcale, bezgłośnie — bardzo wzruszająca, bardzo spokojna, z litością raczej niż bólem na twarzy, jak się płacze ze współczucia, nie ze zmartwienia, a przed nią Hermann perorował. Pochwyciłem kilka razy słowo „Mensch“, człowiek, a także „fressen“, który to wyraz wyszukałem potem w słowniku. To znaczy „pożreć“. Hermann zdawał się prosić dziewczynę o jakąś odpowiedź; chwiał się na nogach. Siedziała, milcząc, bez ruchu, wreszcie jego wzburzenie i ją ogarnęło; złożyła dłonie, wydatne jej wargi rozchyliły się, ale żaden dźwięk z nich nie wyszedł. Hermann zaczął jej piskliwie wymyślać, ramiona jego chodziły jak skrzydła wia-

traka — nagle pogroził jej grubą pięścią. Wybuchnęła głośnem łkaniem. Hermann jak gdyby osłupiał.

Pani Hermann podbiegła ku nim, papląc prędko. Obie kobiety rzuciły się sobie na szyję; Hermannowa objęła wpół dziewczynę aby ją wyprowadzić z kajuty. Z oczu pani Hermann łzy ciekły poprostu strumieniem, zalewając całą twarz. Odwróciła ku mnie głowę i potrząsnęła nią przecząco, do dziś dnia nie wiem dlaczego. Głowa dziewczyny opadła ciężko na ramię Hermannowej. Znikły razem we drzwiach.

Hermann usiadł i wpatrzył się w podłogę.

— Nie wiemy wśród jakich okoliczności to się stało — ośmieliłem się przerwać milczenie. Odparł mi cierpko, że wcale ich poznawać nie pragnie. Według jego zapatrywań żadne okoliczności nie mogą usprawiedliwić zbrodni — i to takiej zbrodni. To są ogólnie ustalone pojęcia. Obowiązkiem ludzkiej istoty jest umrzeć z głodu. I dlatego Falk jest bestją, zwierzęciem; nikczemnem, lichem, podłem, godnem pogardy, bezwstydnem i podstępnem. Oszukiwał go już od zeszłego roku. Jednak on, Hermann, skłonny jest myśleć, że Falk musiał dostać nagle bzika; bo żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie przyznałby się bez potrzeby, bez żadnej zrozumiałej przyczyny, bez najmniejszego względu na godność i spokój ducha innych — nie przyznałby się do tego że pożerał ludzkie mięso.

— I poco było to mówić? — krzyknął. — Kto go się o to pytał?

To jest dowód brutalności Falka, który w gruncie rzeczy postąpił egoistycznie, sprawiając jemu (Hermannowi) wiele zmartwienia. Hermann byłby wolał nie wiedzieć, że takie nieczyste stworzenie pieściło się często

z jego dziećmi. Dalej wyraził nadzieję, że nic o tem wszystkiem na lądzie nie powiem. Nie byłoby mu przyjemnie, gdyby się rozeszło że pozostawał w zażyłych stosunkach ze zjadaczem ludzkiego mięsa — zwykłym ludożercą. Co się tyczy sceny, którą Hermann zrobił Falkowi (a którą ja uważałem za zupełnie niepotrzebną), ani myślał zadawać sobie gwałt i powściągać się dla człowieka, który bierze się do asystowania i zawracania głowy dziewczętom, wiedząc doskonale że żadna przyzwoita, gospodarna dziewczyna nie mogłaby nawet pomyśleć o wyjściu za niego. Przynajmniej on (Hermann) nie mógłby tego zrozumieć.

— Niech pan sobie tylko wyobrazi — Lena!... Nie, to niemożliwe. Co za myśli przychodziłyby im do głowy za każdym razem gdyby siadali do stołu! Ohydne! Ohydne!

— Pan jest przeczulony, panie Hermann — rzekłem.

Wyglądało na to, że Hermann uważa przeczulenie za wysoce odpowiednie, jeśli ten wyraz ma oznaczać wstręt do zachowania się Falka. Przewróciwszy sentymentalnie oczami, zwrócił mi uwagę na straszliwy los ofiar — ofiar tego Falka. Powiedziałem że nic o nich nie wiem. Wydał się tem zaskoczony. Przecież, nie wiedząc, można sobie coś wyobrazić. Naprzykład on, Hermann, z przyjemnością pomściłby te ofiary. A jeżeli, odrzekłem mu, żadnych ofiar nie było? Ci ludzie mogli umrzeć śmiercią niejako naturalną — z głodu. Wstrząsnął się. Ale zostać zjedzonym — po śmierci! Zostać pożartym! Znowu się wzdrygnął gwałtownie i nagle zapytał:

— Czy pan myśli że to jest prawda?

Oburzenie Hermanna w połączeniu z jego wy-

glądem mogło podać w wątpliwość fakt najbardziej oczywisty. Spojrzawszy na niego, zacząłem wątpić o tej całej historji — ale wspomnienie słów Falka, spojrzeń, gestów, nadawało temu wszystkiemu nietylko cechę czegoś rzeczywistego, lecz bezwzględną prawdę pierwotnej namiętności.

— Ta historja jest prawdziwą o tyle, o ile pan w nią może uwierzyć; i wygląda właśnie tak, jak się panu spodoba na nią zapatrywać. Co do mnie, kiedy pana słyszę wykrzykującego o tem wszystkiem, nie wierzę wcale aby to była prawda.

Zostawiłem go zamyślonego. Ludzie w mej łódce, tkwiącej u trapu Djany, powiedzieli mi że kapitan holownika odjechał swoim gikiem już chwilę przedtem.

Pozwoliłem moim chłopcom wiosłować dość wolno. Z powodu obfitej rosy jasny migot gwiazd zdawał się spływać zimnem i wilgocią. Czułem gdzieś w głębi duszy czającą się straszną zgrozę, pomieszaną z wyraźnemi, groteskowemi obrazami. Winna była temu gastronomiczna pogawędka Schomberga — i miałem poniekąd nadzieję że nigdy już Falka nie zobaczę. Lecz majtek pilnujący kotwicy na moim statku powiedział mi odrazu, że kapitan holownika przyjechał. Odesłał swoją łódkę i czeka na mnie w kajucie.

Leżał wyciągnięty na rufowej kanapie, z głową zagrzebaną w poduszkach. Spodziewałem się że twarz jego będzie zmieniona, wykrzywiona rozpaczą. Nic podobnego; była takusieńka, jaką dwadzieścia razy widziałem, spokojną i patrzącą szeroko rozwartemi oczyma z mostka na holowniku. Widać zastygła w bezruchu, zgłodniała, opanowana przez jeden jedyny instynkt — tak jak cała istota tego człowieka.

Pragnął żyć. Zawsze pragnął żyć. My wszyscy

także żyć pragniemy — tylko że w nas ten instynkt jest narzędziem pojęć złożonych — a tymczasem w nim istniał sam jeden. Na tak niskim stopniu rozwoju tkwi w człowieku olbrzymia siła, a pragnienia jego są wzruszające, jak naiwne, nieopanowane pragnienia dziecka. Falk pragnął tej dziewczyny, i co najwyżej można o nim powiedzieć, że pragnął wyłącznie jej jednej. Zdaje mi się że dojrzałem wówczas niejasny zaczątek, nasienie kiełkujące w glebie nieświadomej potrzeby, pierwszy pęd tego drzewa wydającego obecnie dla dojrzałej ludzkości kwiaty i owoce — nieskończoną gamę odcieni i smaków naszej analizującej miłości. Falk był dzieckiem. Był również szczery jak dziecko. Łaknął tej dziewczyny, łaknął jej strasznie, tak jak wówczas na statku łaknął strasznie pożywienia.

Nie gorszcie się, jeśli oświadczę że w mojem pojęciu była to taka sama potrzeba, takie samo cierpienie, taka sama tortura. W Falku danem mi było oglądać podstawę wszystkich wzruszeń — tę zasadniczą radość, wypływającą z tego że się istnieje, i ten zasadniczy smutek, tkwiący u korzenia nieprzeliczonych męczarni. Widać to było wyraźnie ze sposobu w jaki Falk mówił. Nie cierpiał tak jeszcze nigdy. To go żarło, to go piekło jak ogniem; w tem miejscu, o, w taki sposób! I przyłożywszy ręce poniżej mostka piersiowego, pokręcił niemi gwałtownie. A zapewniam was, że gdy patrzyłem na to własnemi oczyma, nie wyglądało to bynajmniej śmiesznie. Wkrótce potem miał mi powiedzieć (wspominając początek owej klęskowej podróży, kiedy trzeba było wyrzucić pewną ilość zepsutego mięsa) że przyszedł czas kiedy go serce bolało (użył właśnie tego wyrażenia), i kiedy gotów był sobie włosy z głowy wyrywać na myśl o zgniłej wołowinie wyrzuconej za burtę.

Wysłuchałem tego wszystkiego; patrzyłem jak wił się w torturach i słyszałem głos prawdziwego bólu. Byłem przez cały ten czas cierpliwym świadkiem, bo gdym wszedł do kajuty, wezwał mnie na pomoc — i zdaje się że mu ją dyplomatycznie przyrzekłem.

Jego rozpacz robiła przejmujące, niesamowite wrażenie w tej małej kajucie, niby miotanie się wielkiego wieloryba zapędzonego do płytkiej zatoczki. Zrywał się, rzucał wdół naoślep, usiłował drzeć zębami poduszkę; to znów przyciskał ją gwałtownie do twarzy i osuwał się na kanapę. Zdawało się że cały okręt odczuwa wstrząsy jego rozpaczy; a ja obserwowałem ze zdumieniem wyniosłe czoło, szlachetne dotknięcie czasu na odsłoniętych skroniach, niezmienny, zgłodniały wyraz twarzy — tak dziwnie ascetycznej i takiej niezdolnej do wyrażania wzruszeń.

Co on ma począć? Żył jej bliskością; siadywał — wieczorami — przecież wiem! — całe swoje życie! Szyła. Głowa jej była schylona — o tak. Jej głowa — o, w taki sposób — i jej ramiona. Ach! Czy widziałem? O, w taki sposób.

Opadł na krzesło, zgiął potężną szyję o czerwonym karku i kłuł rękami powietrze, śmieszny, wzniosły a niedorzeczny — i zrozumiały.

A teraz miałby ją utracić? Nie! To ponad jego siły. I jeszcze kiedy pomyśli, że... Cóż on takiego zrobił? Jak ja mu radzę postąpić? Wziąć ją siłą? Niewolno? A któżby go mógł zabić? Zobaczyłem pierwszy raz że jeden z jego rysów się poruszył: drapieżny skurcz wargi odsłonił zęby... „Chyba nie Hermann?“ Pogrążył się w zamyśleniu tak głębokiem, jakby stracił kontakt ze światem.

Zaznaczam, że myśl o samobójstwie nawet nie postała mu w głowie. Przyszło mi na myśl zapytać:

— Gdzie się rozbił ten wasz okręt?

Drgnął i rzekł z roztargnieniem:

— Daleko na południu.

— Tu pan nie jest na dalekiem południu — rzekłem. — Gwałt panu nic nie pomoże. Odebraliby ją panu natychmiast. A jak się ten okręt nazywał?

— Borgmester Dahl — odrzekł. — Ale to nie było rozbicie.

Zdawał się budzić stopniowo z transu; budził się uspokojony.

— Więc nie rozbicie? A cóż to było?

— Uszkodzenie śruby — odrzekł, z każdą chwilą przychodząc bardziej do siebie. Stąd się dopiero dowiedziałem, że to się działo na parowcu. Przypuszczałem do owej chwili, że marli głodem w łodziach czy też na tratwie — a może i na jakiej jałowej skale.

— Więc nie zatonął? — zapytałem ze zdziwieniem. Falk skinął potakująco głową.

— Widzieliśmy już południowe lodowe pola — wyrzekł sennie.

— I pan sam z tego wyszedł?

Falk usiadł.

— Tak. To było dla mnie straszne nieszczęście. Wszystko się na złe obróciło. Wszyscy ludzie przepadli. A ja wyżyłem.

Mając w pamięci to co czytałem o podobnych wypadkach, z trudem zdałem sobie sprawę z właściwego znaczenia jego odpowiedzi. Powinienem był zrozumieć odrazu, ale nie zrozumiałem; tak trudno jest naszym umysłom — pamiętającym tak wiele, tak bardzo wykształconym, wiedzącym o tylu rzeczach — nawiązać

kontakt z żywą rzeczywistością, o którą się ocieramy. Mając głowę pełną narzuconych z góry wyobrażeń, jak należy pokierować wypadkiem „ludożerstwa wśród rozbitków na morzu“, zapytałem:

— Więc pan miał takie szczęście przy ciągnieniu losów?

— Losów? — rzekł. — Jakich losów? Pan myśli że byłbym pozwolił, aby puszczono moje życie na losowanie?

Zrozumiałem że oparłby się temu bezwzględnie, choćby kosztem cudzego życia.

— To było wielkie nieszczęście. Straszne. Okropne — powiedział. — Wielu ludzi straciło zmysły, ale najlepsi przetrwali.

— Najwytrzymalsi, chciał pan powiedzieć — rzekłem.

Zamyślił się nad tem słowem. Może go nie znał, choć mówił tak dobrze po angielsku.

— Tak — przyznał wreszcie. — Najlepsi. Przy końcu każdy odpowiadał za siebie i wszyscy mieli zupełną swobodę.

I tak od pytania do pytania wydobyłem z niego całą historję. Zdaje mi się że tylko w ten sposób mogłem mu pomóc tej nocy. Na pozór przynajmniej przyszedł zupełnie do siebie; pierwszą tego oznaką był powrót dziwacznego gestu, polegającego na przeciąganiu rękoma wdół po twarzy; ów gest nabrał teraz dla mnie znaczenia w połączeniu z lekkiem wstrząsem całego ciała i namiętnym niepokojem tych rąk, co odsłaniały głodną, nieporuszoną twarz i rozszerzone źrenice spragnionych, niemych, przykuwających oczu.

Działo się to na żelaznym parowcu bardzo solidnego pochodzenia. Zbudował go burmistrz miasta gdzie

się Falk urodził. Był to pierwszy wypadek, że spuszczono tam parowiec na morze. Ochrzciła go córka burmistrza. Wieśniacy okoliczni przebyli w wózkach całe mile aby go obejrzeć. Falk opowiedział mi to wszystko. Przyjęto go w charakterze, jak się u nas mówi, pierwszego pomocnika. Zdaje się iż uważał to za bardzo pomyślną okoliczność; a trzeba dodać, że w swej rodzinnej okolicy ten miłośnik życia był dobrze skoligacony.

Burmistrz miał postępowe pojęcia o zawodzie armatora. W owych czasach nie każdy posiadał dość wiadomości, aby wysłać parowiec z ładunkiem na ocean Spokojny. Naładowano statek sosnowemi deskami, i popłynął na poszukiwanie szczęścia. Zdaje się że Wellington był pierwszym portem, do którego mieli zawinąć. Zresztą to nie ma znaczenia, ponieważ na 44-ym stopniu południowej szerokości, gdzieś wpół drogi pomiędzy przylądkiem Dobrej Nadziei i Nową Zelandją, wspornica śrubowa pękła i śruba odpadła.

Płynęli wówczas, pędzeni przez silną burzę, z żaglami napiętemi dla pomagania maszynom. Ale sama siła żagli nie wystarczała aby utrzymać statek w ruchu. Gdy śruba odpadła, parowiec zakręcił się gwałtownie na miejscu i zmiotło maszty z pokładu.

Utrata masztów miała tę złą stronę, że nie było na czem wywiesić flagi aby dać się widzieć na odległość. W ciągu paru pierwszych dni kilka okrętów nie dostrzegło B o r g m e s t r a D a h l a, a burza spędziła statek z morskiego szlaku. Od pierwszej chwili podróż nie zapowiadała się ani bardzo pomyślnie, ani bardzo harmonijnie. Kłótnie wybuchały na pokładzie. Kapitan, człowiek zdolny, był melancholikiem i nie miał wielkiej władzy nad załogą. Okręt został obficie

zaopatrzony w żywność, ale tak jakoś się stało, że kilka beczek mięsa zepsuło się i trzeba je było wyrzucić za burtę ze względów zdrowotnych. Załoga Borgmestra Dahla myślała potem o tej zgniłej padlinie ze łzami żalu, pożądania i rozpaczy.

Statek płynął na południe. Z początku zachowywano pozory pewnej organizacji, ale wkrótce więzy karności się rozluźniły. Wszystkich ogarnęło ponure lenistwo. Patrzyli na widnokrąg posępnemi oczami. Burze były coraz częstsze, statek leżał w dolinie fali; bałwany przewalały się wciąż po pokładzie. Pewnej przerażającej nocy, kiedy się spodziewano że kadłub wywróci się lada chwila, olbrzymi bałwan wdarł się na pokład, zalał komory z zapasami i zepsuł najlepszą część pozostałej żywności. Zdaje się że luka nie była dostatecznie zabezpieczona. Ten przykład zaniedbania jest typowy dla ostatecznego upadku ducha. Falk usiłował natchnąć energją kapitana, lecz to mu się nie udało. Od owej chwili zamknął się bardziej w sobie, starając się zawsze robić wszystko co mógł w danej sytuacji. Położenie się pogarszało. Burza następowała po burzy, czarne góry wody waliły się na Borgmestra Dahla. Niektórzy z majtków nie opuszczali wcale koj; wielu z nich opanowała kłótliwość. Główny maszynista, człowiek stary, nie chciał z nikim wogóle mówić. Inni zamykali się w swych kabinach i płakali. W spokojne dni bezwładny parowiec przewalał się po ołowianem morzu pod chmurnem niebem, lub ukazywał w słońcu niechlujstwo morskich włóczęgów, zaschniętą białą sól, rdzę, poharatane miejsca na pokładzie. Potem znów przyszły burze. Zmniejszone racje ledwie utrzymywały załogę przy życiu. Raz okręt angielski, pędząc w gwałtownym wichrze, starał się

ich ratować, podjechawszy mężnie od strony podwietrznej. Fale zamiatały jego pokład; ludzie w nieprzemakalnych płaszczach, uczepieni do takielunku, patrzyli na nich, a oni dawali im rozpaczliwe znaki z nad potrzaskanego nadburcia. Wtem wśród straszliwego szkwału oderwał się na angielskim statku główny topsel i reje; załoga musiała się ratować od zatonięcia pod gołemi masztami i znikli.

Kilka okrętów porozumiewało się już poprzednio z Borgmestrem Dahlem, ale z początku załoga nie chciała opuszczać statku, spodziewając się pomocy od jakiegoś parowca. Na tej szerokości parowców było wówczas niewiele, a gdy już postanowili opuścić martwy, miotany falami zewłok, żaden okręt się nie ukazał. Prądy zapędziły ich na południe poza uczęszczane szlaki. Nie udało im się zwrócić uwagi samotnego statku polującego na wieloryby; niebawem zrąb podbiegunowego lodowego przylądka wyrósł z morza i zamknął południowy horyzont jak mur. Pewnego ranka ogarnął ich lęk, gdy spostrzegli że płyną wśród kawałów lodu. Lecz strach przed zatonięciem minął jak siły tych ludzi, jak ich nadzieje; uderzenia kier obijających się o boki okrętu nie mogły ich zbudzić z apatji; a tymczasem Borgmester Dahl wypłynął cało z pośród kry na wolne morze. Ledwie tę zmianę zauważyli.

Pewnego dnia, gdy statek przewalał się gwałtownie po falach, komin poszedł za burtę; dwie czy trzy łodzie znikły, zmyte z pokładu w czas burzy, a nie przymocowane żórawiki kołysały się tam i sam, miotając poszarpanemi końcami lin, rozbujanemi w takt zataczania się statku. Nikt nic nie robił na okręcie, i Falk przysłuchiwał się często pluskaniu wody

w ciemnej maszynowni, gdzie maszyny, znieruchomiałe nazawsze, niszczały zwolna, zamieniając się w rdzawą masę — jak uciszone serce niszczeje w martwem ciele. Na samym początku, gdy statek utracił siłę pędną, ster został porządnie umocowany zapomocą postronków. Ale te z biegiem czasu zbutwiały, poprzecierały się, zardzewiały, pękając jeden za drugim; uwolniony ster stukał ciężko dniem i nocą, wymierzając tępe uderzenia, od których cały statek się wstrząsał. To było niebezpieczne. Nikogo to nie obchodziło, żaden z majtków palcem nie kiwnął. Falk mówił mi, że nawet jeszcze teraz, kiedy się budzi w nocy, zdaje mu się iż słyszy tępe, drgające, głuche ciosy. Wreszcie zawiasy puściły i ster odleciał.

Ostateczny cios spadł na nich, gdy wysłali jedyną pozostałą łódź. Falkowi udało się zachować ją nietkniętą, i postanowiono że kilku ludzi popłynie ku okrętowemu szlakowi aby sprowadzić pomoc. Zaopatrzono łódź we wszystkie zapasy, jakie tylko można było poświęcić dla tych sześciu, którzy mieli odpłynąć. Czekano pogodnego dnia. Nie przychodził długo. Wreszcie pewnego ranka spuszczono łódź na morze.

Natychmiast wybuchły zamieszki w zdemoralizowanym tłumie. Pod pozorem odczepienia lin skoczyło do łodzi dwóch ludzi nie mających tam nic do roboty, a jednocześnie powstała sprzeczka na pokładzie wśród wycieńczonych, słaniających się widm, z których się składała załoga. Do barjery podszedł kapitan, który już od wielu dni nie dawał do siebie przystępu i mieszkał w kajucie nawigacyjnej w zupełnem odosobnieniu. Rozkazał owym dwóm ludziom aby wrócili na pokład i zagroził im rewolwerem. Udali że go słuchają, lecz nagle przecięli linę, odepchnęli łódź od burty i gotowali się do napięcia żagla.

— Niech pan strzela, panie kapitanie! Niech pan do nich strzela! — krzyknął Falk — a ja skoczę do wody żeby łódź dopędzić. — Ale kapitan, wziąwszy ich na cel niepewną dłonią, odwrócił się nagle.

Rozległo się wycie wściekłości. Falk rzucił się do kajuty po swój rewolwer. Kiedy wrócił, już było zapóźno. Jeszcze dwóch ludzi skoczyło do morza, lecz ci w łodzi odepchnęli ich wiosłami, podnieśli żagiel i odpłynęli. Nigdy więcej o nich nie słyszano.

Przerażenie i rozpacz ogarnęły pozostałą załogę, póki apatja i ostateczna beznadziejność nie powróciły do władzy. Tegoż dnia jeden z palaczy targnął się na swoje życie i wybiegł na pokład z gardłem przerżniętem od ucha do ucha, ku zgrozie wszystkich obecnych. Wyrzucono go za burtę. Kapitan zamknął się znów w kajucie nawigacyjnej, a Falk, który dobijał się do niego napróżno, słyszał go powtarzającego w kółko imiona żony i dzieci; nie wzywał ich jednak, nie polecał ich Bogu, tylko powtarzał ich imiona machinalnym głosem, jakby ćwicząc pamięć. Następnego dnia otwarte drzwi kajuty kołysały się w rytm poruszeń statku, a kapitana nie było. Pewnie w ciągu nocy skoczył do morza. Falk zamknął oboje drzwi i zatrzymał klucze przy sobie.

Skończyło się zorganizowane życie okrętu. Solidarność ludzi przepadła. Stali się dla siebie obojętni. Podział resztek żywności wziął Falk na siebie. Gotowali zupę z butów aby powiększyć racje, wskutek czego głód stawał się jeszcze nieznośniejszy. Niekiedy szepty nienawiści dawały się słyszeć wśród tych wycieńczonych szkieletów, pływających bez końca na trupie okrętu tam i z powrotem, na północ i na południe, na wschód i zachód.

I w tem leży dziwaczna groza owej ponurej historji. Gdy to najgorsze z nieszczęść grożących marynarzom spadnie na małą łódź albo na wątły statek, wydaje się lżejszem do zniesienia wskutek bezpośredniego niebezpieczeństwa, którem grożą fale. Ograniczona przestrzeń, bliski kontakt między ludźmi, nieuchronna groźba fal zdają się wszystkich jednoczyć naprzekór obłędowi, cierpieniom i rozpaczy. Ale oto był okręt — bezpieczny, wygodny, obszerny; okręt zaopatrzony w łóżka, pościel, noże, widelce, wygodne kabiny, szkło i porcelanę oraz kuchnię z wszelkiemi naczyniami — okręt nawiedzany, owładnięty i rządzony przez bezlitosnego upiora głodu. Olej z lamp został wypity, knoty pokrajane na pokarm, świece zjedzone. Nocą ciemność panowała na statku we wszystkich zakamarkach, i pełno tam było strachu. Pewnego dnia Falk natknął się na człowieka żującego sosnową drzazgę. Nagle ów człowiek odrzucił drzazgę, podszedł chwiejnie do barjery i wpadł do morza. Falk, który nie zdążył temu zapobiec, widział jak ów rozpaczliwie czepiał się burty przed pójściem na dno. Następnego dnia drugi zrobił to samo, wybuchnąwszy strasznemi przekleństwami. Ale zdołał jakoś się chwycić porozrywanych sterowych łańcuchów i wisiał tak, milcząc. Falk zabrał się do ratowania go, i przez cały ten czas człowiek ów, trzymając się oburącz łańcuchów, patrzył na niego z niepokojem zapadłemi oczyma. Potem, właśnie w chwili gdy Falk miał go dosięgnąć, puścił łańcuchy i zapadł się w wodę jak kamień. Falk rozmyślał o wszystkich tych rzeczach. Serce buntowało się w nim przeciw grozie śmierci, i powiedział sobie że będzie walczył o każdą cenną minutę życia.

Pewnego popołudnia — gdy ludzie, którzy jeszcze

ocaleli, porozkładali się na rufie — cieśla, wysoki mężczyzna o czarnej brodzie, zaczął mówić o ostatniej ofierze. Już nic jadalnego nie było na statku. Nikt na to słowa nie odrzekł, lecz towarzystwo rozeszło się szybko; te obojętne, słabe widma wymykały się jedno po drugiem ze strachu przed sobą. Falk i cieśla pozostali razem na pokładzie. Falk lubił tego rosłego chłopa. Był to najdzielniejszy człowiek z całej załogi, zaradny, gotów zawsze do pracy, póki było coś do roboty; zachował też najdłużej nadzieję, oraz pewną siłę i zdolność decyzji.

Nic z sobą nie mówili. Odtąd nie słyszano już żadnych głosów rozmawiających posępnie na tym statku. Po pewnym czasie cieśla skierował się chwiejnym krokiem ku przodowi; ale nieco później, gdy Falk szedł do pompy ze świeżą wodą aby się napić, tknęło go coś, tak że się odwrócił. Cieśla skradał się za nim, i zebrawszy wszystkie siły, zamierzał się lewarem, celując w jego czaszkę.

Uchyliwszy się w porę, Falk uciekł i schronił się do swojej kajuty. Podczas gdy nabijał rewolwer, doszły go odgłosy ciężkich uderzeń na mostku. Słabe zamki kajuty nawigacyjnej puściły i cieśla, zawładnąwszy rewolwerem kapitana, strzelił wyzywająco w powietrze.

Falk chciał wyjść na pokład i rozprawić się z nim odrazu, gdy spostrzegł że jeden z iluminatorów jego kajuty wychodzi na przejście do pompy ze świeżą wodą. Zamiast wyjść, pozostał w kajucie i umocnił drzwi. „Najlepszy człowiek powinien wyżyć“, powiedział sobie; rozumował że tamten musi prędzej czy później przejść tędy po wodę. Ci głodomorzy pili często aby oszukać swe męki. Lecz cieśla musiał też zauważyć położenie iluminatora. Obaj byli najlepszymi

ludźmi na statku i rozgrywka musiała odbyć się między nimi. Przez resztę dnia Falk nie widział nikogo i nie słyszał żadnego odgłosu. Nocą wytężał oczy. Panowała ciemność — posłyszał raz szmer, ale był pewien że nikt nie mógł podejść do pompy. Znajdowała się po lewej stronie iluminatora; dostrzegłby napewno człowieka, gdyż noc była jasna i gwiaździsta. Nie zobaczył nic; nad ranem drugi słaby szmer obudził jego podejrzenia. Powoli i spokojnie odsunął zasuwkę u drzwi. Nie spał ani na chwilę i nie ugiął się pod grozą położenia. Chciał żyć.

Lecz w ciągu nocy cieśla, nie usiłując wcale zbliżyć się do pompy, zdołał przeczołgać się nieznacznie wzdłuż prawostronnego nadburcia i przykucnął wprost pod iluminatorem Falka. Gdy się rozwidniło, wstał nagle, zajrzał do kajuty, i wsunąwszy rękę przez okrągły otwór o mosiężnej ramie, strzelił do Falka z odległości stopy. Chybił, a Falk, zamiast pochwycić rękę trzymającą broń, otworzył drzwi znienacka i zastrzelił go, dotykając prawie jego boku długą lufą rewolweru.

Najdzielniejszy człowiek wyżył. Obaj od początku zaledwie mieli dość siły aby się utrzymać na nogach, i obaj rozwinęli bezlitosną stanowczość, wytrzymałość, chytrość i odwagę — wszystkie cechy klasycznego bohaterstwa. Falk wyrzucił odrazu za burtę rewolwer kapitana. Był urodzonym monopolistą.

Gdy przebrzmiały odgłosy dwóch strzałów, po których zapadła głucha cisza, w zimny, okrutny blask antarktycznej strefy wypełzły z różnych kryjówek szkielety na pokład ogołoconego trupa okrętu, co płynął po szarem morzu rządzonem przez żelazną konieczność, przez serce z lodu; wypełzły na jaw całą zgrają, je-

den za drugim, wybladłe szkielety o wytrzeszczonych oczach — ostrożne, powolne, pożądliwe, nieczyste i głodne. Właściciel jedynej broni palnej na statku stał naprzeciwko nich, a drugi najlepszy człowiek — cieśla — leżał martwy między Falkiem a tamtymi.

— Oczywiście został zjedzony — rzekłem.

Skłonił powoli głowę, wstrząsnął się zlekka, przeciągając ręce po twarzy, i rzekł:

— Nie miałem nigdy żadnej sprzeczki z tym człowiekiem. Ale między nim a mną było jego i moje życie.

I pocóż ciągnąć dalej historję tego okrętu, historję o pompie ze świeżą wodą — tem źródle śmierci — o uzbrojonym człowieku, o morzu rządzonem przez żelazną konieczność, o widmowej zgrai miotanej przez grozę i nadzieję, o niemych i głuchych niebiosach? Bajka o Latającym Holendrze z jej konwencjonalną zbrodnią i sentymentalną pokutą blednie wobec tej historji jak wdzięczna girlanda, jak smuga białej mgły. Cóżby tu można powiedzieć, czegoby każdy z nas sam nie mógł odgadnąć? Sądzę że Falk zaczął od tego, iż obszedł cały okręt z rewolwerem w ręku aby odebrać wszystkie zapałki. Ci umierający z głodu nędzarze mieli wbród zapałek! Falk nie chciał aby mu podpalono okręt pod nogami, z nienawiści albo rozpaczy. Mieszkał pod gołem niebem na mostku, skąd ogarniał wzrokiem cały tylny pokład i jedyny dostęp do pompy. Żył! Niektórzy z tamtych żyli także — ukryci, niespokojni; wychodzili ze swych kryjówek jeden za drugim na kuszący odgłos wystrzału. A Falk nie był samolubny. Dzielił się z nimi; ale tylko trzech pozostało przy życiu, gdy okręt polujący na wieloryby, wracając ze swej wyprawy, najechał prawie na prze-

siąknięty wodą kadłub Borgmestra Dahla. Jak się zdaje, statek miał przy końcu szpary i w przedniem, i w tylnem wnętrzu, ale że był naładowany deskami, więc nie mógł zatonąć.

— Umarli wszyscy — rzekł Falk. — Tamtych trzech także — później. Ale ja nie chciałem umrzeć. Wszyscy umarli, wszyscy! Przez to straszliwe nieszczęście. Ale czy ja miałem też swoje życie zmarnować? Czy mogłem swoje życie zmarnować? Niech mi pan odpowie, kapitanie? Byłem wówczas sam, zupełnie sam, tak jak i wszyscy inni. Każdy z nas był sam. Czy miałem oddać swój rewolwer? Komu? Albo czy miałem rzucić go w morze? Cóżby stąd wynikło dobrego? Tylko najlepszy człowiek miał wyżyć. To było wielkie, straszliwe, okrutne nieszczęście.

Wyżył! Widziałem go przed sobą, jakby go zachowano, aby świadczył o potężnej prawdzie nieomylnej i wiecznej zasady. Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło. I nagle grzmotnął sobą o stół, padając nań z wyciągniętemi rękami.

— A to jest gorsze — krzyknął. — To gorszy ból! To jeszcze straszniejsze.

Serce zakołatało we mnie, gdy poczułem jak głębokie przekonanie brzmi w tym okrzyku. A kiedy Falk już odszedł, wywołałem w myśli obraz dziewczyny płaczącej cicho, obficie, cierpliwie, i jakby nieodparcie. Myślałem o jej płowych włosach. Myślałem że gdyby je rozpleść, zakryłyby ją aż do bioder jak włosy syreny. Rzuciła na niego czar. Wyobraźcie sobie człowieka, który strzegł swego życia nieugięcie, z bezlitosną niewzruszonością losu, i któremu przyszło w końcu rozpaczać nad tem, że lewar chybił ongi jego czaszkę! Syreny śpiewają i wabią ku śmierci, ale ta oto pła-

kała cicho, jakby o zlitowanie nad jego życiem. Była tkliwą i niemą syreną tego przerażającego żeglarza. A Falk chciał widać przeżyć wszystko, co się mieściło w jego koncepcji życia. Ani o jotę mniej. I ona również służyła temu życiu, co otoczone śmiercią woła głośno do naszych zmysłów. Była dla Falka idealnem wcieleniem kobiecości. A bogactwem zmysłowego czaru zdawała się także stwierdzać na swój sposób prawdę wieczystej i nieomylnej zasady.

Nie wiem jednak jakiego rodzaju zasadę stwierdzał Hermann, gdy zjawił się u mnie wcześnie na statku z niezmiernie zakłopotaną miną. Przyszło mi na myśl, że i on także zrobiłby wszystko coby się dało — aby się tylko utrzymać przy życiu. Wydał mi się zupełnie uspokojony co do Falka, ale wciąż nim bardzo przejęty.

— Jak to pan o mnie powiedział wczoraj wieczorem? Pamięta pan — zapytał po paru wstępnych zdaniach. — Że ja jestem — — nie przypominam sobie. Bardzo zabawne słowo.

— Przeczulony? — poddałem.

— Tak. Co to znaczy?

— Że pan przesadza różne rzeczy — przed samym sobą. Nie zbada pan należycie jakiejś kwestji — i tak dalej.

Zdawał się przeżuwać moje słowa. Rozmawialiśmy w dalszym ciągu. Ten Falk jest plagą jego życia. Żeby wszystkich tak z równowagi wytrącić! Żona jego nie czuje się dzisiaj dobrze. Bratanica wciąż płacze. Niema nikogo do pilnowania dzieci. Stuknął parasolem w pokład. I tak będzie z dziewczyną przez całe miesiące. Proszę sobie wyobrazić, jak to przyjemnie wieźć z sobą do kraju — drugą klasą — zupełnie

bezużyteczną dziewczynę, która wciąż płacze. Dla Leny to także nie jest dobrze — zauważył, ale nie mogłem odgadnąć dlaczego. Może ze względu na zły przykład. Dziecko i tak już dość się martwiło i płakało nad lalką z gałganów. Mikołaj był właściwie najmniej sentymentalną osobą z całej rodziny.

— Dlaczegóż ona płacze? — zapytałem.

— Z litości — krzyknął Hermann. Niepodobna kobiet zrozumieć. Jego żona jest jedyną kobietą, o której Hermann może powiedzieć, że ją rozumie. Bardzo jest zdenerwowana i pełna wątpliwości.

— Wątpliwości? A dlaczego? — zapytałem.

Odwrócił oczy i nic na to nie odpowiedział. Niepodobna kobiet przeniknąć. Naprzykład — bratanica płacze z powodu Falka. Otóż on (Hermann) z przyjemnością skręciłby kark temu Falkowi, tylko że... sądzi iż ma na to za czułe serce.

— Co pan w gruncie rzeczy myśli o tem cośmy wczoraj słyszeli? — zapytał wreszcie.

— We wszystkich takich opowiadaniach — zauważyłem — jest zawsze dużo przesady.

I nie dając mu przyjść do siebie ze zdziwienia, zapewniłem go że znam wszystkie szczegóły tej historji. Prosił abym ich nie powtarzał. On ma za tkliwe serce. Zrobiłoby mu się niedobrze. Potem rzekł bardzo wolno, spoglądając na swoje nogi, że prawdopodobnie nie będzie potrzebował widywać często tej pary, kiedy się już raz pobiorą. Gdyż naprawdę nie może znieść widoku Falka. Z drugiej zaś strony byłoby śmiesznie zabierać do kraju dziewczynę, która ma przewrócone w głowie. Cały czas płacze i nie jest żadną wyręką dla swojej ciotki.

— Teraz będzie pan mógł wziąć tylko jedną kajutę w powrotnej drodze — rzekłem.

— Tak, myślałem już o tem — rzekł prawie wesoło. — Tak! Ja, moja żona, czworo dzieci — wystarczyłaby jedna kajuta. A gdyby i ona jechała...

— A co mówi na to pańska żona? — zapytałem. Żona jego nie uważa, aby człowiek tego rodzaju mógł dać szczęście dziewczynie; rozczarowała się bardzo do kapitana Falka. Czuła się bardzo zdenerwowana dziś w nocy.

Ci dobrzy ludzie nie byli w stanie pozostać pod jednem wrażeniem przez całe dwadzieścia cztery godziny. Zaręczyłem Hermannowi, iż Falk posiada wszystkie zalety, które mogą zapewnić bratanicy szczęśliwą przyszłość. Odrzekł że mu bardzo miło to słyszeć; i że powtórzy to żonie. Cel jego wizyty wyjaśnił się w końcu. Chciał abym mu pomógł nawiązać stosunki z Falkiem. Bratanica jego wyraziła nadzieję, że nie odmówię im tej uprzejmości. Bardzo tego pragnął widocznie, bo choć wyglądało na to, że zapomniał o dziewięciu dziesiątych z tego co mówił poprzedniego wieczoru i o całem swem oburzeniu, lecz bał się najwidoczniej aby go Falk nie posłał do wszystkich djabłów.

— Pan mi mówił że on jest taki zakochany — zakończył chytrze i rzucił mi bokiem coś w rodzaju lirycznego spojrzenia.

Z chwilą gdy opuścił mój okręt, wezwałem sygnałem Falka, gdyż holownik stał jeszcze wciąż na kotwicy. Wysłuchał tej nowiny ze spokojem i powagą, jak gdyby cały czas się spodziewał, że gwiazdy będą się nim opiekować w swym biegu.

Widziałem ich wszystkich jeszcze raz — jeden jedyny — na tylnym pokładzie Djany. Hermann sie-

dział i palił, a jego łokieć w rękawie od koszuli sterczał na oparciu krzesła. Pani Hermann szyła samotnie. Gdy Falk się ukazał na schodni, bratanica Hermanna przesunęła się koło mnie z lekkim szelestem sukni i przyjaźnie skinęła mi głową.

Spotkali się w słońcu na linji głównego masztu. Falk trzymał jej ręce i patrzył na nie spuszczonemi oczami, a ona spoglądała ku niemu w górę swem czystem, nie widzącem spojrzeniem. Zdawało się, że się zeszli jakby pociągnięci ku sobie, jakby kierowani i prowadzeni przez jakiś wpływ tajemniczy. Dopełniali się idealnie. Ta dziewczyna o bujnych kształtach, odziana w szarą suknię, tętniąca życiem, olimpijska i pełna prostoty, była zaiste syreną zdolną oczarować owego posępnego marynarza, bezwzględnego miłośnika pięciu zmysłów. Miałem wrażenie że czuję zdaleka męską siłę, z jaką chwycił te ręce, które wyciągnęła ku niemu z kobiecą gotowością. Lena, trochę jeszcze blada, pobiegła ku swemu wielkiemu przyjacielowi, cisnąc do piersi ukochaną lalkę z brudnych gałganów; i wówczas to w sennej ciszy dobrego, starego statku rozległ się głos Hermannowej, taki zmieniony, że obróciłem się na krześle aby zobaczyć co się tam dzieje.

— Leno, chodź tutaj! — krzyknęła. I zacna kobieta rzuciła mi niepewne spojrzenie, mroczne i pełne lękliwej nieufności. Zdziwione dziecko przybiegło z powrotem do jej kolan. Lecz tych dwoje, stojących w słońcu naprzeciw siebie ze splecionemi rękami, nie widziało nic, nie słyszało nic i nikogo. O trzy stopy od nich siedział w cieniu majtek na belce, pochłonięty splataniem dwóch końców linki, i maczał palce w garnku ze smołą, jakby wcale sobie nie zdawał sprawy z istnienia tej pary.

Kiedy wróciłem tam jako kapitan innego statku około pięciu lat później, państwa Falk już nie było. Nie dziwiłbym się, gdyby to język Schomberga zdołał wreszcie Falka wypłoszyć; i rzeczywiście po mieście chodziła wciąż jeszcze gadka o właścicielu holownika, niejakim Falku, który wygrał żonę w karty od kapitana angielskiego okrętu.

AMY FOSTER

AMY FOSTER

Kennedy jest wiejskim doktorem i mieszka w Colebrook, na wybrzeżu Eastbay. Pagórek wznoszący się stromo za czerwonemi dachami miasteczka wygina dziwacznie ulicę High street i przyciska ją do tamy, która broni mieszkańców przed morzem. Za tamą wije się na całe mile rozległem i foremnem zakolem jałowy brzeg pokryty grubym żwirem, ze wsią Brenzett — wyglądającą po drugiej stronie wody jak ciemna grupa drzew z dzwonnicą pośrodku; dalej zaś prostopadła kolumna morskiej latarni, nie większa w dali od ołówka, wskazuje gdzie ląd się kończy. Za Brenzett ciągnie się płaska nizina, lecz zatoka jest doskonale zasłonięta od fal, i zdarza się niekiedy że jaki duży statek, oczekujący na pomyślny wiatr lub też zagnany przez niepogodę, zarzuca kotwicę półtorej mili na północ — licząc odległość od tylnych drzwi gospody „Pod Okrętem“ w Brenzett. Rozwalony wiatrak w pobliżu, wznoszący poharatane skrzydła z pagórka nie wyższego od kupy śmieci, i wieża Martello przykucnięta u skraju wody, pół mili na południe od domków straży nadbrzeżnej, dobrze są znane szyprom małych statków. Są to oficjalne wodne znaki, rozgraniczające obszar dobrego gruntu kotwicznego, który to grunt przedstawiony jest na mapach admiralicji jako nieregularny owal z kropek, z kilku rozsianemi po nim szóstkami, malutką kotwiczką pośrodku i napisem: „muł i muszle“, biegnącym poprzez owe kropki.

Szczyt płaskowzgórza góruje nad czworokątną wieżą kościoła w Colebrook. Zbocze jest zielone i przewiązane białą drogą. Idąc tędy w górę, wchodzi się do szerokiej i płytkiej doliny, rozległego, zielonego jaru z pastwiskami i płotami, które stapiają się w zamykającej widok perspektywie o tonie fjoletowym i falujących linjach.

Ta dolina schodzi do Brenzett i Colebrook, a wznosi się aż do Darnford, targowego miasteczka oddalonego o mil czternaście. Jest to teren pracy mego przyjaciela Kennedy'ego, który zaczął praktykować jako doktór w marynarce, a potem był towarzyszem pewnego znakomitego podróżnika, w czasach kiedy istniały jeszcze kontynenty o niezbadanem wnętrzu. Referaty doktora o faunie i florze zjednały mu sławę w kołach naukowych. A teraz zajął się praktyką wiejską z własnego wyboru. Potężna przenikliwość jego ducha, działająca jak żrący płyn, zniszczyła snać jego ambicję. Inteligencja Kennedy'ego należy do rzędu naukowych; badawcza z nawyku, odznacza się tą nienasyconą ciekawością, która wierzy iż każda tajemnica kryje w sobie cząstkę ogólnej prawdy.

Kennedy zaprosił mnie kiedyś do siebie przed wielu laty, po moim powrocie z zagranicy. Przyjechałem bardzo chętnie, a że nie mógł zaniedbywać pacjentów dla dotrzymywania mi towarzystwa, zabierał mnie na swoje popołudniowe objazdy, które wynosiły czasem około trzydziestu mil. Czekałem na niego na drodze; koń sięgał po liściaste gałęzie, a ja tkwiłem na wysokiem siedzeniu dwukółki i przez nawpół otwarte drzwi jakiejś chaty słyszałem śmiech Kennedy'ego, głośny, serdeczny śmiech, któryby pasował do mężczyzny dwa razy większego. Kennedy miał żywe obejście,

ogorzałą twarz i siwe, niezmiernie bystre oczy; miał również talent wyciągania ludzi na swobodną rozmowę i niewyczerpaną cierpliwość w słuchaniu ich opowiadań.

Pewnego dnia, gdy wyjeżdżaliśmy kłusem z dużej wsi, kierując się ku cienistej drodze, zobaczyłem po lewej stronie niską, czarną chatę, z malutkiemi szybkami w oknach, pnącemi roślinami na tylnej ścianie, gontowym dachem i różami, które wiły się zrzadka po zniszczonej kracie wystawki. Kennedy ściągnął lejce i koń przeszedł w stępa. W pełnem słońcu stała kobieta i zarzucała ociekającą wodą derkę na sznur przeciągnięty między dwiema staremi jabłoniami. A gdy kurtyzowany kasztan o długiej szyi, wyrywając się naprzód, szarpnął lewą rękę doktora obciągniętą w grubą, skórzaną rękawiczkę, ten zawołał poprzez płot do kobiety: „Jakże tam twoje dziecko, Amy?"

Miałem czas przypatrzyć się jej tępej twarzy — czerwonej, ale jakby nie od rumieńca tylko od tęgiego policzka; zapamiętałem również krępą jej postać i rzadkie, ciemno brunatne włosy, ściągnięte w ciasny węzeł z tyłu głowy. Wyglądała zupełnie młodo. Jej głos brzmiał cicho i nieśmiało; słychać było wyraźnie że brak jej tchu.

— Chłopiec zdrów, dziękuję panu.

Pojechaliśmy dalej kłusem.

— Pan pytał pewnie o jakiegoś małego pacjenta? — rzekłem, a doktór, zacinając z roztargnieniem kasztana, mruknął:

— Jej mąż był dawniej moim pacjentem.

— Wygląda na tępą — zauważyłem odniechcenia.

— Otóż to właśnie — rzekł Kennedy. — Bardzo jest bierna. Dość spojrzeć na te czerwone ręce, wiszące

u końca krótkich ramion, na nieruchawe, wypukłe, piwne oczy, aby zdać sobie sprawę z inercji jej ducha — inercji, która powinna była zabezpieczyć ją nazawsze przed wszelkiemi niespodziankami wyobraźni. A jednak któż z nas jest bezpieczny? W każdym razie Amy, taka jak ją pan widzi, miała dość wyobraźni by się zakochać. Ona jest córką niejakiego Izaaka Fostera, który był drobnym farmerem i zjechał na owczarza; początek jego nieszczęść datuje się od chwili, gdy uciekł z kucharką swego ojca, zamożnego hodowcy bydła, wdowca skłonnego do apopleksji, który w pasji wykreślił z testamentu imię syna i odgrażał się że go zabije. Ale ta stara historja, dość skandaliczna by służyć za temat do greckiej tragedji, wypłynęła z podobieństwa ich charakterów. Są inne tragedje, mniej skandaliczne a subtelniejsze i bardziej przejmujące, które powstają wskutek nie dających się pogodzić rozdźwięków i trwogi przed Niezrozumiałem, co wisi nad głowami nas wszystkich — nad głowami nas wszystkich...

Zmęczony kasztan przeszedł w stępa, a brzeg tarczy słonecznej, całej czerwonej na niebie bez skazy, zetknął się poufale z gładkim szczytem zoranego pagórka blisko drogi, podobnie jak stykał się w mych oczach niezliczoną ilość razy z odległym morskim horyzontem. Jednostajna brunatność zbronowanego pola żarzyła się różową barwą, jak gdyby sproszkowane grudy wypociły w drobniutkich perełkach krwi znój nieprzeliczonych oraczy. Od skraju zagajnika wóz zaprzężony w dwa konie toczył się zwolna wzdłuż grzbietu wzgórza. Wzniesiony na widnokręgu ponad naszemi głowami, rysował się na tle czerwonego słońca tryumfalnie wielki, ogromny, jak rydwan olbrzymów ciągniony przez dwa stąpające zwolna rumaki o fanta-

stycznych rozmiarach. A niezdarna postać człowieka, kroczącego ciężko przed lejcowym koniem, odcinała się na tle Nieskończoności niby jakiś olbrzymi dziwotwór. Koniec bicza woźnicy drżał wysoko w błękicie. Kennedy wciąż mówił.

— Ona jest najstarszą z licznej rodziny. Kiedy miała piętnaście lat, oddali ją na służbę do New Barns Farm. Leczyłem panią Smith, żonę dzierżawcy, i tam zobaczyłem Amy po raz pierwszy. Pani Smith, wykrygowana osoba o ostrym nosie, kazała jej zawsze kłaść czarną suknię po południu. Nie wiem z jakiego powodu wogóle tę dziewczynę zauważyłem. Są twarze, które przyciągają uwagę przez dziwny brak czegoś określonego w wyglądzie; tak samo, idąc wśród mgły, jesteśmy czasem pociągnięci przez jakiś niewyraźny kształt, który może się okazać czemś równie mało ciekawem i osobliwem jak słup przydrożny. Jedynym znakiem szczególnym, jaki w niej zauważyłem, było lekkie zacinanie się, coś w rodzaju jąkania, które mijało po wymówieniu pierwszego słowa. Gdy się kto ostro do niej zwrócił, gotowa była stracić głowę natychmiast; ale serce miała złote. Nie słyszano nigdy, aby wyrażała się nieprzyjaźnie o jakiejkolwiek ludzkiej istocie, a odnosiła się z tkliwością do wszelkich żyjących stworzeń. Przywiązała się do Smithowej, do Smitha, do ich psów, kotów, kanarków; a co się tyczy szarej papugi Smithowej, szczególne właściwości zamorskiego ptaka wywierały na nią istotny urok. Ale kiedy papuga, napadnięta przez kota, skrzeczała o pomoc ludzkim głosem, Amy wypadła na podwórze z zatkanemi uszami i nie zapobiegła zbrodni. Dla Smithowej stanowiło to jeszcze jeden dowód głupoty Amy; z drugiej jednak strony brak wdzięku służącej

był wielkim plusem wobec znanej frywolności Smitha. Krótkowzroczne oczy Amy napełniały się łzami litości na widok biednej myszy schwytanej w pułapkę, a raz kilku chłopców widziało dziewczynę jak klęczała w mokrej trawie, opiekując się ropuchą w opałach. Jeśli to prawda że — jak powiedział pewien Niemiec — niema myśli bez fosforu, jeszcze głębszą prawdą jest że niema dobroci bez pewnej dozy wyobraźni. Amy miała trochę wyobraźni. Miała jej nawet więcej niż trzeba aby zrozumieć cierpienie i przejmować się litością. Zakochała się wśród warunków, które nie zostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości; albowiem trzeba wyobraźni aby wogóle sobie stworzyć pojęcie piękna, a tembardziej aby odkryć swój ideał w niezwykłej postaci.

— Jak w niej powstała ta możliwość i co sprzyjało jej rozwojowi jest niezgłębioną tajemnicą. Amy urodziła się w tej wsi i nigdy nie wyruszała z niej dalej jak do Colebrook lub może do Darnford. Służyła przez cztery lata u Smithów. New Barns jest osamotnioną fermą położoną o milę od drogi i Amy dzień w dzień zadawalniała się widokiem tych samych pól, dolinek, wyniosłości, tych samych drzew i żywopłotów, a także i twarzy czterech fornali pracujących w fermie, zawsze tych samych — dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nie zdradziła się nigdy z chęcią rozmowy i — jak mi się zdawało — nie umiała się uśmiechać. Czasami w piękne niedzielne popołudnie wkładała najlepszą suknię, grube trzewiki, duży, popielaty kapelusz ozdobiony czarnem piórem (widziałem ją w tym stroju), chwytała śmiesznie długą i cienką parasolkę, i minąwszy dwie kładki, wędrowała przez trzy pola oraz dwieście jardów drogi —

nigdy dalej. Stała tam chata Fosterów. Amy pomagała matce poić herbatą młodszą dzieciarnię, poczem myła naczynia, całowała dzieci i wracała na fermę. To było wszystko. Cały jej wypoczynek, cała rozmaitość, całe wytchnienie. Zdawała się nigdy niczego więcej nie pragnąć. A potem zakochała się. Zakochała się skrycie, uporczywie — może bezwolnie. Przyszło to powoli, ale kiedy już nią owładnęło, działało jak potężny czar; była to miłość jak ją rozumieli starożytni — władczy, nieuchronny poryw — opętanie! Tak, ona miała w sobie tę zdolność poddania się czarowi czyjejś twarzy, czyjejś obecności, nieodparcie, jakby była pogańską czcicielką kształtu pod radosnem niebem — i w końcu ocknęła się z tego tajemniczego zapamiętania, z tego czaru, z tych uniesień — wśród trwogi podobnej do niepoczytalnego strachu bydlęcia...

Pod słońcem wiszącem nisko u swego zachodniego kresu przestrzeń łąk, ujętych z obu stron w szkarpy wznoszącego się gruntu, oblokła się we wspaniałość i mrok. Uczucie dojmującego smutku, niby natchnione przez jakąś uroczystą melodję, płynęło z ciszy pól. Ludzie, których spotykaliśmy, przechodzili koło nas wolnym krokiem, bez uśmiechu, ze spuszczonemi oczami, jakby melancholja przemęczonej ziemi obciążyła ich nogi, pochyliła ramiona, wbiła w ziemię oczy.

— Tak — rzekł doktór w odpowiedzi na moją uwagę — możnaby pomyśleć że ziemia jest przeklęta, bo ze wszystkich jej dzieci te, które najściślej z nią współżyją, wyglądają nieokrzesanie i mają chód tak ołowiany, jakby ich serca były spętane łańcuchem. Ale tu na tej samej drodze można było zobaczyć pośród niezdarnych ludzi człowieka zwinnego, giętkiego,

o długich członkach, prostego jak sosna, rzekłbyś rwącego się w górę, jak gdyby serce w jego piersi było lekkie. Może działo się to tylko siłą kontrastu, ale gdy człowiek ten mijał któregoś z tutejszych wieśniaków, stopy jego zdawały się nie dotykać kurzu na drodze. Skakał przez kładki, przemierzał zbocza długim, elastycznym krokiem, który można było rozpoznać na wielką odległość, a oczy miał czarne i świecące. Różnił się tak dalece od ludzi z tych okolic, że jego swobodne ruchy, łagodne, trochę lękliwe oczy, oliwkowa cera i obejście pełne wdzięku — cała jego istota przywodziła mi na myśl jakiś leśny stwór. Przybył stamtąd.

Doktór wskazał batem; ze szczytu zbocza ujrzeliśmy ponad rozchwianemi wierzchołkami drzew w parku, ciągnącym się obok drogi, gładkie morze daleko pod nami, jak posadzkę olbrzymiego gmachu wykładaną pasami ciemnych zmarszczek i spokojnemi smugami blasku, które zlewały się w taśmę szklistej wody u stóp nieba. Leciutki cień dymu z niewidzialnego parowca rozpływał się w wielkiej przejrzystości widnokręgu jak mgła oddechu na zwierciadle; a bliżej lądu białe żagle nadbrzeżnego statku zdawały się wyplątywać powoli z pod gałęzi i oddzieliły się wreszcie od drzew.

— Rozbił się z okrętem w tej zatoce? — rzekłem.

— Tak; był to rozbitek. Biedny emigrant ze środkowej Europy, jadący do Ameryki i wyrzucony przez morze na brzeg podczas burzy. Dla niego, który nic o świecie nie wiedział, Anglja była jak kraj jeszcze nie odkryty. Dopiero po pewnym czasie nauczył się jego nazwy; a jak mi się zdaje, mógł się spodziewać że znajdzie tu dzikie bestje lub dzikich ludzi. Pełznąc w ciemności po morskiej tamie, stoczył się na drugą

jej stronę i wleciał do stawu, gdzie się znów jakimś cudem nie utopił. Lecz walczył instynktownie o życie jak zwierzę schwytane w sieci, i ślepe to szamotanie wyrzuciło go na brzeg. Był widać z twardszej gliny niż się zdawało, jeśli wyżył mimo ciężkiego potłuczenia, nadludzkich wysiłków i trwogi. Opowiadał mi później tą swoją łamaną angielszczyzną, dziwnie podobną do mowy małego dziecka, iż oddawał się już Bogu w opiekę, myśląc że jest na tamtym świecie. I doprawdy — dodawał — skądże miał wiedzieć? Walczył na czworakach o drogę z deszczem i wichurą, i doczołgał się wreszcie między owce zbite w kupę pod żywopłotem chroniącym je od wiatru. Rozbiegły się na wszystkie strony, becząc w ciemności, a on powitał z radością ten pierwszy znajomy głos, który posłyszał na brzegu. Musiała być wtedy jaka druga nad ranem. Oto wszystko co wiemy o jego wylądowaniu, choć nie przybył bynajmniej sam jeden. Tylko że jego straszna kompanja dostała się na brzeg dopiero znacznie później, już za dnia...

Doktór zebrał lejce i cmoknął; zjechaliśmy kłusem ze wzgórza. Potem prawie natychmiast skręciliśmy pod ostrym kątem na ulicę High Street; dwukółka zaturkotała po kamieniach i byliśmy w domu.

Późnym wieczorem Kennedy otrząsnął się z posępności, która go była napadła, i powrócił do swej historji. Paląc fajkę, chodził z końca w koniec po długim pokoju. Stojąca lampa skupiała całe światło na papierach leżących na biurku. Siedząc przy otwartem oknie, widziałem po bezwietrznym, upalnym dniu chłodną wspaniałość mglistego morza leżącego nieruchomo pod księżycem. Żaden szept, żaden plusk, żadne skrzypnięcie żwiru, kroki czy westchnienie nie docho-

dziły z dołu od ziemi, żaden znak życia prócz woni pnącego jaśminu; a głos Kennedy'ego, który opowiadał za memi plecami, przechodził przez szeroki otwór okienny i znikał w chłodnej, wspaniałej ciszy.

— ...Dawne relacje z katastrof okrętowych mówią nam o wielkich cierpieniach. Zdarzało się często, że rozbitkowie ocaleli od utonięcia tylko po to aby umrzeć z głodu na jakiemś wybrzeżu; inni padali ofiarą gwałtownej śmierci lub niewoli, pędząc latami życie niepewne jutra wśród ludzi, dla których obcość ich była źródłem podejrzeń, niechęci lub trwogi. Czytaliśmy o tych rzeczach, budzących wielką litość. Zaiste, ciężko jest człowiekowi, gdy stanie się zagubionym, bezsilnym, niezrozumiałym cudzoziemcem o tajemniczem pochodzeniu, rzuconym w jakiś głuchy kąt ziemi. A jednak wśród poszukiwaczy przygód, co ulegali rozbiciu w przeróżnych stronach świata, niema zdaje mi się ani jednego, któremuby przypadł los tak prosty w swoim tragizmie, jak człowiekowi o którym mówię, temu najniewinniejszemu z miłośników przygód, wyrzuconemu przez morze w zakątku zatoki prawie że dostrzegalnym z tego oto okna.

— Ów człowiek nie wiedział jak się nazywał jego okręt. Z czasem odkryliśmy, że nie wiedział iż wogóle okręty mają nazwy — „jak chrześcijanie“, a gdy pewnego dnia ujrzał ze szczytu Talford Hill morze rozpostarte przed sobą, zapatrzył się w dal, ogarnięty niezmiernem zdumieniem, jakby nigdy w życiu nie widział nic podobnego. I pewnie tak było. O ile się mogłem dorozumieć, został zapędzony wraz z wielu innymi na pokład statku dla emigrantów przy ujściu Elby; zbyt był oszołomiony aby zwrócić uwagę na otoczenie, zbyt przemęczony aby spostrzec cośkolwiek,

zbyt niespokojny by go coś mogło obchodzić. Zagnano ich wdół do międzypokładu i zamknięto tam od samego początku; znaleźli się w niskiem, drewnianem pomieszczeniu — opowiadał — z belkami na suficie, jak w chatach w jego kraju, ale schodziło się tam po drabinie. Izba ta była bardzo wielka, bardzo zimna, wilgotna i ciemna, z komórkami nakształt drewnianych skrzyń, gdzie ludzie musieli spać jedni nad drugimi — a wszystko to kołysało się ciągle na wszystkie strony od samego początku. Wczołgał się do jednej z tych skrzyń i położył się tam — w odzieniu, w którem opuścił był rodzinny dom przed wielu dniami — trzymając koło siebie zawiniątko swoje i kij. Ludzie jęczeli, dzieci płakały, woda kapała, światła gasły, ściany trzeszczały, a wszystko tak się trzęsło, że w swojej małej skrzyni człowiek nie śmiał unieść głowy z posłania. Stracił z oczu swego jedynego towarzysza (młodzieńca z tej samej co i on doliny, jak opowiadał), a przez cały czas słychać było nazewnątrz straszny huk wiatru i ciężkie uderzenia — bum! bum! Napadła go okropna słabość, tak ciężka że zaniedbywał się w modlitwie. W dodatku nie można było rozpoznać czy to jest rano czy wieczór. Zdawało się że w tej izbie noc trwa bez końca.

A jeszcze przedtem podróżował długi, długi czas drogą żelazną. Wyglądał przez okno, które miało dziwnie czystą szybę, a drzewa, domy, pola i długie drogi zdawały się latać i latać wkoło niego, aż mu się zakręciło w głowie. Dał mi do zrozumienia, że po drodze widział niezliczone mnóstwo ludzi — całe narody — a wszyscy byli ubrani w suknie, jakie noszą bogaci. Raz kazano mu wyjść z wozu, i przespał noc na ławce w ceglanym domu ze swojem zawiniątkiem pod głową;

a innym znów razem musiał siedzieć przez wiele godzin na podłodze z płaskich kamieni i drzemał, podniósłszy kolana, trzymając zawiniątko między nogami. Nad nim był dach zrobiony jakby ze szkła, a taki wysoki, że najwyższy z górskich świerków, jakie widział, byłby mógł tam rosnąć swobodnie. Parowe maszyny wjeżdżały z jednej strony a wyjeżdżały z drugiej. Ludzi roiło się więcej niż w dzień świąteczny naokoło cudownego obrazu na dziedzińcu w klasztorze Karmelitów — tam w dole na równinie — dokąd przed wyjazdem z domu zawiózł był drewnianym wózkiem swoją matkę, pobożną staruszkę, która pragnęła się pomodlić i uczynić ślub na intencję bezpieczeństwa syna.

— Nie umiał mi wypowiedzieć jakie owo miejsce było wielkie i wysokie, pełne hałasu, i dymu, i mroku, i szczęku żelaza, ale ktoś mu powiedział, że ta miejscowość nazywa się Berlin. Potem uderzono w dzwon, przyjechała druga parowa maszyna i znów go wieźli i wieźli przez kraj, który aż męczył wzrok, taki był płaski; nigdzie nie spostrzegało się ani śladu pagórka. Przepędził jeszcze jedną noc, zamknięty w budynku podobnym do porządnej obory, z podściółką ze słomy na podłodze, strzegąc swego zawiniątka wśród mnóstwa ludzi — a nikt nie mógł zrozumieć ani jednego jedynego słowa z tego co mówił. Rano poprowadzono ich wszystkich w dół na kamienny brzeg bardzo szerokiej błotnistej rzeki, płynącej nie wśród pagórków, ale wśród domów, które się wydawały olbrzymie. Była tam parowa maszyna, chodząca po wodzie, a oni wszyscy stali na niej ciasno stłoczeni, tylko, że teraz znajdowało się z nimi wiele kobiet i dzieci, które bardzo krzyczały. Padał zimny deszcz, wiatr dmu-

chał w twarze; człowiek był przemoczony do nitki i szczękał zębami. Wzięli się za ręce z młodzieńcem pochodzącym z tej samej co i on doliny.

— Myśleli że wiozą ich wprost do Ameryki, lecz nagle parowa maszyna uderzyła o bok czegoś, co wyglądało jak wielki dom na wodzie. Ściany tego domu były gładkie i czarne, a z wierzchu wznosiły się, jakby wyrastając z dachu, nagie drzewa w kształcie krzyżów, niezmiernie wysokie. Tak to mu się wówczas wydało, bo nigdy przedtem nie widział okrętu. To był właśnie statek, na którym mieli płynąć przez całą drogę aż do Ameryki. Rozlegały się krzyki, wszystko się chwiało naokół; była tam drabina, która kołysała się w górę i w dół. Wszedł po tej drabinie na czworakach, bojąc się śmiertelnie żeby nie wpaść do wody, pluskającej bardzo głośno. Rozdzielono go z towarzyszem, a gdy zeszedł na dno tego statku, zdawało mu się że serce w nim nagle zamarło.

Wtedy to także, jak mi opowiadał, stracił na dobre kontakt z jednym z trzech ludzi, którzy poprzedniego lata wędrowali po wszystkich miasteczkach u stóp wzgórz w jego stronach rodzinnych. Przyjeżdżali w targowe dni na chłopskim wózku i otwierali biuro w gospodzie albo jakim innym żydowskim domu. Było ich trzech, jeden miał długą brodę i wyglądał czcigodnie; wszyscy mieli czerwone sukienne kołnierze u szyi i złote tasiemki na rękawach, jak państwowi urzędnicy. Siedzieli dumnie naokoło długiego stołu, a w sąsiednim pokoju, tak aby pospólstwo nie mogło słyszeć, trzymali chytrą maszynę od telegrafu, zapomocą której mogli rozmawiać z cesarzem Ameryki. Ojcowie trzymali się u drzwi, ale młodzież z gór gromadziła się naokoło stołu, zadając wiele pytań, bo w Ameryce

można było dostać pracę jak rok okrągły po trzy dolary dziennie, a do wojska nie brali tam wcale.

— Ale amerykański cesarz nie każdego chciał wziąć, o nie! Jego samego przyjęto z wielką trudnością, a czcigodny człowiek w mundurze musiał kilka razy wychodzić z izby, aby telegrafować w jego sprawie. Wreszcie amerykański cesarz zgodził go za trzy dolary dziennie, zważywszy na jego młodość i siły. Lecz wielu zdolnych młodzieńców wycofało się, bojąc się wielkiej odległości; a przytem tylko tych zabierano, którzy mieli pieniądze. Byli tacy co posprzedawali swoje chaty i ziemię, bo jazda do Ameryki kosztuje mnóstwo pieniędzy; ale kiedy się już człowiek tam znajdzie, zarabia po trzy dolary dziennie, a sprycjarze to potrafią wynaleźć miejsca, gdzie szczere złoto można z ziemi podnosić. Jego rodzinny dom był już przepełniony. Dwóch jego braci żonatych miało dzieci. Obiecał że będzie im posyłał z Ameryki pieniądze dwa razy na rok. Ojciec sprzedał starą krowę, parę srokatych górskich kucyków własnego chowu, a duża polanka — piękne pastwisko na słonecznem zboczu wąwozu pokrytego sosnami — poszła w ręce żydowskiego szynkarza na zapłatę dla ludzi ze statku, którzy zabierają naród do Ameryki, aby się tam prędko bogacił.

— Musiał to być zaiste prawdziwy miłośnik przygód, bo ileż największych przedsięwzięć, dążących do podboju ziemi, zaczęło się właśnie od takiego przehandlowania ojcowskiej krowy za miraż prawdziwego złota hen, daleko! Powtórzyłem panu mniej więcej własnemi słowami to, czego dowiedziałem się od niego dorywczo w ciągu dwóch lub trzech lat; rzadko kiedy ominąłem sposobność aby z nim przyjaźnie pogawędzić.

Opowiadał mi o tych swoich przygodach, błyskając białemi zębami i rzucał żywe spojrzenia czarnemi oczyma; z początku mówił jakby jakimś stroskanym dziecinnym szczebiotem, potem, gdy już przyswoił sobie nasz język, wyrażał się bardzo płynnie, ale zawsze tym śpiewnym, miękkim a zarazem dźwięcznym tonem, który nadawał dziwnie przejmującą siłę najpospolitszym angielskim wyrazom, jakby to były słowa jakiegoś nieziemskiego języka. W końcu wracał zawsze, kiwając wyraziście głową, do tego okropnego uczucia, kiedy serce w nim jakby zamarło, z chwilą gdy się znalazł na owym statku. Potem na jakiś czas stracił pewno zupełnie świadomość, w każdym zaś razie nie zdawał sobie sprawy z faktów. Musiał być z pewnością okropnie chory na morską chorobę i okropnie nieszczęśliwy — ten łagodny i namiętny miłośnik przygód; odcięty od wszystkiego co było mu bliskie, czuł gorzko, leżąc w emigranckiej koi, swoje zupełne osamotnienie, gdyż naturę miał niezmiernie wrażliwą. Dalej wiemy o nim z pewnością, że krył się na pastwisku dla świń u Hammonda, przy drodze prowadzącej do Norton, sześć mil od morza jak strzelił. Nie lubił mówić o tych swoich przejściach; miałem wrażenie że przeżarły mu duszę jakiemś ponurem zwątpieniem i zgrozą. Z pogłosek obiegających okolicę jeszcze wiele dni po jego przybyciu, wiemy że ktoś nachodził w nocy rybaków w West Colebrook i straszył ich, stukając mocno w obite deskami ściany chat i wykrzykując przenikliwym głosem dziwne słowa wśród nocy. Kilku z nich wyszło nawet na dwór, ale rozbitek zapewne uciekł, przejęty nagłym strachem przed ich szorstkiemi, gniewnemi głosami, nawołującemi się w ciemnościach. Coś w rodzaju szału pomogło mu chyba dostać się na

strome wzgórze w Norton. Jego to napewno znalazł nazajutrz wczesnym rankiem — leżącego (zapewne w omdleniu) na przydrożnej trawie — woźnica z Brenzett, i nawet zeskoczył aby mu przyjrzeć się z bliska, lecz cofnął się potem, onieśmielony jego zupełną nieruchomością i czemś dziwacznem w wyglądzie tego włóczęgi, śpiącego tak spokojnie pod ulewą. Nieco później kilkoro dzieci wpadło do szkoły w Norton w takim strachu, że nauczycielka wyszła na dwór i ofuknęła z oburzeniem „wstrętnie wyglądającego człowieka“ stojącego na drodze. Cofnął się o parę kroków, zwiesiwszy głowę, a potem nagle uciekł z nadzwyczajną chyżością. Furman od Bradleya, rozwożący mleko na wózku, nie taił że ściągnął batem jakiegoś włochatego Cygana, który wyskoczył na drogę u zakrętu niedaleko Vents i chciał chwycić kuca za uzdę. Furman pomacał go batem jak się patrzy, a trafił akurat w twarz, tak że tamten rozciągnął się w błocie jeszcze prędzej niż przedtem wyskoczył; ale kuc bardzo był nastraszony i z jakie pół mili nie dało się go osadzić na miejscu. Prawdopodobnie rozbitek próbował zatrzymać wózek, usiłując rozpaczliwie uzyskać jakąś pomoc i porozumieć się z kimkolwiek. Także trzech chłopców przyznało się później, że rzucali kamieniami na dziwacznego włóczęgę, który, przemoknięty, zabłocony i — jak się zdawało — porządnie pijany, wałęsał się po wąskiej, głębokiej dróżce koło wapniarni. Wszystko to omawiano w trzech wioskach przez szereg dni; ale mamy również niezawodne świadectwo Finnowej (żony woźnicy służącego u Smitha), która widziała jak ów włóczęga przelazł przez niski murek otaczający pastwisko dla świń u Hammoda i zatoczył się prosto na nią, Finnową, głośno coś szwargocząc; już sam jego głos

mógł człowieka przyprawić o śmierć ze strachu. Finnowa miała przy sobie dziecko w wózku; krzyknęła na włóczęgę żeby sobie poszedł precz, a gdy mimo to podchodził coraz bliżej, uderzyła go odważnie parasolką po głowie, i nie spojrzawszy za siebie ani razu, pobiegła z wózkiem jak na skrzydłach aż do najbliższego domu we wsi. Zatrzymawszy się bez tchu, zagadała do starego Lewisa, kującego młotem w kamienie; staruszek zdjął swoje olbrzymie okulary ochronne z czarnego drutu i dźwignął się na trzęsące nogi, aby spojrzeć w stronę gdzie pokazywała ręką. Oboje ścigali wzrokiem postać człowieka biegnącego przez pole; widzieli jak upadł, podniósł się i biegł znowu w kierunku New Barns Farm, potykając się i wymachując nad głową długiemi ramionami. Od owej chwili człowiek ten jest już wyraźnie w sieci swego mrocznego i wzruszającego przeznaczenia. Niema wątpliwości co do dalszych jego dziejów. Wszystko już teraz jest pewne: okropny przestrach pani Smith; przekonanie Amy Foster, przy którem wytrwała nieugięcie — mimo nerwowego ataku Smithowej — że „ten człowiek nie miał żadnych złych zamiarów“; rozjątrzenie Smitha (po jego powrocie z Darnford Market), gdy zastał psa zachrypniętego od szczekania, tylne drzwi domu zamknięte, żonę w histerycznym ataku; a wszystko to z powodu nieszczęsnego, brudnego włóczęgi, który — jak podejrzewano — zaczaił się wśród stogów. Czyżby tak było naprawdę? Trzeba mu dać porządną nauczkę, żeby kobiet nie straszył.

— Smith znany jest ze swej gwałtowności, ale stanął jak wryty na widok nieopisanego, utytłanego w błocie stworu, który siedział ze skrzyżowanemi nogami wśród rozrzuconej słomy, kiwając się jak niedźwiedź

9*

w klatce. Podniósł się przed Smithem, milcząc; wyglądał od stóp do głów jak jedna masa błota i brudu. Smith, sam na sam z tą zjawą między swemi stogami — wśród niepogody i zmierzchu rozbrzmiewającego wściekłem szczekaniem psa — poczuł strach jak przed czemś dziwacznem a niepojętem. Ale kiedy stwór rozdzielił czarnemi rękoma długie, poplątane loki zwisające mu na twarz — jak się rozsuwa dwie połowy firanki — i spojrzał na Smitha błyszczącemi, dzikiemi oczyma, połyskując białkami, farmer osłupiał wobec dziwaczności tego niemego spotkania. Przyznawał się potem (gdyż historja ta była oczywiście przedmiotem rozmów w okolicy przez całe lata), że się cofnął, i to więcej niż o krok. Nagły wybuch szybkiej gadaniny bez sensu przekonał go odrazu, że ma do czynienia ze zbiegłym warjatem. Wrażenie to właściwie nigdy się w zupełności nie zatarło. W gruncie rzeczy Smith do dziś dnia pozostał przy swem wewnętrznem przekonaniu, że ów człowiek miał źle w głowie.

Stwór podchodził coraz bliżej, szwargocząc w sposób bardzo niepokojący, a Smith (nie zdając sobie sprawy że dziwaczna istota nazywa go „wielmożnym panem“ i zaklina na imię Boga aby nie odmówił strawy i schronienia), przemawiał doń stanowczo ale łagodnie, wycofując się jednocześnie na podwórze. W końcu schwytał w lot odpowiednią chwilę, rzucił się nagle na warjata i wepchnął go na łeb na szyję do drewutni, zasuwając natychmiast rygiel. Zrobiwszy to, obtarł pot z czoła, choć wieczór był zimny. Spełnił swój obowiązek wobec społeczeństwa, przymykając wędrownego i prawdopodobnie niebezpiecznego manjaka. Smith nie jest bynajmniej człowiekiem twardym, ale w jego mózgu nie mogło się nic pomieścić poza tem wyobra-

żeniem o obłędzie. Zamało miał wyobraźni aby zadać sobie pytanie, czy ten człowiek nie ginie przypadkiem z zimna i głodu. Tymczasem manjak hałasował strasznie w drewutni. Pani Smith krzyczała na górze, gdzie zamknęła się w swojej sypialni, a Amy Foster szlochała żałośnie u drzwi kuchennych, łamiąc ręce i pomrukując: „Nie trzeba tak robić! nie trzeba!“ Wyobrażam sobie że ten wieczór dał się Smithowi porządnie we znaki; jedna hałasowała na górze, druga na dole, a na dobitkę ten obłąkańczy, niepokojący głos krzyczał uporczywie przeze drzwi, podsycając jeszcze gniew farmera. Niepodobna mu było powiązać w myśli tego kłopotliwego warjata z zatonięciem okrętu w Eastbay, o którem rozeszły się pogłoski na targu w Darnford. Sądzę że człowiek zamknięty w drewutni był bardzo bliski szaleństwa tej nocy. Nim jego podniecenie minęło i nim utracił przytomność, rzucał się gwałtownie w ciemnościach, tarzał po jakichś brudnych workach, i gryzł pięści z wściekłości, głodu, zimna, zdumienia i rozpaczy.

— Był to góral ze wschodniego łańcucha Karpat, statek zaś — który zatonął poprzedniej nocy w Eastbay — był hamburskim statkiem dla wychodźców i nazywał się Herzogin Sophie-Dorothea, przerażającej pamięci.

— W parę miesięcy później pojawiły się w gazetach sprawozdania złodziejskich „Agencyj dla Wychodźców“, rozwijających działalność wśród słowiańskiego włościaństwa z dalszych prowincyj Austrji. Zamiarem tych łotrów było owładnąć zagrodami biednej, ciemnej ludności i w tym celu sprzymierzali się z miejscowymi lichwiarzami. Wywozili swoje ofiary głównie przez Hamburg. Co się zaś tyczy statku Herzogin

Sophie-Dorothea, przypatrywałem mu się z tego oto okna, gdy wjeżdżał do zatoki pod skróconemi żaglami w pewne mroczne, groźne popołudnie. Stanął na kotwicy ściśle według wskazówek mapy, naprzeciw budynku straży nadbrzeżnej w Brenzett. Przypominam sobie że nim noc zapadła, wyjrzałem znów przez okno aby popatrzeć na zarysy masztów i takielunku, rysujące się ciemno i strzeliście na tle poszarpanych, mrocznych chmur, niby druga, drobniejsza wieżyczka na lewo od wieży kościelnej w Brenzett. Wieczorem podniósł się wiatr. O północy słyszałem, leżąc w łóżku, straszliwe porywy wichury i szum pędzącej ulewy.

— Mniej więcej w tym samym czasie wydało się strażnikom nadbrzeżnym, że widzą światła parowca nad kotwowiskiem. Znikły po chwili, ale okazało się potem, że jakiś inny statek szukał także schronienia w zatoce w tę okropną, ślepą noc i ugodził niemiecki okręt w sam środek kadłuba (dziura — jak mówił mi potem jeden z nurków, „że możnaby przez nią przepłynąć na barce z Tamizy"), a potem opuścił zatokę, nietknięty czy też uszkodzony, kto się kiedy tego dobada; ale uszedł niepostrzeżenie, nieznany i złowrogi, aby zginąć tajemniczo na morzu. Nigdy się o tym statku niczego nie dowiedziano, a przecież taki krzyk i gwałt podniósł się wówczas na całym świecie, że byliby go wyszperali, gdyby istniał gdziekolwiek na powierzchni mórz.

— Tajemnicza doskonałość i zatajone milczenie — jak po zręcznie popełnionej zbrodni — cechują tę morderczą katastrofę, która, jak pan może sobie przypomina, miała swego czasu okropną sławę. Najgłośniejsze krzyki na okręcie nie byłyby mogły dosięgnąć wybrzeża

z powodu wichru, a na sygnały wzywające o pomoc czasu widać nie starczyło. Była to śmierć bez hałasu. Hamburski statek napełnił się wodą odrazu i wywrócił, tonąc, tak że o świcie nawet końce masztów nie wystawały nad poziom zatoki. Zauważono naturalnie zniknięcie okrętu, i z początku strażnicy nadbrzeżni przypuszczali, że powlókł się na kotwicy albo zerwał z łańcucha nocą i został zagnany przez wiatr na morze. Potem, kiedy się prąd odwrócił, rozbity statek trochę się widać przesunął i uwolnił niektóre z ciał, bo dziecko — małe jasnowłose dzieciątko w czerwonej sukience — przypłynęło na brzeg nawprost wieży Martello. Popołudniu widać było na jakie trzy mile wzdłuż brzegu ciemne, bose postacie, które się ukazywały i ginęły w kotłującej się pianie; poniesiono długą procesją — na noszach, na rogożach, na drabinach — mężczyzn o nieokrzesanym wyglądzie, kobiety z surowemi twarzami, dzieci, przeważnie jasnowłose — wszystkich sztywnych i ociekających wodą — obok drzwi gospody „Pod Okrętem“, aby ich ułożyć pokotem pod północną ścianą kościoła w Brenzett.

— Według urzędowego sprawozdania ciało dziewczyneczki w czerwonej sukience jest pierwszym objektem, który dostał się na wybrzeże z tego okrętu. Ale pacjenci moi z pośród marynarskiej ludności West Colebrook poinformowali mnie nieoficjalnie, że bardzo wczesnym rankiem dwaj bracia — którzy zeszli byli nad morze aby zobaczyć co się dzieje z ich łódką wyciągniętą na brzeg — znaleźli dobry kawał za Brenzett zwykły kojec okrętowy, zupełnie suchy, leżący wysoko na brzegu z jedenastu utopionemi kaczkami. Rodziny tych ludzi zjadły kaczki, a kojec został porąbany toporem na paliwo. Nie jest wykluczone aby

człowiek mógł dopłynąć do brzegu na tym kojcu, jeśli się znalazł na pokładzie w chwili wypadku. To jest możliwe. Przyznaję że nie wygląda to prawdopodobnie; ale oto był wśród nas ten przybłęda i przez całe dni — ale gdzietam, tygodnie — nawet nie postało nam w głowie że mamy wśród siebie żyjącą duszę, która ocalała w tej katastrofie. A sam rozbitek, nawet kiedy nauczył sią mówić po angielsku, bardzo mało umiał nam opowiedzieć. Pamiętał że czuł się już lepiej w ostatnich chwilach przed katastrofą (prawdopodobnie gdy okręt zarzucił kotwicę), i że ciemność, wiatr i deszcz tamowały mu oddech. To wygląda jakby owej nocy był jakiś czas na pokładzie. Ale nie trzeba zapominać że znajdował się w otoczeniu zupełnie sobie obcem, że cierpiał na morską chorobę i był zamknięty przez cztery dni na dole w międzypokładzie, a przytem nie miał żadnego pojęcia o statku ani o morzu i dlatego nie mógł zdać sobie sprawy co się z nim właściwie dzieje. Znał się z deszczem, wiatrem, ciemnością; rozumiał beczenie owiec, i pamiętał swój ból, swoje nieszczęście i nędzę, swe żałosne zdumienie że nikt jego niedoli nie widzi i nie rozumie, swą trwogę, gdy się przekonał że wszyscy mężczyźni naokoło są źli, a wszystkie kobiety okrutne. To prawda, zbliżał się do nich jako żebrak; ale w jego kraju, nawet jeśli nic żebrakowi nie dadzą, odzywają się do niego łagodnie. W jego stronach nie uczy się dzieci, aby rzucały kamieniami na tych co błagają o litość. Strategja Smitha pokonała go doszczętnie. Drewutnia miała okropny wygląd więzienia. Co też z nim teraz zrobią?... Nic dziwnego że Amy Foster ukazała się jego oczom w aureoli świetlanego anioła. Myśli o nieboraku nie dawały spać dziewczynie, i rano, zanim Smithowie wstali z łóżka,

wymknęła się przez podwórze. Uchyliwszy drzwi drewutni, zajrzała do środka i podała przybłędzie pół bochenka białego chleba — „takiego jak to u nas jedzą bogaci“, zwykł był opowiadać.

— Wówczas dźwignął się zwolna z pomiędzy wszelakiego śmiecia, zdrętwiały, głodny, trzęsący się, nieszczęśliwy i nieufny. „Może to zjecie?“ zapytała swym łagodnym, nieśmiałym głosem. Wziął ją prawdopodobnie za jaką „dziedziczkę“. Pożerał żarłocznie, a łzy padały na kromkę. Nagle puścił chleb, chwycił jej rękę i wycisnął na niej pocałunek. Nie bała się włóczęgi. Mimo jego okropnego wyglądu zauważyła że jest przystojny. Zamknęła drzwi i wróciła zwolna do kuchni. Znacznie później opowiedziała to wszystko pani Smith, którą dreszcz przejmował na samą myśl że owo stworzenie mogłoby jej dotknąć.

— Przez ten akt miłosierdzia rozbitek dostał się z powrotem do ludzkiej społeczności i nawiązał stosunki ze swem nowem otoczeniem. Nigdy tego Amy nie zapomniał — nigdy.

— Tego samego rana stary Swaffer, najbliższy sąsiad Smitha, przyjechał aby udzielić mu rady, i skończyło się na tem że zabrał z sobą przybłędę. Biedak stał potulnie, chwiejąc się na nogach, pokryty warstwą nawpół zaschniętego błota a tamci dwaj rozmawiali przy nim niezrozumiałym dlań językiem. Pani Smith oświadczyła, że nie zejdzie na dół póki ten szaleniec się nie wyniesie; Amy Foster śledziła ich z głębi ciemnej kuchni przez otwarte tylne drzwi, a on usiłował wykonać w miarę możności wszystko, co mu nakazywano na migi. Lecz Smith był pełen podejrzeń. „Proszę pana, niech pan uważa! Może to tylko podstęp z jego strony“, krzyknął kilkakrotnie ostrzegawczym

tonem. Gdy Swaffer zaciął konia, opłakany stwór, siedzący pokornie obok niego, o mało co nie wyleciał przez tylne oparcie wysokiego, dwukołowego wózka — taki był osłabiony. Swaffer zabrał go wprost do domu. I wówczas właśnie ja się pojawiłem na scenie.

— Zostałem wezwany przez staruszka w bardzo prosty sposób: kiwnął na mnie palcem zza wrót swego domu, gdy zdarzyło mi się tamtędy przejeżdżać. Zeskoczyłem oczywiście z kabrjoletu.

— „Coś panu pokażę“ — mruknął, prowadząc mnie do szopy stojącej w pobliżu zabudowań fermy.

— Tam to zobaczyłem rozbitka po raz pierwszy w długiej, niskiej izbie, która stanowiła część budynku przypominającego wozownię. Gołe ściany były pobielone wapnem, a w jednej z nich, u końca izby, widniał mały czworokątny otwór o brudnej, pękniętej szybce. Włóczęga leżał nawznak na posłaniu ze słomy pod paru końskiemi derkami; miało się wrażenie że zużył resztę sił na oczyszczenie się z błota. Nie mógł prawie wcale mówić; derki miał podciągnięte pod brodę, a szybki jego oddech i połyskliwe, niespokojne czarne oczy przypominały mi dzikiego ptaka schwytanego w sidła. Podczas gdy go badałem, stary Swaffer stał u drzwi, milcząc, i przesuwał palce po wygolonej wierzchniej wardze. Wydawszy kilka poleceń, przyrzekłem że przyślę butelkę z lekarswem i naturalnie zadałem kilka pytań.

— „Smith złapał go między stogami w News Barns“ — rzekł stary po swojemu, rozważnie i obojętnie, jak gdyby tamten był naprawdę czemś w rodzaju dzikiego zwierzęcia. „I w taki sposób dostał się do mnie. Dziwny okaz, prawda? Niechno mi pan powie, doktorze — pan zwiedził przecież cały świat — czy pan nie myśli, że to coś w rodzaju Hindusa wpadło nam w ręce?“

— Bardzo byłem tem wszystkiem zdziwiony. Długie, czarne włosy przybłędy, rozrzucone po słomianem posłaniu, odbijały od oliwkowej bladości jego twarzy. Przyszło mi na myśl że mógłby być Baskiem. Nie wynikało stąd koniecznie aby umiał po hiszpańsku, ale mimo to wypróbowałem na nim kilka znanych mi słów hiszpańskich i usiłowałem także porozumieć się z nim po francusku. Dźwięki, które pochwyciłem, nachyliwszy ucho do jego ust, były dla mnie zupełną zagadką. Tegoż popołudnia młode panie z probostwa (jedna z nich czytała Goethego ze słownikiem, a druga latami zmagała się z Dantem) przyszedłszy w odwiedziny do panny Swaffer, usiłowały porozumieć się z włóczęgą po włosku i po niemiecku, stojąc u progu izby. Cofnęły się, nieco przestraszone potokiem namiętnych słów, któremi je powitał, odwróciwszy się na swej pryczy. Przyznawały że jego mowa była przyjemna dla ucha, miękka, dźwięczna ale — może w połączeniu z wyglądem chorego — brzmiała zastraszająco; takie te dźwięki były jakieś porywcze, takie niepodobne do wszystkiego co się kiedykolwiek słyszało. Chłopaki ze wsi właziły na ławkę aby zajrzeć przez mały, kwadratowy otwór do środka wozowni. Każdy był ciekaw co też Swaffer pocznie z przybłędą.

— A Swaffer trzymał go poprostu u siebie.

— Ludzie byliby uznali starego za dziwaka, gdyby go tak nie szanowano. Mówią o nim, że siaduje aż do dziesiątej godziny w nocy, czytając książki, i mówią także, iż bez wahania gotów jest napisać czek na dwieście funtów. A on sam mógłby panu powiedzieć, że ród Swafferów siedzi tu już od trzystu lat na własnej ziemi, między Colebrook a Darnford. Stary ma lat z osiemdziesiąt pięć, ale nie wygląda ani trochę

starzej niż wtedy, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy. To znakomity hodowca owiec, a pozatem prowadzi jeszcze rozległy handel bydłem. Jeździ na wszystkie jarmarki w promieniu kilku mil bez względu na pogodę; powozi schylony nisko nad cuglami, rzadkie jego, siwe włosy wiją się po kołnierzu ciepłego płaszcza, a zielony pled okrywa nogi. Spokój podeszłego wieku użycza powagi jego obejściu. Nie nosi zarostu; wargi jego są cienkie i wrażliwe; coś surowego i zakonnego w układzie rysów nadaje pewną podniosłość charakterowi jego twarzy. Wiadomo że jeździł nieraz w deszcz całe mile aby zobaczyć nowy gatunek róży w czyimś ogrodzie, lub olbrzymią głowę kapusty wyhodowaną przez wieśniaka. Lubi pasjami słuchać o rzeczach, które nazywa „cudzoziemskiemi“ i lubi je oglądać. Może właśnie ta „cudzoziemskość“ przybłędy wywarła wpływ na starego Swaffera. A może był to poprostu niewytłumaczony kaprys. Wiem tylko, że po upływie trzech tygodni spostrzegłem człowieka uznanego przez Smitha za warjata, jak kopał u Swaffera w ogrodzie warzywnym. Odkryto że umie posługiwać się szpadlem. Kopał boso.

— Czarne włosy spływały mu na ramiona. Przypuszczam że to Swaffer dał mu starą perkalową koszulę w pasy; ale przybłęda wciąż miał jeszcze na sobie rodzime spodnie z brunatnego sukna (w których burza wyrzuciła go na brzeg), obciskające nogi nakształt trykotów; przepasany był szerokim skórzanym pasem nabijanym małemi krążkami z mosiądzu; a we wsi nie odważył się jeszcze pokazać ani razu. Ziemia, na którą patrzał, wydawała mu się utrzymana starannie, niby grunta naokoło domu dziedzica; rozmiar koni pociągowych wprawiał go w zdumienie; trakty były

jak spacerowe drogi, a wygląd mieszkańców, szczególniej w niedzielę, świadczył o dostatku. Przybłęda zastanawiał się, czemu ci ludzie mają tak twarde serca i takie zuchwałe dzieci. Dostawał swoją strawę u drzwi od tyłu, niósł ją oburącz do szopy, i siedząc samotnie na pryczy, robił znak krzyża, poczem zabierał się do jedzenia. Przed pójściem na spoczynek klęczał obok tej samej pryczy wśród wczesnego mroku krótkich dni, odmawiając głośno Ojcze nasz. Za każdym razem gdy spotykał starego Swaffera, kłaniał mu się ze czcią w pas, poczem stawał wyprostowany, staruszek zaś trzymał palce na górnej wardze, patrząc na niego badawczo w milczeniu. Kłaniał się nisko także i pannie Swaffer, która oszczędnie prowadziła ojcu gospodarstwo; była to czterdziestopięcioletnia kobieta o szerokich plecach, grubych kościach i siwych, spokojnych oczach; kieszeń od sukni miała zawsze pełną kluczy. Należała do kościoła anglikańskiego — jak twierdzono — (ojciec jej był natomiast kuratorem kaplicy Baptystów); u pasa nosiła mały, stalowy krzyżyk. Nie zdejmowała nigdy surowej czarnej sukni przez pamięć na jednego z niezliczonych Bradleyów z sąsiedztwa, za którego miała wyjść zamąż przed jakiemiś dwudziestu pięciu laty; był to młody farmer, który skręcił sobie kark na polowaniu w wilję ślubu. Panna Swaffer miała obojętną twarz ludzi głuchych, mówiła bardzo rzadko, a wargi jej, cienkie jak u ojca, zdumiewały czasami tajemniczą ironją wyrazu.

— Takim to ludziom przybłęda winien był posłuszeństwo. Przytłaczająca samotność zdawała się nań padać z ołowianego nieba podczas tej zimy bez słońca. Wszystkie twarze były smutne. Nie mógł mówić do nikogo, i nie miał nadziei iż kiedykolwiek kogo zro-

zumie. Zdawało mu się że to są twarze ludzi z tamtego świata — ludzi umarłych — jak mi nieraz mówił całe lata później. Słowo daję, dziwię się że nie zwarjował. Nie wiedział gdzie jest. Gdzieś bardzo daleko od swoich gór — gdzieś nad wodą. Był bardzo ciekaw czy to nie Ameryka?

— Gdyby nie stalowy krzyżyk u pasa panny Swaffer — wyznał mi kiedyś — nie byłby wiedział czy wogóle znajduje się w kraju chrześcijańskim. Rzucał na ów krzyżyk ukradkowe spojrzenia i to go pocieszało. Wszystko tu było inne niż w jego ojczyźnie! Ziemia i woda były inne; nie spotykało się wizerunków Zbawiciela nad drogami. Nawet trawa była inna, a także i drzewa; wszystkie drzewa, prócz trzech starych norweskich sosen rosnących na kawałku łąki przed domem Swaffera, które przypominały mu ojczyznę. Wyśledzono go raz o zmierzchu, jak oparł czoło o pień jednej z nich, szlochając i mówiąc coś do siebie. Utrzymywał później, że te świerki były mu jak bracia. Wszystko pozatem wydawało mu się obce. Niechże pan sobie wyobrazi życie tego rodzaju — mroczne, dławione przez wydarzenia powszedniego dnia jak przez senne zmory. W nocy, gdy nie mógł spać, myślał wciąż o dziewczynie, która dała mu pierwszy kawałek chleba zjedzony przez niego w tym obcym kraju. Nie była dla niego ani zła, ani okrutna i nie bała 'go się. Pamiętał jej twarz, jedyną zrozumiałą wśród wszystkich tych twarzy, równie zamkniętych, równie tajemniczych i równie niemych jak twarze umarłych, którzy posiadają wiedzę dla żywych niedosięgłą. Ciekaw jestem, czy to pamięć o jej współczuciu wstrzymała go od poderżnięcia sobie gardła? Ale dość tego! Jestem prawdopodobnie starym romantykiem

i zapominam o wrodzonej miłości do życia, którą może zwyciężyć jedynie siła wyjątkowej rozpaczy.

— Powierzoną sobie robotę wykonywał z inteligencją, która zadziwiała starego Swaffera. Z czasem okazało się że umiał pomagać przy orce, doić krowy, karmić byki w cielętniku, że można się nim było wyręczać przy owcach. Zaczął też szybko chwytać pojedyncze słowa; i nagle, pewnego pięknego wiosennego poranku, uratował od przedwczesnej śmierci wnuczkę starego Swaffera.

— Młodsza córka Swaffera jest za Willcoxem, adwokatem i urzędnikiem magistratu w Colebrook. Regularnie dwa razy na rok Willcoxowie przyjeżdżają na kilka dni aby pobyć ze starym. Jedyne ich dziecko, dziewczyneczka nie mająca jeszcze wówczas trzech lat, wybiegła sama z domu w białym fartuszku, i przelazłszy przez trawę ogrodu schodzącego tarasami, zleciała z niskiego murku, głową naprzód, do stawu, w którym pławiono zwykle konie na podwórzu.

— Rozbitek był razem z woźnicą przy pługu i orał pole blisko domu. W chwili gdy zawracał aby zacząć świeżą bróżdę, zobaczył przez szparę w bramie coś, co dla każdego innego człowieka byłoby tylko mignięciem czegoś białego. Ale on miał otwarte, żywe, dalekosiężne oczy, które zdawały się cofać i tracić swą zdumiewającą siłę tylko wobec ogromu morza. Chodził boso i wyglądał tak egzotycznie, jak tego tylko serce Swaffera mogło pragnąć. Zostawiwszy konie na zakręcie, ku niezmiernemu niezadowoleniu woźnicy, puścił się długiemi susami przez zorane pole; ukazał się nagle przed matką, wetknął jej dziecko w ramiona i odszedł wielkim krokiem.

— Staw nie był bardzo głęboki, ale gdyby nasz

rozbitek nie miał tak dobrego wzroku, dziecko byłoby marnie zginęło — udławiwszy się lepkiem błotem, zaściełającem dno na grubość stopy mniej więcej. Stary Swaffer wyszedł powoli w pole, czekał aż pług z nim się zrówna, popatrzył długo na przybłędę, i nie mówiąc ani słowa, wrócił do domu. Ale od tego czasu strawę dla rozbitka stawiano w kuchni na stole; z początku panna Swaffer przychodziła, cała w czerni i stawała u progu z niezbadaną twarzą, patrząc jak przybłęda robi wielki znak krzyża, nim się weźmie do jedzenia. Zdaje mi się także, że od tego dnia Swaffer zaczął mu płacić stałą pensję.

— Nie mogę opowiadać krok za krokiem dziejów naszego bohatera. Obciął sobie włosy; widywano go we wsi i na drodze, krzątającego się przy robocie jak wszyscy ludzie. Dzieci przestały za nim wołać. Z czasem zdał sobie sprawę z różnic społecznych, ale przez długi czas dziwiło go nagie ubóstwo kościołów wśród takiego bogactwa. Nie mógł także zrozumieć, dlaczego kościoły w powszedni dzień są zamknięte. Niema tam przecież nic do ukradzenia. Czy chodzi o to żeby ludzie za często się nie modlili? Probostwo bardzo się interesowało rozbitkiem w tych czasach, i zdaje mi się że młode panie z plebanji starały się przygotować grunt dla jego nawrócenia. Nie mogły go jednak odzwyczaić od żegnania się znakiem krzyża, choć doprowadziły do tego że zdjął z szyi tasiemkę z paru miedzianemi medalikami wielkości sześciopensowej monety, malutkim metalowym krzyżykiem i czemś w rodzaju czworokątnego szkaplerza. Powiesił to wszystko na ścianie obok łóżka, i co wieczór słyszano jak odmawiał Ojcze nasz niezrozumiałemi słowami, powolnym, żarliwym tonem, jak czynił to jego ojciec

staruszek, klęcząc na czele wszystkich członków rodziny, i dorosłych, i dzieci, każdego wieczoru w życiu. Choć przybłęda nosił teraz przy robocie welwetowe spodnie, a w niedzielę ciemno popielate tandetne ubranie, nieznajomi spotykający go na drodze odwracali się i patrzyli wślad za nim. Jego cudzoziemskość miała szczególne i niezatarte piętno. W końcu ludzie oswoili się z jego widokiem. Z nim jednak nie oswoili się nigdy. Szybki jego, polotny krok, smagła cera, kapelusz zsunięty na lewe ucho, zwyczaj noszenia podczas ciepłych wieczorów kurtki zarzuconej na jedno ramię nakształt huzarskiego dolmanu; sposób w jaki skakał przez kładki, nie dla popisywania się zręcznością, ale poprostu aby posuwać się naprzód — wszystkie te dziwactwa ściągały nań pogardę i były kamieniem obrazy dla mieszkańców wsi. Oni nie leżeliby w trawie w obiadowej porze, wyciągnięci nawznak i zapatrzeni w niebo. Nie wałęsaliby się również po polach, wykrzykując ponure melodje. Ileż razy słyszałem wysoki jego głos z za grzbietu jakiegoś pochyłego pastwiska, lekki i bijący w górę jak u skowronka — głos o rzewnem, ludzkiem brzmieniu — nad naszemi polami, które słyszą tylko śpiew ptaków. I jabym się lękał go także na miejscu tamtych wieśniaków. Ach! Człowiek ten niepodobny był do nikogo; serce miał niewinne, pełne dobrej woli, której nie potrzebował nikt, i — jakby go przeniesiono na inną planetę — był oddzielony niezmierną przestrzenią od swej przeszłości, i zupełną niewiedzą od tego co go czekało. Jego szybki, żarliwy sposób mówienia poprostu każdego raził. „Takie porywcze licho“, mówiono o nim. Pewnego wieczoru w oberży „Pod czwórką koni“, przybłęda, napiwszy się trochę whisky, wyprowadził

wszystkich z równowagi, śpiewając którąś z pieśni miłosnych swego kraju. Wsiedli na niego, i to mu sprawiło przykrość; ale cóż kiedy Preble, kulawy kołodziej, i tłusty kowal Vincent, a także i inne znakomitości, wszyscy pragnęli popijać wieczorne piwo w spokoju. Innym znów razem usiłował pokazać im jak się tańczy. Kurz wznosił się kłębami z posypanej piaskiem podłogi, a on wyskakiwał prosto w górę wśród drewnianych stołów, uderzał piętą o piętę, kucał przed starym Preblem, wyrzucając nogę przed siebie, wydawał dzikie i radosne okrzyki, zrywał się znów i wirował na jednej nodze, strzelając z palców nad głową — tak że jakiś obcy woźnica, który popijał sobie coś w oberży, zaczął kląć i wyniósł się do baru, trzymając w ręku swój półkwaterek. Ale gdy przybłęda wskoczył nagle na stół i tańczył w dalszym ciągu wśród szklanek, oberżysta się temu sprzeciwił. Nie potrzebował żadnych „cyrkowych sztuk“ w swojej gospodzie. Przeszkodzono tańczyć przybłędzie. Cudzoziemiec pana Swaffera był już po paru kieliszkach i usiłował protestować; został wyrzucony przemocą; podbito mu oko.

— Zdaje mi się że odczuwał wrogość swego otoczenia. Ale był twardy zarówno na ciele jak i na duchu. Tylko wspomnienie morza przejmowało go strachem — tą nieokreśloną grozą, którą zostawia po sobie zły sen. Rodzinny jego dom był daleko, do Ameryki już mu się jechać nie chciało. Tłumaczyłem mu często, że niema takiego miejsca na świecie, gdzieby można znaleźć złoto leżące na ziemi i wziąć je sobie bez trudu, poprostu schyliwszy się po nie. Więc jakżeby mógł wracać do domu z pustemi rękoma, pytał, kiedy tam sprzedali krowę, dwa kuce i kawał ziemi żeby zapłacić za jego podróż? Oczy jego napełniały

się łzami; odwracał wzrok od olbrzymiego, iskrzącego się morza i rzucał się twarzą w trawę. Ale czasem przekrzywiał zawadjacko kapelusz na głowie ze zwycięską miną i lekceważył sobie moją mądrość. Znalazł swą grudkę szczerego złota. Było to serce Amy Foster, „serce złote i czułe na ludzką biedę“, mawiał tonem niewzruszonego przekonania.

— Nazywał się Janko. Wyjaśnił nam że to znaczy mały John; a ponieważ powtarzał bardzo często że jest mieszkańcem gór, używając przytem słowa, brzmiącego w jego języku: góral, więc też dostał to słowo za przydomek. Jedyny to po nim ślad, który następne wieki mogą odnaleść w spisie małżeństw parafji. Stoi tam — Janko Góral — wypisane ręką proboszcza. Koślawy krzyżyk zrobiony przez rozbitka, krzyżyk, którego nakreślenie wydało mu się z pewnością najbardziej uroczystą chwilą z całej ceremonji, oto wszystko co pozostało aby uwiecznić pamięć jego imienia.

— Konkury Janka trwały przez jakiś czas, począwszy od chwili, gdy zdobył niepewny punkt oparcia w naszem społeczeństwie. Zaczęło się od tego, że kupił w Darnford dla Amy Foster zieloną jedwabną wstążkę. Taki był zwyczaj w jego ojczyźnie. Kupowało się wstążkę w żydowskim kramie w dzień świąteczny. Nie sądzę aby dziewczyna wiedziała co ma z tem począć, ale Janko zdawał się myśleć, że uczciwe jego intencje nie mogą być źle zrozumiane.

— Dopiero gdy ujawnił swój zamiar ożenienia się, zrozumiałem w całej pełni jak dalece był — czy mam użyć wyrazu wstrętny? — dla całej okolicy, z powodu tysiąca rzeczy błahych i nieuchwytnych. Pogłoska o jego małżeństwie wywołała poruszenie wśród

wszystkich starych bab we wsi. Smith, natknąwszy się na niego w pobliżu farmy, obiecał że łeb mu rozwali, jeśli go znowu tam spotka. Ale Janko podkręcił czarnego wąsika tak wojowniczo, a jego wielkie, czarne oczy zmierzyły Smitha tak groźnem spojrzeniem, że się skończyło na niczem. Smith powiedział jednak dziewczynie, że chyba straciła rozum, żeby się wiązać z człowiekiem, który ma z pewnością źle w głowie. Mimo to, gdy rozległ się o zmierzchu głos Janka, gwiżdżący za sadem strofki dziwacznej i ponurej melodji, Amy rzucała cokolwiek jej się zdarzyło mieć w ręku, odchodziła od pani Smith, nie wysłuchawszy jej do końca, i biegła na jego wezwanie. Smithowa wymyślała jej od bezwstydnych dziewek. Amy nic nie odpowiadała. Wogóle nie mówiła nic do nikogo i szła dalej po swojej drodze jak gdyby była głucha. Zdaje mi się że tylko ona i ja na całą okolicę umieliśmy ocenić istotną piękność Janka. Był bardzo ładny, miał obejście pełne niezmiernego wdzięku i coś dzikiego w wyglądzie, jakby był leśnem stworzeniem. Matka Amy zawodziła nad nią złowieszczo, gdy dziewczyna miała wychodne i przyszła do rodziców. Ojciec był opryskliwy, ale udawał że nie wie o niczem; i tylko Finnowa powiedziała jej raz wyraźnie: „ten człowiek, moja droga, zrobi ci jeszcze kiedy co złego“. Tak to szło coraz dalej. Widywano ich na drogach; Amy kroczyła ciężko w swym najpiękniejszym stroju — popielata suknia, czarne pióro, grube trzewiki, białe bawełniane rękawiczki, rzucające się w oczy już o sto jardów, — a on z kurtką zarzuconą malowniczo na ramię, stąpał u jej boku pełen galanterji i rzucał czułe spojrzenia na dziewczynę o złotem sercu. Ciekaw jestem, czy zdawał sobie sprawę jaka była pospolita. Może nie umiał się połapać w typie tak

różnym od tych, które zwykł był widywać, a może pociągnęła go boską cechą swego miłosierdzia.

— Tymczasem Janko był w wielkim kłopocie. W jego kraju prosi się jakiegoś starszego mężczyznę na dziewosłęba. Nie wiedział jak się do tego zabrać. Aliści pewnego dnia, wśród stada owiec na polu (Janko był teraz u Swaffera młodszym owczarzem przy Fosterze), zdjął kapelusz przed ojcem Amy i poprosił pokornie o jej rękę. „Widzi mi się że dość jest na to głupia, żeby wyjść zamąż za ciebie“, było całą odpowiedzią Fostera. „A potem“ — opowiadał Janko — „wsadził kapelusz na głowę, spojrzał na mnie ponuro, jakby mnie chciał zarżnąć, gwizdnął na psa i poszedł sobie, zostawiając mi wszystko na karku“. Naturalnie że Fosterom nie poszła w smak utrata pensji zarabianej przez dziewczynę; Amy oddawała matce wszystkie swoje pieniądze. Ale pozatem tkwił w Fosterze bardzo istotny wstręt do tego małżeństwa. Przyznawał że przybłęda doskonale umie sobie radzić z owcami, ale mimo to uważał iż nie jest odpowiedni na męża dla żadnej dziewczyny. Po pierwsze, chadza wzdłuż żywopłotów, mrucząc coś pod nosem jak skończony warjat, a po drugie, ci cudzoziemcy obchodzą się nieraz bardzo dziwnie z kobietami. A nuż będzie chciał ją gdzieś wywieźć — albo też sam ucieknie. To nie jest wcale bezpieczne. I Foster kładł swojej córce w głowę, że ten człowiek mógłby ją w jakiś sposób skrzywdzić. Nic się na to nie odzywała. Opowiadano sobie po wsi, że to tak wygląda, jakby ten człowiek zadał czego dziewczynie. Wszyscy rozprawiali na ten temat z wielkiem przejęciem, a tych dwoje w dalszym ciągu „chodziło razem“ w oczach opozycji. Nagle wydarzyło się coś niespodzianego.

— Nie wiem czy stary Swaffer zdawał sobie sprawę, jak dalece jego cudzoziemski sługa odnosił się doń jak do ojca. W każdym razie stosunek ich był w ciekawy sposób feudalny. To też gdy Janko poprosił formalnie o rozmowę — „i żeby panienka także przy tem była“ — (nazywał surową, głuchą pannę Swaffer poprostu panienką) — okazało się że chce uzyskać pozwolenie na ożenek. Swaffer wysłuchał go z niewzruszoną miną, odprawił skinieniem głowy, poczem krzyknął to, co usłyszał, w lepsze ucho panny Swaffer. Nie była tem zaskoczona i rzekła tylko ponuro głuchym, bezbarwnym głosem: „Żadna inna dziewczyna z pewnością by go nie chciała“.

— W kilka dni potem okazało się że Swaffer darował Jankowi chatę (tę samą którą pan widział dziś rano) i coś około morgi gruntu — przekazał mu to na bezwzględną własność. Cała zasługa tej hojności spada na pannę Swaffer. Willcox sporządził odpowiedni akt i pamiętam jak mi mówił, że przygotowywał go z wielką przyjemnością. Dokument tak się zaczynał: „Ze względu na ocalenie życia mojej ukochanej wnuczce, Bercie Willcox“.

— Naturalnie że po tym fakcie żadna siła ludzka nie mogła zapobiec ich małżeństwu.

— Amy była wciąż ślepo zakochana. Widywali ją ludzie, jak wychodziła wieczorami aby się spotkać z przybłędą. Wpatrywała się bez mrugnięcia urzeczonemi oczyma w stronę, skąd miał nadejść swobodnym krokiem, kołysząc się w biodrach i nucąc którąś z pieśni miłosnych swojego kraju.

Kiedy im się urodził chłopiec, Janko podchmielił sobie w gospodzie „Pod czwórką koni“, spróbował znowu śpiewać i tańczyć, i został znów wyrzucony.

Ludzie użalali się nad losem kobiety zaślubionej temu djablikowi z pudełka. A jemu było wszystko jedno. Istniał już teraz na świecie człowiek (powiedział mi to z przechwałką), któremu mógł śpiewać i do którego mógł mówić w swoim ojczystym języku — a z czasem i uczyć go tańca.

— Ale doprawdy nie rozumiem. Zaczęło mi się wydawać iż chód Janka staje się mniej sprężysty, ciało ociężalsze, oczy mniej przenikliwe. Było to zapewne przywidzenie, lecz teraz myślę, że sieć losu zacieśniała się już wówczas wkoło niego.

— Pewnego dnia spotkałem go na ścieżce wijącej się po wzgórzu Talford. Powiedział mi że „kobiety są dziwne“. Słyszałem już przedtem o nieporozumieniach między nimi dwojgiem. Ludzie opowiadali, że Amy Foster zaczyna rozumieć za jakiego człowieka poszła. Patrzył na morze obojętnemi, niewidzącemi oczami. Żona wyrwała mu raz dziecko z rąk, gdy siedział na progu, nucąc pieśń, którą matki śpiewają dzieciom w jego górach. Zdawała się myśleć, że on wyrządza dziecku jakąś krzywdę. Kobiety są dziwne. I nie chciała żeby się Janko modlił głośno wieczorem. Dlaczego? Spodziewał się że z czasem chłopiec będzie powtarzał za nim głośno pacierze, tak jak i on je odmawiał za starym ojcem — jako dziecko — w swym kraju. I odkryłem że Janko czekał z tęsknotą na podrośnięcie swego syna aby mieć z kim rozmawiać w tym języku, który dla naszych uszu brzmiał tak niepokojąco, tak namiętnie i tak dziwacznie. Czemu żonie ta myśl się nie podobała, nie umiał powiedzieć. Ale utrzymywał że to minie. I przechyliwszy znacząco głowę, uderzył się zlekka w piersi, dając do zrozumienia że Amy ma dobre serce: ani twarde, ani okrutne, zdolne do współczucia, miło-

sierne dla biednych!

— Odszedłem w zamyśleniu; zastanawiałem się nad tem, czy jego odrębność, jego obcość nie przejmują odrazą tej tępej natury, którą z początku przyciągały nieodparcie. To mię zaciekawiało...

Kennedy podszedł do okna i patrzył na chłodną wspaniałość morza — olbrzymiego we mgle — które jak gdyby ogarniało całą ziemię ze wszystkiemi sercami zatraconemi wśród uniesień miłości i trwogi.

— Otóż fizjologicznie — rzekł, odwracając się nagle — było to możliwe. To było możliwe.

Jakiś czas milczał. Potem ciągnął znów dalej:

— Tak czy owak, gdy zobaczyłem go następnym razem, był chory — jakaś płucna historja. Organizm miał silny, ale myślę że nie zaaklimatyzował się tak dobrze, jak przypuszczałem. Zima była ciężka, pozatem ci górale miewają od czasu do czasu ataki nostalgji; a takie stany depresji czynią człowieka podatnym na choroby. Leżał wpół ubrany na dole na tapczanie.

— Stół nakryty ciemną ceratą zajmował cały środek małego pokoju. Stała tam kołyska pleciona z wikliny, kocioł buchający parą na blasze, a na kracie przed kominkiem suszyło się trochę dziecinnej bielizny. W pokoju było ciepło, ale, jak pan pewnie zauważył, drzwi wychodzą prosto na ogród.

— Miał silną gorączkę i wciąż coś mruczał pod nosem. Amy siedziała na krześle i poprzez stół wpatrywała się w niego brunatnemi, mętnemi oczami.

— „Dlaczego on nie leży na górze?“ zapytałem.

— Drgnęła i odrzekła, jąkając się nieśmiało:

— „Ach, proszę pana doktora, jabym nie mogła wysiedzieć z nim tam na piętrze“.

— Dałem jej parę wskazówek i powtórzyłem, wy-

chodząc, że powinien leżeć w łóżku na górze. Załamała ręce.

— „Nie mogę. Nie mogę. On ciągle coś mówi — a ja nie wiem co".

— Mając w pamięci wszystko co kładziono jej w głowę o tym człowieku, przyjrzałem jej się uważnie. Patrzyłem w jej krótkowzroczne oczy, w te nieme oczy, które raz w życiu dostrzegły kształt powabny, lecz teraz, wytrzeszczone na mnie, zdawały się nic już nie widzieć. Dostrzegłem że Amy się niepokoi.

— „Co mu jest?" — spytała z pewnego rodzaju bezmyślnym przestrachem. — „Nie wygląda na bardzo chorego. Nigdy jeszcze nie widziałam żeby ktoś tak wyglądał..."

— „Czy myślisz" — zapytałem z oburzeniem — „że on udaje?"

— „Nie mogę się od tego powstrzymać, proszę pana doktora" — odpowiedziała tępo. Nagle splotła dłonie i spojrzała w prawo i w lewo. — „A tu jeszcze i dziecko. Tak się boję. Chciał właśnie przed chwilą żebym mu dała dziecko. Nie mogę zrozumieć co on do dziecka mówi."

— „Czy nie możnaby poprosić kogo z sąsiadów, żeby przyszedł na noc?" — zapytałem.

— „Proszę pana doktora, zdaje mi się że niktby przyjść nie chciał" — wymruczała, poddając się nagle tępej rezygnacji.

— Powtórzyłem z naciskiem, że chory potrzebuje najtroskliwszej opieki, poczem musiałem odejść. Tej zimy ludzie często gęsto chorowali.

— „Ach, żeby on tylko nie mówił!" wykrzyknęła pocichu w chwili gdy odchodziłem.

— Nie wiem jak się to stało, że tego nie prze-

widziałem — ale nie przewidziałem. A jednak, odwróciwszy się na dwukółce, zobaczyłem że Amy wciąż jeszcze stoi nieruchomo przy drzwiach, jak gdyby się zastanawiała czy nie uciec po błotnistej drodze.

— Pod wieczór gorączka Janka się podniosła.

— Przewracał się na posłaniu, jęczał, i od czasu do czasu mruczał jakieś skargi. A ona siedziała, oddzielona stołem od łóżka, śledząc każdy jego ruch i każde słowo; przerażenie, bezsensowne przerażenie przed tym człowiekiem, którego nie mogła zrozumieć, zaczynało ją ogarniać. Nic już w niej teraz nie było oprócz macierzyńskiego instynktu i tej niepoczytalnej trwogi.

— Odzyskując nagle przytomność, Janko poprosił spieczonemi ustami o wodę do picia. Amy nie poruszyła się wcale. Nie zrozumiała go, a on prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy że mówi w swoim języku. Czekał i patrzył na nią, rozpalony gorączką, dziwiąc się milczeniu Amy i jej nieruchomości, aż wreszcie krzyknął niecierpliwie:

— „Wody! daj mi wody!“

— Zerwała się z krzesła, chwyciła dziecko i stanęła bez ruchu. Mówił do niej, a jego namiętne wyrzuty powiększały tylko jej strach przed tym dziwnym człowiekiem. Zdaje się że długi czas do niej mówił, błagając, dziwiąc się, zaklinając, rozkazując — tak sobie to wyobrażam. Opowiadała mi, że znosiła to tak długo jak tylko mogła. Wreszcie ogarnęła go wściekłość.

— Usiadł na łóżku i krzyknął groźnie jakieś słowo — jedne jedyne. Potem — opowiadała — podniósł się jakby wcale nie był chory. I gdy w gorączce, w przestrachu, zdumiony i pełen oburzenia usiłował zbliżyć się do niej, obchodząc stół dokoła, otworzyła poprostu drzwi i wybiegła na dwór z dzieckiem na ręku. Słyszała

jak krzyknął za nią dwa razy straszliwym głosem — i uciekła... Ach! gdyby pan był widział z za tępego, zmąconego spojrzenia tych oczu widmo trwogi, które owej nocy ścigało Amy przez trzy i pół kilometra, aż do drzwi chaty Fostera! Ja nazajutrz to widmo widziałem.

— I właśnie ja znalazłem Janka leżącego twarzą do ziemi — w kałuży — tuż za furtką z wikliny.

— Wezwano mnie tej nocy do wsi w jakimś nagłym wypadku; wracając do domu o świcie, przejeżdżałem koło ich chaty. Drzwi stały otworem. Mój furman pomógł mi wnieść Janka do izby. Położyliśmy go na posłaniu. Lampka kopciła, ogień pod blachą wygasł. Smutny żółty papier na ścianach zionął chłodem burzliwej nocy.

— „Amy!“ krzyknąłem głośno, a głos mój zdawał się gubić w pustce tego małego domku, jak gdybym wołał na puszczy.

— Janko otworzył oczy.

— „Uciekła!“ — rzekł wyraźnie. — „Prosiłem ją tylko o wodę — o trochę wody...“

— Był powalany błotem. Nakryłem go i stałem przy nim, czekając w milczeniu; od czasu do czasu dochodziło mnie jakieś słowo wyszeptane przez niego z trudnością. Nie mówił już swoim językiem. Gorączka go opuściła, zabierając z sobą żar życia. Dyszącą piersią i połyskliwemi oczyma przypominał mi znowu dzikie stworzenie w sieci, ptaka schwytanego w sidła. Amy opuściła go. Opuściła go — chorego — bezsilnego — spragnionego. Włócznia łowcy zagłębiła się w duszy Janka.

— „Dlaczego?“ — krzyknął przejmującym i oburzonym głosem człowieka, który woła do swego Stwórcy. Odpowiedział mu plusk deszczu i poryw wichury.

— Kiedy się odwróciłem aby zamknąć drzwi, wymówił słowo: „Miłosierny!“ i skonał.

— Stwierdziłem ostatecznie, że bezpośrednią przyczyną jego śmierci był atak sercowy. Serce musiało rzeczywiście mu nie dopisać, bo inaczej byłby mógł przetrzymać także i doświadczenia owej burzliwej nocy. Zamknąłem mu oczy i odjechałem. Niedaleko od chaty spostrzegłem Fostera idącego żwawo wśród żywopłotów ociekających kroplami deszczu; owczarski jego pies biegł za nim.

— „Czy wiecie gdzie jest wasza córka?“ spytałem.

— „Jakżebym nie wiedział!“ — wykrzyknął. — „Idę właśnie powiedzieć mu parę słów do słuchu. Żeby też biedną kobietę tak nastraszyć!“

— „Już jej więcej straszyć nie będzie“ — rzekłem. — „Nie żyje.“

— Foster stuknął kijem w błoto.

— „A tu jest jeszcze i dziecko.“

— Po chwili głębokiego zastanowienia dodał:

— „Może to i lepiej.“

— Oto dosłownie co powiedział. A ona wcale już teraz o Janku nie mówi. Ani słowa. Nigdy. Czyżby jego wizerunek tak zupełnie opuścił jej duszę, jak giętka, posuwista jego postać i rozśpiewany głos opuściły nasze pola? Niema go już przed jej oczami; niema kto pobudzać jej wyobraźni do namiętnej miłości lub strachu; a wspomnienie o nim znikło, rzekłbyś, z jej tępego mózgu jak cień, który przesunął się po białym ekranie. Amy mieszka w tej samej chacie; panna Swaffer dostarcza jej pracy. Wszyscy nazywają wdową po Janku „Amy Foster“, a dziecko „chłopcem Amy Foster“. Matka nazywa go Johnny — co znaczy mały Janko.

— Niepodobna powiedzieć czy jej to imię coś przy-

pomina. Czy Amy myśli kiedy o przeszłości? Widziałem ją schyloną nad kołyską małego z namiętną czułością macierzyńską. Malec leżał nawznak; bardzo był cichy i bał się mnie trochę; jego wielkie, czarne oczy i spłoszony wygląd przypominały ptaka schwytanego w sidła. A gdy tak na niego patrzyłem, wydało mi się że widzę znowu tamtego — ojca — którego morze wyrzuciło tajemniczo, aby zginął wśród najstraszniejszej niedoli — wśród samotności i rozpaczy.

JUTRO

To co wiedziano o kapitanie Hagberdzie w małym porcie morskim Colebrook niekoniecznie przemawiało na jego korzyść. Nie pochodził z Colebrook. Osiedlił się tam wśród okoliczności bynajmniej nie tajemniczych — swego czasu opowiadał o nich bardzo często — lecz niezmiernie dziwacznych i bezsensownych. Miał widać trochę pieniędzy, gdyż kupił kawał gruntu i kazał sklecić bardzo tanim kosztem parę brzydkich, żółtych domków z cegły. Jeden z nich zajmował sam a drugi wynajął Jozuemu Carvilowi — ślepemu Carvilowi, który był dawniej przedsiębiorcą okrętowym i zażywał złej reputacji domowego tyrana.

Owe domki miały wspólną ścianę i wspólną żelazną barjerę, dzielącą frontowe ogródki; drewniany płot przegradzał ogród od tyłu. Pannie Bessie Carvil wolno było, jak gdyby według przysługującego jej prawa, wieszać na płocie serwety — niebieskie gałgany — lub jakiś fartuch, który chciała wysuszyć.

— Drzewo gnije od tego, moja duszko — rzucał kapitan łagodną uwagę, stojąc po drugiej stronie płotu, za każdym razem gdy widział że Bessie korzysta ze swego przywileju.

Była wysokiego wzrostu; płot natomiast był niski i mogła oprzeć się na nim łokciami. Ręce miewała czerwone od dopiero co skończonej przepierki, ale ramiona jej były białe i kształtne. Patrzyła na gospodarza w porozumiewawczem milczeniu, pełnem jak gdyby przenikliwości, wyczekiwania i pragnienia.

— Drzewo od tego gnije — powtarzał kapitan Hagberd. — To jedyne z twoich przyzwyczajeń, które nie godzi się z porządkiem i oszczędnością. Dlaczego nie przeciągniesz sobie liny w ogródku za domem?

Panna Carvil nic na to nie mówiła, potrząsała tylko przecząco głową. W malutkim ogródku od tyłu znajdowało się po stronie Carvilów kilka małych grządek z czarnoziemu, obłożonych kamieniami; pospolite kwiaty, które Bessie hodowała tam w wolnych chwilach, robiły wrażenie dziwacznie wybujałych, jakby wyrosłych w jakimś egzotycznym klimacie. Z drugiej strony płotu wyprostowana, czerstwa postać kapitana Hagberda, odziana od stóp do głów w żaglowe płótno nr. 1, nurzała się po kolana w bujnej trawie i wysokich chwastach. Ze względu na kolor i sztywność niezwykłego, szorstkiego materjału, który sobie wybrał na ubranie, — „tylko na tymczasem“, pomrukiwał, gdy mu ktoś na ten temat zrobił jakąś uwagę — kapitan Hagberd wyglądał jak człowiek wyciosany z granitu i tkwiący w pustkowiu, nie nadającem się z powodu małych rozmiarów nawet na przyzwoitą salę bilardową. Przypominał kamienny, niezdarny posąg człowieka o ogorzałej twarzy, niebieskich, błędnych oczach i wielkiej, białej brodzie, spływającej po pas a zawsze zaniedbanej, odkąd tylko pamiętano go w Colebrook.

— Przyjdę do pana już pewnie na przyszły miesiąc — odpowiedział raz poważnie przed siedmiu laty na żartobliwą przymówkę wybitnego miejscowego dowcipnisia, golarza, który usiłował zjednać sobie w nim klijenta. Ów golarz siedział rozparty arogancko w barze Nowej Gospody koło portu; kapitan wszedł był tam właśnie aby kupić sobie uncję tytoniu. Zapłaciwszy za sprawunek trzema monetami po pół pensa, wysupłanemi z rogu

chustki do nosa, którą nosił w rękawie, kapitan Hagberd wyszedł. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, golibroda wybuchnął śmiechem:

— I stary, i młody przyprowadzą się tu wkrótce pod rękę, żeby się u mnie ogolić. Trzeba będzie zaprząc do roboty i krawca, i golarza, i fabrykanta świec; dobre czasy nadejdą dla miasta Colebrook, oj nadejdą, żebym tak zdrów był. Z początku nazywało się to „na przyszły tydzień“, teraz zjechało na „w przyszłym miesiącu“, niedługo będzie już mówił „na przyszłą wiosnę“, tak mi się coś zdaje.

Zauważywszy jakiegoś nieznajomego, który przysłuchiwał się z roztargnionym uśmiechem, golarz objaśnił, wyciągając cynicznie nogi, że mówi o tym dziwaku, starym Hagberdzie, emerytowanym szyprze nadbrzeżnym, który czeka na powrót syna. Chłopak został wypędzony z domu, co golarza wcale nie dziwiło; podobno uciekł na jakiś statek, i tyle go widzieli. Z pewnością oddawna już leży na dnie morza. Przed trzema laty stary przyjechał na gwałt do Colebrook, w czarnem ubraniu — (niedawno przedtem stracił żonę); wypadł z wagonu trzeciej klasy dla palących, jakby mu djabeł następował na pięty; a jedynym powodem, jaki go sprowadził, był list — prawdopodobnie zmyślony. Jakiś kawalarz donosił kapitanowi o marynarzu noszącym jego nazwisko, który jakoby włóczył się za dziewczynami czy to w Colebrook czy w okolicy. „Dobry kawał, co?“ — dodał golarz. — Staruszek ogłosił był w londyńskich gazetach, że szuka Harry'ego Hagberda, ofiarowując nagrodę za wszelkiego rodzaju informacje. I golarz rozpowiadał dalej z szyderczą werwą, jak to ów nieznajomy w żałobie zwiedzał okolicę, na wózku lub piechotą, wywnętrzając się każdemu, zachodząc do wszystkich

gospód i szynków na całe mile wokoło, zatrzymując ludzi po drogach aby ich rozpytywać, omal nie zaglądając do rowów; z początku w wielkiem podnieceniu, potem z pewnego rodzaju cierpliwą wytrwałością, tracąc coraz bardziej animusz; a nie umiał nawet dokładnie opisać jak jego syn wygląda. Przypuszczano że marynarz poszukiwany przez Hagberda był jednym z dwóch majtków, którzy porzucili statek naładowany drzewem i których widziano jak się przystawiali do jakiejś dziewczyny; lecz stary rozpytywał o chłopca lat około czternastu — „sprytnego, dziarskiego wyrostka". A kiedy ludzie tylko uśmiechali się w odpowiedzi, pocierał czoło ze zmieszaniem, poczem odchodził chyłkiem z obrażoną miną. Naturalnie że nie znalazł nikogo — nie trafił nawet na najmniejszy ślad — nie dosięgła go żadna wiarogodna pogłoska; ale jakoś nie umiał się już oderwać od Colebrook.

— Pewnie go ten zawód tak złamał; było to wkrótce po stracie żony, i stary dostał bzika na punkcie powrotu syna — wywodził golibroda z miną świadczącą o wielkiej wnikliwości psychologicznej. Po jakimś czasie staruszek zaprzestał poszukiwań. Syn jego najwidoczniej odjechał; postanowił więc na niego czekać. Wierzył że syn był conajmniej raz w Colebrook, które przekładał widać nad swe rodzinne miejsce. Musiał mieć potemu jakąś przyczynę — zdawał się kapitan rozumować — jakąś bardzo ważną przyczynę, która sprowadzi go z powrotem do Colebrook.

— Ha, ha, ha! Naturalnie że do Colebrook. A gdzieżby? To jedyne miejsce w Zjednoczonem Królestwie, odpowiednie dla dawno przepadłych synów. Więc też stary sprzedał swój dom w Colchester i raz, dwa osiedlił

się tutaj. Cóż, bzik jak każdy inny. Nie dostałbym bzika, oj nie, gdyby tak który z moich chłopców dał drapaka. Mam tego osiem sztuk w domu. — I golibroda popisywał się niezłomnością swego ducha wśród śmiechu, który wstrząsał barem.

To jednak dziwne, zwierzał się dalej ze szczerością właściwą wyższym umysłom, ale tego rodzaju rzeczy są jak gdyby zaraźliwe. Naprzykład — jego zakład znajduje się blisko portu; i niech tylko jaki majtek wejdzie, żeby się ostrzyc albo ogolić — golarz, zobaczywszy nieznajomą twarz, nie może się nigdy powstrzymać od myśli: „A nuż to syn starego Hagberda?“ Sam się z tego wyśmiewa. To bzik potężny. Golarz pamięta czasy, kiedy ulegało mu całe miasto. Ale nie stracił jeszcze nadziei co do starego. Leczy go mądrze obmyślanemi żartami. Śledzi stale postępy swojej kuracji. Za tydzień — za miesiąc — za rok. Gdy stary kapitan odłoży do następnego roku datę powrotu syna, będzie już na drodze do tego, aby przestać o nim mówić zupełnie. Pod innemi względami stary jest zupełnie rozsądny, więc i to też musi nastąpić. Takie było niewzruszone zdanie golarza.

Nikt mu nigdy nie przeczył; jego włosy posiwiały od owego czasu, a broda kapitana Hagberda zrobiła się bielusieńka i spływała majestatycznie na ubranie z żaglowego płótna nr. 1, które to ubranie uszył był sobie pokryjomu, używając zamiast nici szpagatu nasyconego smołą. Pewnego pięknego poranku przywdział je nagle i wyszedł, w przeddzień zaś widziano go wracającego do domu, jak zwykle, w żałobnem ubraniu. Wywołało to sensację na High Street — sklepikarze ukazywali się we drzwiach, ludzie po domach chwytali kapelusze i wypadali na ulicę; ogólne poruszenie z po-

cządku bardzo dziwiło kapitana a potem go przestraszyło; ale na wszystkie pytania zdumionych sąsiadów odpowiadał lękliwie i wymijająco: „To tylko na tymczasem“.

O tem zdarzeniu oddawna już zapomniano; co się zaś tyczy kapitana Hagberda, z czasem nietyle zapomniano o nim, co zaczęto go lekceważyć — przykry skutek spowszednienia — tak jak niekiedy lekceważy się nawet słońce, jeśli nie da nam odczuć dotkliwie swojej potęgi. Z ruchów kapitana nie przebijało wcale niedołęstwo; chodził sztywno w swojem żaglowem ubraniu, figura dziwaczna i zwracająca uwagę; tylko jego oczy błądziły może bardziej nieuchwytnie niż ongi. W jego zachowaniu poza domem nie było już tej pobudliwej czujności; stał się zakłopotany i niepewny, jak gdyby podejrzewał że jest w nim coś zlekka kompromitującego, jakaś kłopotliwa dziwaczność; a jednak nie był w stanie zdać sobie sprawy, na czem właściwie polega ten jego feler.

Rozmawiał już teraz niechętnie z mieszkańcami miasteczka. Zażywał opinji okropnego sknery skąpiącego sobie na pożywienie. W sklepach pomrukiwał coś żałośnie pod nosem, kupując skrawki mięsa po długich namysłach, i odpierał wszelkie aluzje do swego kostjumu. Stało się tak jak przepowiedział golibroda. O ile można było wymiarkować, kapitan wyleczył się już z choroby nadziei, i tylko panna Bessie Carvil wiedziała, że nie mówił nic o powrocie syna, ponieważ już go nie oczekiwał „w przyszłym tygodniu“, „w przyszłym miesiącu“ lub „na przyszły rok“. Oczekiwał go „jutro“.

Ze spotkań tych dwojga na dziedzińcu za domem i we frontowym ogródku wywiązała się zażyłość; kapitan rozmawiał z Bessie po ojcowsku, rozsądnie i apodyk-

tycznie, z odcieniem despotyzmu. Łączyło ich nieograniczone zaufanie, które kapitan stwierdzał od czasu do czasu serdecznem mrugnięciem. Doszło do tego, że panna Carvil poniekąd tych mrugnięć wyczekiwała. Z początku niepokoiły ją: biedak miał źle w głowie. Potem nauczyła się z nich śmiać; nie było w tem przecież nic złego. A teraz Bessie zdawała sobie sprawę z podświadomego, przyjemnego, niewiarogodnego wzruszenia, które się ujawniało przez słaby rumieniec. Kapitan mrugał na nią bynajmniej nie ordynarnie; jego szczupła, ogorzała twarz o kształtnym, orlim nosie miała pewien rodzaj dystynkcji — i to tem bardziej że, rozmawiając, spoglądał na nią wzrokiem spokojniejszym i bardziej inteligentnym. Taki piękny mężczyzna o białej brodzie, czerstwy, prosto się trzymający, zaradny. Zapominało się o jego wieku. Twierdził iż jego syn zdumiewająco był do niego podobny już od najwcześniejszego dzieciństwa.

Kapitan oświadczył Bessie, że Harry skończy trzydzieści jeden lat w lipcu. W sam raz wiek do ożenku z zacną, rozsądną dziewczyną, która potrafi ocenić miłe domowe ognisko. Harry był dzielnym chłopcem. Dzielnym mężem zawsze najłatwiej żonie kierować. Taki małoduszny niedołęga, co to wszystko mu się w rękach rozłazi, ten dopiero potrafi kobietę unieszczęśliwić. A przytem niema nic ponad dom — domowe ognisko — spokojny dach nad głową: człowiek nie potrzebuje wyłazić z ciepłego łóżka bez względu na pogodę. „I co ty na to, kochanie?“

Kapitan Hagberd należał ongi do marynarzy uprawiających swój zawód w pobliżu lądu. Był jednem z licznych dzieci zbankrutowanego farmera, który natychmiast po utracie majątku oddał syna do terminu

u nadbrzeżnego szypra; kapitan pozostał też u wybrzeży w ciągu całego swego marynarskiego żywota. Z początku żywot ten musiał być ciężki; Hagberd nigdy go nie polubił; przywiązanie swoje oddał lądowi z niezliczonemi jego domami i spokojnem życiem, skupiającem się dokoła domowego ogniska. Wielu marynarzy odczuwa i głosi uzasadnioną niechęć do morza, ale w tym wypadku była to głęboka, silnie odczuta wrogość, jak gdyby ukochanie stalszego żywiołu zostało wpojone Hagberdowi przez wiele pokoleń.

— Ludzie nie wiedzą na co narażają swych chłopców, kiedy pozwalają im puścić się na morze — wykładał kapitan Bessie. — Lepiejby ich odrazu oddali do więzienia.

Nie wierzył aby wogóle można było się przyzwyczaić do tego zawodu. Uciążliwość życia na morzu wzrasta jeszcze z wiekiem. Cóż to jest za rzemiosło, które przez większą część roku nie pozwala człowiekowi przestąpić progu swego domostwa? Z chwilą wyjazdu na morze niepodobna już wiedzieć, co się dzieje w domu. Można było wnioskować że Hagberda znużyły dalekie podróże; tymczasem najdłuższa, jaką kiedykolwiek odbył, trwała dwa tygodnie, które spędził przeważnie na zakotwiczonym statku, szukając schronienia przed niepogodą. Gdy tylko jego żona odziedziczyła dom i kapitał mogący ich wyżywić (po nieżonatym stryju, który zrobił trochę pieniędzy na węglu), kapitan rzucił dowództwo węglarki obsługującej wschodnie wybrzeże, mając uczucie, że ucieka z galer. Po wszystkich tych latach służby byłby mógł zliczyć na palcach u rąk dni, które spędził, nie sięgając wzrokiem brzegów Anglji. Nie wiedział jak to bywa, kiedy dna zgruntować nie można. „Nie zajechałem nigdy dalej niż osiemdziesiąt

sążni od brzegu“ — brzmiała jedna z jego przechwałek.

Bessie Carvil wysłuchiwała tego wszystkiego. Przed domkiem rósł karłowaty jesion; w letnie popołudnia Bessie wynosiła krzesło na trawnik i zasiadała na niem z robotą. Kapitan Hagberd, odziany w płótno żaglowe, opierał się na szpadlu. Kopał dzień w dzień w swoim ogródku przed domem. Rok rocznie przekopywał cały grunt po kilka razy, ale „tymczasem“ nic tam sadzić nie zamierzał.

Bessie Carvil wyłuszczał to jaśniej: „Nic nie posadzę do jutra, póki nasz Harry nie wróci“. A ona słyszała już tylekroć ową formułę pełną nadziei, że budziło to tylko w jej sercu mglistą litość dla starca nie tracącego otuchy.

Wszystko się odkładało w ten sposób i wszystko tak samo przygotowywało się na jutro. Kapitan miał pudełko pełne paczuszek z nasionami kwiatów, aby było w czem wybierać przy obsadzaniu ogródka. „Harry z pewnością będzie się liczył z twojem zdaniem, moja droga“ — nadmieniał kapitan Hagberd, stojąc z drugiej strony ogrodzenia.

Panna Bessie nie podnosiła głowy z nad szycia. Słyszała to wszystko już tyle razy. Ale niekiedy wstawała, odkładała robotę i podchodziła zwolna do płotu. Te łagodne majaczenia miały jakiś urok. Kapitan zadecydował, że jego syn nie będzie zmuszony ruszyć z powrotem w świat ze względu na brak gotowego mieszkania. Przez długi czas zapełniał domek najprzeróżniejszemi meblami. Bessie wyobrażała sobie że są nowe, błyszczące od politury, ułożone stosami jak w jakim składzie. Są tam z pewnością stoły poobwijane w płótno workowe; zwoje dywanów, grube i pro-

stopadłe jak części kolumn; białe marmurowe gzymsy, połyskujące wśród mroku spuszczonych rolet. Kapitan Hagberd opisywał jej zawsze dokładnie swoje zakupy, jako osobie, która ma prawo się niemi interesować. Zarośnięte podwórze będzie można pokryć betonem... pojutrze.

— Płot moglibyśmy usunąć. Sznur do suszenia bielizny będziesz mogła powiesić dalej, za grządkami kwiatów.

Mrugał porozumiewawczo, a Bessie zlekka się czerwieniła.

W tej manji, której ulegała dzięki swemu dobremu sercu, było jednak trochę rozsądku. A jeśli jego syn kiedy wróci? Lecz nie mogła mieć nawet pewności, że ów syn istniał naprawdę; a jeśli rzeczywiście gdzieś istniał, za długo już był nieobecny. Gdy kapitan Hagberd podniecał się swemi opowiadaniami, uspakajała go, udając że mu wierzy, i śmiała się zlekka aby uspokoić swoje sumienie.

Raz tylko usiłowała z litości zamącić tę nadzieję skazaną na zawód, ale skutek owej próby bardzo ją przestraszył. Twarz kapitana przybrała w jednej chwili wyraz zgrozy i niedowierzania, jakby ujrzał niebiosa pękające na dwoje.

— Ty — ty — ty przecież nie myślisz, że on utonął!

Bała się przez chwilę żeby nie stracił zmysłów, bo gdy był w zwykłem usposobieniu, wydawał jej się bardziej normalny niż innym ludziom. Tym razem po swem gwałtownem wzruszeniu wrócił do równowagi i serdecznego, ojcowskiego tonu.

— Nie niepokój się, moja duszko — rzekł z pewną przebiegłością: — morze nie zdoła go zatrzymać. On

do morza nie należy. Żaden z nas, Hagberdów, nigdy do morza nie należał. Popatrz na mnie; przecież nie utonąłem. Zresztą on nie jest wcale marynarzem; a jeśli nie jest marynarzem, będzie musiał wrócić. Nic nie może powstrzymać go od powrotu...

Oczy jego zaczęły się błąkać:

— Jutro.

Nigdy już więcej nie dotknęła tej kwestji, z obawy aby kapitan odrazu zmysłów nie stracił. Polegał na niej. Zdawała się być jedyną rozsądną osobą w całem mieście; i Hagberd nieraz winszował sobie głośno w jej obecności, że zdobył tak zrównoważoną żonę dla swego syna. Reszta miasta — wyznał jej to raz w przystępie irytacji — jest stanowczo dziwaczna. Jak ci ludzie patrzą na człowieka, jak się odzywają! Nigdy z nikim nie mógł się zżyć w tem mieście. Nie lubi tutejszych ludzi. Nie opuściłby nigdy swych stron, gdyby się nie było okazało, że jego syn upodobał sobie Colebrook.

Potakiwała mu w milczeniu, przysłuchując się cierpliwie u płotu i migając szydełkiem ze spuszczonemi oczami. Rumieńce wybijały się z trudnością na jej matowo białą cerę, pod niedbale zwiniętemi, obfitemi włosami barwy mahoniu. Ojciec jej był rudy jak marchewka.

Bessie miała okrągłe kształty i zmęczoną, wyblakłą twarz. Gdy kapitan Hagberd rozwodził się nad tem, jak niezbędnem jest posiadanie własnego domu, gdy wychwalał rozkosze domowego ogniska, uśmiechała się zlekka samemi wargami. Domowe rozkosze ograniczały się dla niej do pielęgnowania ojca przez dziesięć najlepszych lat jej życia.

Zwierzęcy ryk, wydostający się z górnego okna,

przerywał ich rozmowę. Bessie zaczynała natychmiast zwijać szydełkową robótkę albo składać szycie bez najlżejszej oznaki pośpiechu. Tymczasem głos wyjący i ryczący jej imię nie zamilkał, tak że rybacy, wałęsający się po tamie z drugiej strony drogi, odwracali głowy ku domkom. Bessie wracała powoli przez frontowe drzwi, i w chwilę potem zapadało głębokie milczenie. Niebawem ukazywała się znów, prowadząc za rękę człowieka niezgrabnego i nieobrotnego jak hipopotam, o twarzy złej i skwaszonej.

Był to wdowiec, dawniej przedsiębiorca okrętowy, którego przed laty zaskoczyła ślepota w pełni pracy. Zachowywał się wobec córki, jakby była odpowiedzialna za nieuleczalność tego kalectwa. Słyszano nieraz gdy ryczał w niebogłosy — jakby rzucając wyzwanie niebu — że teraz już go nic nie obchodzi: zarobił dosyć pieniędzy, żeby dzień w dzień mieć jaja z szynką na śniadanie. Dziękował ża to Bogu szatańskim tonem, jak gdyby Mu urągał.

Kapitan Hagberd miał tak niekorzystne wyobrażenie o swoim lokatorze, że powiedział raz pannie Bessie:

— To bardzo dziwaczny człowiek, moja duszko.

Bessie robiła tego dnia na drutach, kończąc parę skarpetek dla ojca, gdyż należało to do jej obowiązków. Nienawidziła roboty na drutach, i ponieważ była właśnie przy pięcie, musiała trzymać oczy na skarpetce.

— Naturalnie że byłoby zupełnie inaczej, gdyby musiał się troszczyć o przyszłość syna — ciągnął kapitan z pewnem roztargnieniem. — Dziewczyny, oczywiście, tyle nie potrzebują — hm — hm. Nie uciekają z domu, moja duszko.

— Nie — odrzekła spokojnie panna Bessie.

Kapitan Hagberd zachichotał wśród kopców porytej ziemi. W swym marynarskim stroju, z twarzą schłostaną przez wichry i brodą jak u ojca Neptuna, przypominał zdetronizowanego bożka, który trójząb na szpadel zamienił.

— On pewnie uważa, że cię już do pewnego stopnia zabezpieczył. To jest właśnie dobra strona córek. A jeśli chodzi o mężów dla nich... — Tu mrugnął znacząco. Panna Bessie, zatopiona w robocie, zaczerwieniła się lekko.

— Bessie! Kapelusz! — wrzasnął nagle stary Carvil.

Siedział pod drzewem niemy, bez ruchu, jak jakie bóstwo, przedmiot szczególnie potwornego bałwochwalstwa. Nie otwierał wcale ust, chyba tylko po to aby wrzeszczeć na nią, do niej, czasami także i o niej, a wówczas nie znał miary w wymyślaniu. System Bessie polegał na tem, że nigdy mu nie odpowiadała; wrzeszczał póki mu nie usłużyła — póki go nie potrząsnęła za ramię lub nie włożyła mu cybucha fajki między zęby. Należał do nielicznych ślepców, którzy palą.

Gdy poczuł że Bessie wkłada mu na głowę kapelusz, zamilkł natychmiast. Potem wstał i wyszli razem przez furtkę. Opierał się ciężko na jej ramieniu. Podczas tych powolnych, uciążliwych spacerów miało się wrażenie, że Bessie wlecze za pokutę brzemię tej bezkształtnej, wielkiej postaci. Zwykle przechodzili odrazu przez drogę (domki stały w polu blisko portu, jakieś dwieście yardów od końca ulicy) i przez długi, długi czas było ich widać, jak wstępowali nieznacznie po drewnianych schodach, wiodących na szczyt grobli. A grobla ciągnęła się ze wschodu na

zachód, zasłaniając Kanał, podobna do zaniedbanego kolejowego nasypu, po którym żaden wagon nie toczył się nigdy za ludzkiej pamięci. Gromadki krzepkich rybaków wyłaniały się na tle nieba, szły jakiś czas wzdłuż wału i zapadały się nieśpiesznie. Brunatne ich sieci, jak pajęczyny olbrzymich pająków, leżały na lichej trawie zbocza; a ludzie z miasta, stojąc u końca ulicy, rozpoznawali oboje Carvilów po ich pełznącym, wolnym chodzie. Hagberd kręcił się bez celu naokoło swych domków i podnosił głowę od czasu do czasu, aby się przekonać jak tych dwoje radzi sobie na spacerze.

Kapitan umieszczał wciąż ogłoszenia w niedzielnych dziennikach, poszukując Harry'ego Hagberda. Objaśniał Bessie, że „te płachty“ czytane są wszędzie zagranicą, aż po krańce świata. A jednocześnie zdawał się myśleć iż jego syn jest w Anglji — tak blisko Colebrook, że oczywiście zjawi się „jutro“. Bessie, nie przytakując mu wyraźnie, tłumaczyła, że w takim razie wydatki na ogłoszenia są zbyteczne; kapitan Hagberd postąpiłby lepiej, obracając te pół korony tygodniowo na własne potrzeby. Dodawała, że nie ma pojęcia, z czego kapitan żyje. Jej argumenty wprawiały go w zakłopotanie i przygnębiały na jakiś czas. „Wszyscy tak robią“ — podnosił. Cała kolumna poświęcona jest zawsze poszukiwaniu zaginionych krewnych. Przyniesie gazetę i pokaże jej. I on i jego żona zamieszczali ogłoszenia latami, ale żona była kobietą niecierpliwą. Wieści z Colebrook przyszły akurat na drugi dzień po jej pogrzebie; gdyby nie wielka jej niecierpliwość, byłaby tu z nimi i wiedziałaby, że ma przed sobą już tylko dzień czekania.

— Ty, kochanie, nie jesteś wcale niecierpliwa.

— Czasem to brakuje mi z panem cierpliwości — odpowiadała.

Choć poszukiwał jeszcze syna przez gazety, nie obiecywał już nagrody za informacje; z mętną świadomością spaczonego mózgu wpoił sobie niewzruszone przekonanie, że osiągnął na tej drodze już wszystko czego można się było spodziewać. Nic więcej nie mógł sobie życzyć. Chodziło właśnie o Colebrook, pocóż dowiadywać się jeszcze? Panna Carvil chwaliła kapitana za rozsądek i oddziaływała na niego kojąco, podzielając jego nadzieje, które się obróciły w złudzenia, współczując jego manji, która zasłoniła przed nim prawdę i rzeczywistość — zupełnie tak samo jak inna choroba zamknęła oczy tamtego starca w sąsiednim domku na światło i piękno świata.

Natomiast wszystko co kapitan mógł sobie tłumaczyć jako zwątpienie — czy to zbyt chłodne potakiwania Bessie, czy poprostu brak uwagi z jej strony, gdy snuł swoje plany domowego ogniska z odzyskanym synem i synową — wszystko to irytowało go do tego stopnia, że miotał się i ciskał, rzucając spodełba złe spojrzenia. Wbijał szpadel w ziemię i chodził przed nim tam i z powrotem. Panna Bessie nazywała to jego humorami. Groziła mu palcem. Gdy po rozejściu się z nią w napadzie złości zobaczył ją znowu, wypatrywał z pod oka najlżejszej zachęty z jej strony, aby zbliżyć się do żelaznej barjery i nawiązać znowu ojcowskie i opiekuńcze stosunki.

Mimo całej zażyłości, która trwała już od kilku lat, nie rozmawiali z sobą nigdy nie przedzieleni barjerą lub płotem. Opisywał jej wszystkie wspaniałości nagromadzone dla urządzenia przyszłego ich domu, ale nie zaprosił jej ani razu aby je obejrzała. Żadne

ludzkie oko nie mogło na nich spocząć, póki Harry ich nie zobaczy. Właściwie to nikt nigdy nie był w domku Hagberda; kapitan chodził sam koło swego gospodarstwa i strzegł tak zazdrośnie przywileju syna, że drobne przedmioty domowego użytku, które czasem w mieście kupował, przemycał chyłkiem przez frontowy ogródek pod swem płóciennem ubraniem. Potem, ukazując się znowu, usprawiedliwiał się przed Bessie:

— To tylko kociołek, moja duszko.

A Bessie, jeśli nie była zanadto zmęczona codziennem harowaniem, lub wydręczona przez ojca do ostatecznych granic, śmiała się do niego i mówiła z rumieńcem:

— Dobrze, dobrze, panie kapitanie; ja tam niecierpliwa nie jestem.

— No, moja duszko, niedługo już będziesz czekała — odpowiadał z nagłym przypływem nieśmiałości i wyglądał na zaniepokojonego, jakby podejrzewał, że coś jest gdzieś nie w porządku.

Co poniedziałek płaciła mu komorne poprzez barjerę. Chwytał łapczywie szylingi. Żałował każdego pensa, który musiał wydać na swoje potrzeby, a gdy rozstawał się z Bessie aby iść po zakupy, już na ulicy zachodziła zmiana w jego zachowaniu. Poza osłoną jej litości czuł się narażony na wszystko i bezbronny. Szedł pod murami, ocierając się o nie ramieniem. Nie dowierzał ludziom dziwakom, a jednak w owych czasach już nawet dzieci przestały wołać na niego, a kupcy obsługiwali go bez słowa. Najlżejsza aluzja do ubrania wprawiała Hagberda w szczególny lęk i zakłopotanie, jakby to były przytyki zupełnie nieuzasadnione i niezrozumiałe.

Jesienią ulewa bębniła o jego odzienie z żaglowego płótna, tak przesiąknięte wodą, że sztywne prawie jak blacha żelazna i ociekające kroplami deszczu. Kiedy było zbyt brzydko na dworze, chronił się na ganeczek i stojąc tuż przy drzwiach, patrzył na swój szpadel wbity w ziemię w środku ogródka. Grunt był już tylekroć przekopany, że późną jesienią przemieniał się w bagno. Gdy mróz ściął ziemię, kapitan był niepocieszony. Co powie Harry? A ponieważ o tej porze roku staruszek nie mógł korzystać zbyt wiele z towarzystwa Bessie, ryki nawołującego jej starego Carvila, zgłuszone przez zamknięte okna, niezmiernie go drażniły.

— Dlaczego ten dziwak nie weźmie dla ciebie służącej? — spytał niecierpliwie pewnego ciepłego popołudnia, gdy Bessie zarzuciła coś na głowę aby wybiec do ogródka.

— Nie wiem — odrzekła ze znużeniem blada Bessie, patrząc wdal z pod ciężkich powiek siwem, obojętnem spojrzeniem. Oczy miała zawsze podsiniałe, i zdawało się że nie widzi przed sobą żadnej zmiany ani też końca.

— Poczekaj aż wyjdziesz zamąż, moja duszko — rzekł jej jedyny przyjaciel, przysuwając się bliżej do płotu — Harry weźmie dla ciebie służącą.

Jego obłąkańcza otucha zdawała się naigrawać z jej beznadziejności tak gorzko i tak dotkliwie, że w porywie nerwowej irytacji chciało jej się wprost krzyknąć na niego. Lecz odrzekła mu tylko, jakby był normalnym człowiekiem, szydząc z samej siebie:

— Ależ, panie kapitanie, pański syn może wcale na mnie spojrzeć nie zechce.

Odrzucił głowę wtył i zaśmiał się sztucznie gardłowym, gniewnym bełkotem.

— Co też ty opowiadasz! Mój chłopiec! Nie chciałby spojrzeć na jedyną rozsądną dziewczynę w obrębie kilku mil? A jak ci się zdaje, od czegóż ja tu jestem, moja duszko — moja duszko — moja duszko?... Jeszcze czego! Poczekaj tylko. Poprostu tylko poczekaj. Przekonasz się jutro. Już ja mu —

— Bessie! Bessie! Bessie! — zawył z wnętrza domku stary Carvil. — Bessie! moja fajka!

Ślepy tłuścioch oddawał się iście rozpustnemu lenistwu. Nie chciało mu się podnosić ręki i sięgać po przedmioty, które Bessie umieszczała mu zawsze pod bokiem. Nie chciało mu się poruszyć żadnym członkiem, ani wstać z krzesła, ani zrobić kroku w tym pokoju (gdzie umiał się ruszać równie dobrze, jakby miał zdrowe oczy) nie wzywając Bessie i nie zwieszając się u jej ramienia całym swym ohydnym ciężarem. Nie przełknął nic, jeśli jej przy nim nie było. Wyolbrzymiał swą bezradność i swą niedolę, aby uczynić z córki jeszcze uleglejszą niewolnicę. Bessie stała chwilę bez ruchu, zaciskając zęby w ciemności, poczem odwróciła się i weszła powoli do domku.

Kapitan Hagberd powrócił do swego szpadla. Krzyki w willi Carvila ustały, i po chwili ukazało się światło w oknie saloniku na parterze. Jakiś człowiek idący od końca ulicy pewnym, nieśpiesznym krokiem, minął domki, ale spostrzegł widać kapitana Hagberda, bo wrócił parę kroków. Zimny, biały blask ociągał się jeszcze na zachodniem niebie. Nieznajomy oparł się o furtkę.

— Pan jest pewnie kapitanem Hagberdem — rzekł ze swobodą i pewnością siebie.

Stary zawrócił na pięcie i wyciągnął szpadel z ziemi — spłoszony tym obcym głosem.

— Tak, to ja — odrzekł nerwowo.

Tamten, uśmiechając mu się prosto w twarz, wyrzekł bardzo powoli:

— Zdaje mi się, że to pan szuka syna przez ogłoszenia?

— Mojego syna Harry'ego — mruknął kapitan Hagberd, zapominając o swej nieufności. — On wraca jutro.

— Cóż znowu! — zdumiał się nieznajomy i ciągnął dalej, zmieniwszy ton nieznacznie: — Ale broda to panu wyrosła jak samemu świętemu Mikołajowi.

Kapitan Hagberd przysunął się nieco bliżej i pochylił naprzód, opierając się na szpadlu.

— Idź pan w swoją drogę — rzekł nieśmiało z urazą, gdyż bał się zawsze żeby się z niego nie wyśmiewano. W każdym stanie ducha, nie wyłączając obłąkania, równowaga polega na szacunku dla samego siebie. Naruszenie tego uczucia sprawia człowiekowi dotkliwą przykrość; a kapitan Hagberd żył wśród pewnych ustalonych wyobrażeń i cierpiał nad tem, jeśli drwiące uśmiechy naruszały jego świat. Tak, ludzkie śmiechy były straszne. Wskazywały że coś jest nie w porządku; ale co? Nie umiał tego powiedzieć; a oto ten nieznajomy drwił sobie z niego najwidoczniej — przybył umyślnie aby z niego szydzić. Kapitan czuł się zawsze bardzo nieswojo wśród ludzi, ale nigdy mu jeszcze tak nie ubliżono.

Nieznajomy, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo mu grozi rozwalenie głowy szpadlem, rzekł poważnie:

— Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam? Zdaje mi się że z temi pana wiadomościami to nie wszystko jest w porządku. Możeby mnie pan tak wpuścił?

— Wpuścić *pana?* — wyszeptał stary Hagberd z niewypowiedzianym wstrętem.

— Mógłbym panu opowiedzieć trochę prawdziwych wiadomości o synu — i to najświeższych — jeśli pan ma ochotę ich posłuchać.

— Nie chcę — krzyknął Hagberd. Zaczął chodzić nieprzytomnie tam i z powrotem, trzymając szpadel na ramieniu i gestykulując wolną ręką. — Zjawia się tu taki drab, taki kpiarz, i mówi że coś jest nie w porządku. Mam lepsze wiadomości niż się panu wydaje. Wiem wszystko co mi jest potrzebne. I przez długie, długie, długie lata wiedziałem tyle ile mi było trzeba aby przetrwać do następnego dnia. Wpuścić pana, jeszcze czego! Coby Harry na to powiedział?

Postać Bessie ukazała się czarną sylwetą na tle parterowego okna i z trzaskiem otwierających się drzwi wypadła przed domek Carvilów, cała ciemna z czemś białem na głowie. Dwa głosy, które zaczęły nagle na dworze rozmawiać (usłyszała je z pokoju), przejęły ją takiem wzruszeniem, że nie mogła z siebie głosu wydobyć.

Kapitan Hagberd zdawał się szukać wyjścia z klatki. Nogi jego chlupotały w kałużach, które były rezultatem jego pracowitości. Potykał się o dziury w zniszczonej murawie. Nagle podbiegł naoślep ku ogrodzeniu.

— No, no, tylko spokojnie — rzekł z powagą człowiek u furtki, wyciągając ramię i chwytając go za rękaw. — Ktoś chciał pana nabrać. Oho, cóż to za strój ma pan na sobie? Słowo daję, to przecież żaglowe płótno od burzy! — Roześmiał się gromko. — Ależ dziwak bo dziwak z pana!

Kapitan Hagberd wyrwał się nieznajomemu i zaczął się cofać lękliwie.

— To tylko na tymczasem — mruknął zgnębionym głosem.

— Co mu jest? — zwrócił się nieznajomy do Bessie z najzupełniejszą poufałością, rozważnym, po jednawczym tonem. — Nie chciałem starego nastraszyć. — Zniżył głos, jakby ją znał od lat. — Zaszedłem po drodze do fryzjera, żeby mię za dwa pensy ogolił, i tam mi powiedzieli, że on jest trochę dziwak. Stary był dziwakiem przez całe życie.

Kapitan Hagberd, spłoszony aluzją do swego ubrania, wycofał się i wrócił do domku, zabierając z sobą szpadel. Tamci dwoje u furtki, zaskoczeni nagłem trzaśnięciem drzwi, usłyszeli jeszcze łoskot zasuw, stuk zamka i echo nienaturalnego, bełkotliwego śmiechu za drzwiami.

— Nie chciałem go wcale zdenerwować — rzekł nieznajomy po krótkiem milczeniu. — Cóż to wszystko ma znaczyć? On przecież zupełnym warjatem nie jest.

— Gryzł się przez długie lata z powodu zaginionego syna — rzekła cicho Bessie, jakby go chciała usprawiedliwić.

— No więc ja jestem jego synem.

— Harry! — krzyknęła — i zamilkła.

— Pani zna moje imię? Pani przyjaźni się pewnie ze starym, co?

— On jest naszym gospodarzem — wyjąkała Bessie, chwytając się żelaznej barjery.

— Te dwie królicze klatki z pewnością są jego? — zauważył pogardliwie młody Hagberd — to akurat coś z czego mógłby być dumny. A może mi pani powie, kto to ten facet, który jutro przychodzi? Pani musi

coś o tem wiedzieć. Mówię pani że to tylko nabieranie starego — i nic więcej.

Nie odpowiedziała mu, bezradna wobec nieprzezwyciężonych trudności, truchlejąca przed wyjaśnieniem — koniecznem, niemożliwem i przerażającem; czuła się w to wszystko wplątana — razem z jego obłędem.

— Ach, tak mi przykro — szepnęła.

— O cóż pani chodzi? — rzekł pogodnie. — Nie potrzebuje się pani o mnie bać, ja się nie zdenerwuję. To tamten się zdenerwuje, kiedy się tego najmniej będzie spodziewał. Ani mnie to grzeje ani ziębi, ale to ci będzie dopiero kawał, kiedy ten frajer wścibi tu jutro swój pysk. Nie dbam ani trochę o kabzę starego, ale prawo jest prawem. Zobaczy pani, już ja go nakryję — żeby tam był nie wiem kim!

Podszedł bliżej i górował nad nią, stojąc po drugiej stronie barjery. Spojrzał na jej ręce. Zdawało mu się że drżą, i przyszło mu na myśl: a nuż i ona bierze udział w tych machinacjach, które mają jutro jego starego omotać? Zjawił się właśnie na czas aby popsuć im szyki. Zabawiła go ta myśl; do udaremnionej intrygi odnosił się z pogardą. Ale przez całe życie traktował pobłażliwie wszelkiego rodzaju kobiece kawały. Ona doprawdy trzęsie się cała; chustka zsunęła się jej z głowy. „Biedactwo“ — pomyślał.

— Jechał go sęk, tego faceta. Przypuszczam że zmieni zdanie jeszcze przed jutrem, ale co będzie ze mną? Nie mogę łazić tu u tej furtki do rana.

Bessie wybuchnęła:

— Ależ on czeka na pana, na pana samego! To właśnie pan wraca jutro.

— Ach, więc to ja! — szepnął w oszołomieniu.

Obojgu jednocześnie jak gdyby zaparło oddech. Harry rozmyślał widocznie o tem co usłyszał; wreszcie rzekł bez rozdrażnienia, lecz z widocznem zakłopotaniem: — Nie rozumiem. Przecież ja ani nie pisałem, ani też... Mój kolega przeczytał to w gazecie i powiedział mi — dziś rano... Co? Co pani mówi?

Nadstawił ucha; Bessie szeptała pośpiesznie, a on słuchał czas jakiś, pomrukując niekiedy „tak“ i „rozumiem“. Wreszcie zapytał:

— Ale dlaczego nie dzisiaj?

— Pan mnie nie zrozumiał! — wykrzyknęła ze zniecierpliwieniem. Na zachodzie jasne pasmo światła pod chmurami zagasło. Znów się ku niej zlekka pochylił aby lepiej słyszeć, a głęboka noc pochłaniała doszczętnie szepczącą kobietę i mężczyznę słuchającego uważnie — majaczyły tylko ich twarze zbliżone poufnie, jakby sobie coś pieszczotliwie zwierzali.

Wyprostował się; szeroko-skrzydły cień kapelusza tkwił zawadjacko na jego głowie.

— Czy to nie głupia historja? — odwołał się do niej. — Jutro? No, no! Nigdy o niczem podobnem nie słyszałem. Więc to wszystko ma się stać jutro, a żadnego dzisiaj niema, o ile rozumiem.

Stała bez słowa i ruchu.

— A pani go podtrzymywała w tem dziwacznem wyobrażeniu — rzekł.

— Nigdy mu nie przeczyłam.

— Dlaczego?

— A poco miałam mu przeczyć? — broniła się. — Byłoby go to tylko unieszczęśliwiło. Zwarjowałby na dobre.

— Na dobre — mruknął Hagberd i usłyszał krótki, nerwowy śmiech Bessie.

— Cóż w tem złego? Czy miałam się kłócić z biednym staruszkiem? Łatwiej mi było samej nawpół w to uwierzyć.

— Tak, tak — rozmyślał, pojmując w lot o co jej chodzi. — Widzi mi się, że stary umiał jakoś do pani trafić przyjemnemi słówkami. Pani ma miękkie serce.

Podniosła ręce w ciemności nerwowym ruchem:

— I przecież to mogła być prawda. To była prawda. A teraz to się stało. I oto jest. Przyszło to jutro, na któreśmy czekali.

Odetchnęła głęboko, a on rzekł dobrodusznie:

— Aha, tylko że drzwi są zamknięte. Byłoby mi wszystko jedno, ale... I pani myśli, że możnaby go doprowadzić do tego żeby mnie poznał... co? Co pani mówi?... Mogłaby pani to zrobić? W tydzień, pani powiada? Hm, pewnie że paniby potrafiła — ale czy pani myśli, że mógłbym wytrzymać cały tydzień w tej zatraconej dziurze? Nigdy w życiu! Mnie trzeba albo ciężkiej pracy, albo hecy co się nazywa, albo więcej przestrzeni niż znajdzie się w całej Anglji. Byłem już raz w tem miejscu i siedziałem więcej niż tydzień. Stary poszukiwał mnie wtedy przez gazety, i koledze, który był ze mną, przyszło na myśl, żeby wyciągnąć ze starego parę gwinei — no i napisał do niego list pełen strasznych bredni. Ale kawał się nie udał. Musieliśmy wiać — i to czemprędzej. A teraz znów kolega jeden czeka na mnie w Londynie, i w dodatku...

Bessie Carvil oddychała szybko.

— Gdybym tak spróbował zastukać? — zapytał.

— Niech pan spróbuje — odrzekła.

Furtka kapitana Hagberda skrzypnęła; cień jego syna ruszył naprzód, potem zatrzymał się znowu; roz-

legł się głęboki, gardłowy śmiech, jakby starego Hagberda, tylko cichy i łagodny, trafiający wprost do serca kobiety, głaszczący jej uszy.

— On nie jest porywczy, prawda? Bałbym się go tknąć. Chłopcy mi zawsze mówią, że nie znam własnej siły.

— On? To najłagodniejsza istota pod słońcem — przerwała.

— Nie mówiłaby pani tego, gdyby pani widziała jak gonił za mną w górę po schodach z twardym rzemieniem w ręku — rzekł; — przez szesnaście lat tego nie zapomniałem.

Wybuchnął znowu miękkim, stłumionym śmiechem, który oblał Bessie warem od stóp do głów. Rozległo się kołatanie u drzwi; serce skoczyło jej do gardła.

— Hejże, tatko! Niech mnie tatko wpuści. Ja jestem Harry, naprawdę. No prędzej! Wróciłem do domu o dzień za wcześnie.

Jedno z okien na piętrze otworzyło się.

— To kpiarz i szpicel — odezwał się z góry w ciemnościach głos starego Hagberda. — Bessie, ty się z nim nie zadawaj. Toby popsuło wszystko.

Bessie usłyszała jeszcze głos Harry'ego: „Słuchaj, tatusiu" — a potem brzęczący łoskot. Okno zamknęło się z trzaskiem, i oto Harry stał przed nią znowu.

— Kubek w kubek to samo co dawniej. Wtedy o mało co nie zatłukł mnie na śmierć, żeby mi nie dać uciec, a teraz, kiedy wróciłem, rzuca mi szuflę psiakrew na łeb, żeby mnie nie wpuścić do domu. Otarła mi się o ramię.

Bessie zadrżała.

— Wszystko byłoby mi jedno — zaczął znów —

tylko że wydałem ostatnie szylingi na przejazd koleją i ostatnie dwa pensy na ogolenie się — przez szacunek dla starego.

— Czy pan jest doprawdy Harrym Hagberdem? — spytała szybko. — Może pan tego dowieść?

— Czy mogę tego dowieść? A któżby inny mógł tego dowieść? — rzekł jowialnie. — Czemże mam dowieść? I poco mam dowodzić? Niema ani jednego zakątka na całej ziemi, z wyjątkiem może Anglji, gdzieby się nie znalazł jaki mężczyzna, a jeszcze prędzej kobieta, któraby nie pamiętała mnie, Harry'ego Hagberda. Jestem do niego podobniejszy od wszystkich ludzi na świecie, i w mig mogę pani tego dowieść, jeśli pani pozwoli mi wejść za ogrodzenie.

— Niech pan wejdzie — odrzekła.

Wszedł do frontowego ogródka Carvilów. Jego wysoki cień szedł zadzierzyście, stawiając wielkie kroki. Bessie odwróciła się plecami do okna i czekała, śledząc postać, której najmaterjalniejszą częścią zdawał się być odgłos kroków. Światło padło na kapelusz, tkwiący nabakier; na potężne ramię, które zdawało się pruć ciemność; na nogę wysuwającą się naprzód. Obrócił się na pięcie i stanął bez ruchu, zwrócony twarzą do oświetlonego okna, kręcąc głową z boku na bok i uśmiechając się do siebie.

— Niech pani tylko wyobrazi sobie przez chwilę, że przykleiłem do szczęk brodę starego. Co? No jakże? Tak było już od dziecka — wykapany ojciec.

— To prawda — szepnęła do siebie.

— Ale na tem koniec podobieństwa. Z niego był zawsze taki domator. Jakże, pamiętam że łaził po domu i wyglądał jak ciężko chory już na trzy dni przed jedną z tych swoich wycieczek do South Shields po

węgiel. Miał stały kontrakt z gazownią. Myślałby kto że się wyprawia na wieloryby — na trzy lata z okładem. Ha, ha! Nic podobnego. Co najwyżej dziesięć dni na morzu. „Morski Latawiec“ był dzielnym statkiem. Czy nie piękna nazwa? Należał do wuja mojej matki...

Urwał i zapytał zniżonym głosem:

— Czy stary mówił pani kiedy, na co matka umarła?

— Tak — odrzekła gorzko panna Bessie: — z niecierpliwości.

Nie odzywał się wcale przez chwilę, a potem rzekł nagle:

— Tak się bali abym nie poszedł na złą drogę, że mnie poprostu wypędzili. Matka gderała na mnie ciągle że się wałkonię, a stary powiedział, że prędzej duszę ze mnie wytrzęsie niż mnie puści na morze. No i zanosiło się doprawdy, że tak zrobi — to też sobie poszedłem. Tak mi się widzi czasami, że urodziłem się im przez pomyłkę — tam w ich kojcu.

— A gdzież to pan powinien był się urodzić? — przerwała mu Bessie Carvil wyzywającym tonem.

— Pod gołem niebem, na jakiemś wybrzeżu, w wietrzną noc — odparł z błyskawiczną szybkością. Potem zamyślił się. — Z nich to zawsze była para dziwadeł, słowo daję, a stary pozostał takusieńki jak dawniej, no nie? Żeby mi, psiakrew, szuflę zrzucić na — — Słyszy pani? Kto to się tak drze? „Bessie“, „Bessie“. To w pani domu.

— Wołają mnie — rzekła obojętnie.

Odstąpił nabok, usuwając się ze światła.

— To pani mąż? — zapytał tonem człowieka przyzwyczajonego do schadzek. — Taki głos przydałby się na pokładzie w grzmoty i ulewę.

— Nie; to mój ojciec. Ja jestem niezamężna.

— Pani mi wygląda na ładną dziewczynę, droga panno Bessie — rzekł natychmiast.

Odwróciła twarz.

— Nie, doprawdy — czegoż on chce? Czy go kto zarzyna?

— Chce żeby mu dać herbaty. — Stała bez ruchu naprzeciw Hagberda, wysoka, z odwróconą głową i opuszczonemi, splecionemi rękami.

— Czy nie lepiej żeby pani tam poszła? — zaproponował, popatrzywszy przez chwilę na jej kark — płat olśniewająco białej skóry i miękkiego cienia nad ciemnym zarysem ramion. Chustka zsunęła się jej aż do łokci. — Za chwilę zleci się tu całe miasto. Ja trochę poczekam.

Schylił się aby podnieść jej chustkę, która upadła na ziemię; Bessie znikła. Przerzucił chustkę przez ramię, i zbliżywszy się otwarcie do okna, ujrzał potworną postać tłuściocha na fotelu, lampę nieosłoniętą kloszem, olbrzymią gębę ziewającą w wielkiej, płaskiej twarzy otoczonej sterczącemi nierówno włosami, a tuż obok głowę panny Bessie i jej postać do pasa. Krzyk ustał; roleta opadła. Harry pogrążył się w rozmyślaniu nad swem głupiem położeniem. Ojciec ma bzika; niema mowy aby się dostać do domu. Na powrót ani grosza; a tam w Londynie czeka głodny kolega, który zacznie myśleć, że Harry puścił go kantem. „Psiakrew!“ — mruknął. Pewnie że mógłby się włamać do mieszkania, ale nużby go za to wpakowali do ula bez dalszych ceregieli? Ostatecznie nie byłoby to nic wielkiego, tylko że bał się panicznie żeby go nie zamknięto, choćby przez omyłkę. Dreszcz go przeszedł na samą myśl o tem. Tupnął nogą w przemokłą trawę.

— Czem pan jest? marynarzem? — spytał nerwowy głos.

Bessie wysunęła się była z domu jak cień — przyciągnięta przez drugi zuchwały cień, czekający pod ścianą jej domu.

— Wszystkiem. Jako majtek potrafię także na kęs chleba zarobić. I tak też wróciłem tym razem.

— Skąd pan przyjechał? — spytała.

— Z pysznej biby — odrzekł — londyńskim pociągiem. Brr! Nienawidzę tego zamknięcia w wagonie. W domu to mniej mi jest przykro.

— Ach — odrzekła — to dobrze.

— Bo w domu można każdej chwili otworzyć przeklęte drzwi i pójść prosto przed siebie.

— I nigdy nie wrócić?

— Przynajmniej przez szesnaście lat — zaśmiał się. — Wraca człowiek do kojca na króliki i dostaje w łeb parszywą starą szuflą...

— Okręt nie jest znów taki wielki — zadrwiła.

— Nie, ale morze jest wielkie.

Spuściła głowę, i jakby jej uszy otwarły się nagle na głosy świata, usłyszała za wałem tamy rozkołysane wczorajszą burzą morze, rozbijające się o brzegi wśród monotonnych i uroczystych drgań, jakby cała ziemia była jednym, bijącym dzwonem.

— A zresztą — cóż, okręt jest okrętem. Kocha się go i rzuca się go; a podróż to nie małżeństwo — zacytował lekkim tonem marynarskie przysłowie.

— To nie małżeństwo — powtórzyła szeptem.

— Nie kryłem się nigdy za fałszywem nazwiskiem i nie powiedziałem jeszcze nigdy kłamstwa kobiecie. Jakiego kłamstwa? No więc właśnie *tego* kłamstwa.

Bierz mnie, albo mnie nie bierz, mówię; a jeśli mnie weźmiesz, to...

Zanucił bardzo cicho urywek śpiewki, oparłszy się o ścianę:

Oh, ho, ho, Rio,
Bądźże mi zdrowa,
Dziewczyno miła,
Jedziemy do Rio, do Rio Grande.

— To taka śpiewka z pokładu — objaśnił. Zęby Bessie zaszczękały.

— Zimno pani — rzekł. — O, tu jest pani szmatka, którą podniosłem z ziemi. — Poczuła na sobie jego ręce otulające ją ciasno. — Proszę trzymać końce — rozkazał.

— Poco pan tu przyjechał? — zapytała, powstrzymując dreszcz.

— Po pięć gwinei — odrzekł szybko. — Nasza biba trwała trochę zadługo i wpadliśmy w tarapaty.

— Piliście? — rzekła.

— Przez trzy dni, naumór; rozmyślnie. To nie jest mój zwyczaj — niech pani tego nie myśli. Nic i nikt nie może wziąć mnie za łeb — chyba, że na to pozwolę. Umiem być twardy jak skała. Mój kamrat przeczytał gazetę dziś rano i mówi do mnie: „Ruszaj, Harry; kochający rodzic czeka. Pięć gwinei murowane". No więc wytrząsnęliśmy wszystkie kieszenie na bilet. Głupi kawał, do licha!

— Zdaje mi się, niestety, że pan ma twarde serce — westchnęła.

— Dlaczego? Dlatego że uciekłem? Jakże, przecież chciał ze mnie zrobić gryzipiórka od adwokata — dla swojej własnej przyjemności. Rządził się w domu jak władca, a moja biedna matka podszczuwała go

jeszcze na mnie — prawdopodobnie dla mojego dobra. No więc — adju Fruziu — i dałem nura. Mówię pani: tego dnia co zwiałem, cały byłem w siniakach od jego wielkiej miłości. Ale z niego to było zawsze dziwadło. Niechże pani spojrzy na tę szuflę. Myśli pani, że on ma źle w głowie? Nie tak bardzo. To wypisz wymaluj mój ojciec. Chce mnie trzymać przy sobie tylko po to, żeby miał komu rozkazywać. Aleśmy wpadli porządnie z tym kolegą; a dla starego cóż to znaczy pięć gwinei — raz na szesnaście długich lat?

— Żal mi pana doprawdy. Czy pan nigdy nie pragnął wrócić do domu?

— Żeby być pisarzem u adwokata i gnić tutaj — albo w innej jakiej dziurze? — zawołał pogardliwie. — Słowo daję, gdyby tak stary osadził mnie dziś w jakim domu, rozbiłbym wszystko w puch — albo zdechłbym tam na miejscu przed końcem trzeciego dnia.

— A gdzież to pan ma nadzieję umrzeć?

— Gdzieś w lesie; na morzu; a najlepiej na szczycie jakiej góry. Dom? O tak! cały świat jest moim domem; ale przypuszczam, że umrę kiedyś w szpitalu. I cóż z tego? Każde miejsce jest dobre na śmierć, byle tylko mieć życie jak się patrzy; a byłem prawie wszystkiem co pani może sobie wyobrazić, tylko nie krawcem ani żołnierzem. Byłem konnym strażnikiem granicznym; strzygłem owce; i włóczyłem się z workiem na plecach, i polowałem na wieloryby. Pracowałem przy takielowaniu statków, i poszukiwałem złota, i obdzierałem byki ze skóry — a nieraz machnąłem ręką na więcej pieniędzy, niżby stary potrafił uciułać przez całe życie. Ha, ha!

Oszołomił ją zupełnie. Z największym wysiłkiem zdołała wymówić:

— Czas panu wypocząć.

Wyprostował się, odstępując od ściany, i rzekł surowym głosem:

— Czas mi iść.

Ale jeszcze nie odchodził. Oparł się znów o ścianę i zanucił w zadumie parę taktów jakiejś obcej melodji.

Bessie czuła, że zbiera jej się na płacz.

— To znów jedna z tych okrutnych pana śpiewek — rzekła.

— Nauczyłem się jej w Meksyku — w Sonorze — opowiadał swobodnie. — To pieśń ludzi zwanych Gambucinami. Nie słyszała pani o nich? Pieśń ludzi, którzy nie znają spoczynku. Nic ich w miejscu utrzymać nie może — nawet kobieta. Spotykał się z nimi człowiek od czasu do czasu w dawnych latach, gdzieś na skraju krainy złota, tam na północ za Rio Gila. Widziało się i tamte strony. Pewien inżynier poszukujący złota w Mazatlanie wziął mnie z sobą, żebym mu pomagał pilnować wagonów. Poręcznie mieć z sobą marynarza — w każdym wypadku. Pustynia tam a pustynia; rozpadliny w ziemi takie że dna nie widać; i góry — szczere skały sterczące wysoko jak mury i wieże kościelne, tylko że sto razy wyższe. Wąwozy pełne głazów i czarnych kamieni. Nie ujrzysz tam ani źdźbła trawy; a słońce o zachodzie takie czerwone, jakiegom nigdzie nie widział — czerwone jak krew i złe. To *jest* piękne.

— Pan chyba nie chce tam wrócić? — wyjąkała.

Roześmiał się lekko.

— Nie. To ta przeklęta kraina złota. Trzęsło mnie czasem kiedym się na toto patrzył — a niech pani nie zapomina, że była nas spora kupa ludzi; tymcza-

sem ci Gambucinowie wędrowali samotnie. Znali ten kraj, kiedy jeszcze nikt o nim nawet nie słyszał. Mieli jakiś węch do wynajdywania złota, i mieli także gorączkę złota; ale zdawało się że niebardzo im na złocie zależy. Odkryli jakie bogate złoże, a potem je porzucali; może i wzięli sobie trochę złota — tyle co na porządną bibę — i już ich nie było, szukali znów dalej. Nie zatrzymywali się nigdy tam gdzie były domy; nie mieli ani żony, ani dziecka, ani domu, a przyjaciela — nigdy. Nie można się było przyjaźnić z Gambucinem; zanadto byli ruchliwi — dzisiaj tu, a jutro — Bóg raczy wiedzieć gdzie. Nie mówili nikomu o miejscach przez siebie odkrytych, a nikt nigdy nie słyszał żeby takiemu Gambucinowi dobrze się powodziło. Nie dbali wcale o złoto; ale poszukiwanie złota, wędrówki po tym kamiennym kraju tak weszły im w krew, że nie dawało im to spokoju; i żadna kobieta żyjąca na świecie nie mogła utrzymać przy sobie Gambucina więcej niż tydzień. O tem właśnie mówi piosenka. O ładnej dziewczynie, która się starała ze wszystkich sił zatrzymać przy sobie kochanka, — właśnie Gambucina — żeby przynosił jej mnóstwo złota. Ale gdzietam! Poszedł sobie i tyle go widziała.

— Co się z nią stało? — wyszeptała Bessie.

— O tem śpiewka nie mówi. Pewnie sobie trochę popłakała. To ci były dopiero chłopy: cmoknie ją — i już go niema. Właśnie to gonienie za czemś — to coś takiego... Zdaje mi się czasem, że i ja jestem czemś w rodzaju takiego Gambucina.

— Więc żadna kobieta nie może pana zatrzymać — zaczęła twardym głosem, który załamał się nagle przed końcem zdania.

— Nie dłużej tygodnia — zażartował, grając na

strunach jej serca wesołym, czułym swym śmiechem — a jednak lubię je wszystkie. Czego jabym nie zrobił dla kobiety, dla kobiety co się zowie. Jak ja nieraz przez nie wpadałem, a ileż razy mnie ratowały! Ledwie na którą spojrzę, już się kocham. Zakochałem się w pani, panno — Bessie pani na imię, prawda?

Cofnęła się trochę i rzekła, śmiejąc się, z drżeniem w głosie:

— Nie widział pan nawet mojej twarzy.

Pochylił się naprzód z galanterją.

— Trochę pani blada; ładnie z tem niektórym. Ale przystojna z pani dziewczyna, panno Bessie.

Zatrzepotało w niej serce. Nigdy jej nikt tyle nie powiedział.

Nagle zmienił ton.

— No, głodny to zaczynam być porządnie. Nie jadłem dziś śniadania. Nie mogłaby mi pani dać trochę chleba z tego tam waszego podwieczorku, albo też —

Już jej nie było. Chciał właśnie poprosić, żeby mu pozwoliła wejść do domu. Ale wszystko jedno. Gdziekolwiek, tu czy tam, byle zjeść. Do licha ciężkiego! Co też sobie pomyśli kolega?

— Nie prosiłem pani jak żebrak — rzekł żartobliwie, biorąc kawałek chleba z masłem z talerza, który mu podawała. — Prosiłem panią jak przyjaciel. Pani wie, mój tatko jest bogaty.

— Przymiera głodem dla pana.

— A ja przymierałem głodem dla jego widzimisię — rzekł, biorąc z tacy drugi kawałek.

— Wszystko co ma na świecie chowa dla pana — broniła starego.

— Tak, jeśli tylko przyjdę i na tem zasiądę, jak parszywa ropucha w swej dziurze. Dziękuję pani!

a z tą szuflą to niby co? On miał zawsze dziwny sposób okazywania miłości.

— Mogłabym go ugłaskać w przeciągu tygodnia — podsunęła nieśmiało.

Zanadto był głodny aby jej odpowiedzieć; a Bessie, trzymając ulegle talerz pod jego ręką, zaczęła szeptać ku niemu w górę śpiesznym, zdyszanym głosem. Słuchał ze zdumieniem, jedząc coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie szczęki jego zupełnie przestały się ruszać.

— Jakto! Więc o to mu chodzi — rzekł z szyderstwem i wzrastającą pogardą. Nieopanowanym ruchem wytrącił jej talerz z ręki. Wybuchnął gwałtownemi przekleństwami.

Cofnęła sią przestraszona, opierając się ręką o ścianę.

— Niedoczekanie jego! — miotał się z wściekłością. — On się spodziewa! Spodziewa się tego po *mnie* — za swoje plugawe pieniądze!... Komu potrzebny jego dom? On wcale warjatem nie jest! Niech pani tego nie myśli. On chce tylko postawić na swojem. Chciał ze mnie zrobić nędznego gryzipiórka, a teraz chciałby mnie widzieć podłym, swojskim królikiem w kojcu! Mnie! Mnie! — Stłumiony, gniewny jego śmiech przeraził ją teraz.

— Cały świat ledwie mi starczy aby się swobodnie obracać — żebyś o tem wiedziała, ty — jak ci na imię? Bessie — a cóż dopiero nędzna klitka w jakimś kojcu. Żenić się! Chce żebym się ożenił i osiadł! Bardzo możliwe, że i dziewczynę mi wynalazł — do pioruna! A któż to ta kandydatka, jeżeli wolno zapytać?

Trzęsła się cała od bezgłośnych, suchych szlochów, ale zanadto był wzburzony i rozżalony by zauważyć jej cierpienie. Na samą myśl o tem co usłyszał gryzł

sobie palce z wściekłości. Okno się otworzyło z łos kotem.

— To kpiarz, to szpicel — wyrzekł apodyktycznie stary Hagberd miarowym tonem. Wydało się Bessie, że dźwięk jego głosu zaraża noc samą szaleństwem — że zsyła obłąkanie i klęskę na całą ziemię. — Teraz już wiem, dlaczego ci ludzie tutaj są tacy, moja duszko. To zupełnie naturalne! Przecież ten zwarjowany drab łazi tu wszędzie. Tylko się z nim nie zadawaj, Bessie, słyszysz? Bessie!

Zdawało się że oniemieli oboje. Stary wiercił się i mruczał coś do siebie u okna. Nagle krzyknął przenikliwym głosem:

— Bessie — ja ciebie widzę! Powiem Harry'emu.

Poruszyła się, niby chcąc uciec, lecz zatrzymała się i podniosła ręce do skroni. Wielki, niewyraźny cień młodego Hagberda ani drgnął, jakby był z kamienia. Nad ich głowami obłąkana noc żaliła się i wymyślała starczym głosem.

— Odpędź go, Bessie. To zwykły włóczęga. Ty potrzebujesz domu, własnego, porządnego domu. Ten człowiek nie ma domu — nie tak jak Harry. Harry przyjedzie jutro. Czy mnie słyszysz? Jeszcze jeden dzień — plótł z coraz większem podnieceniem — nic się nie bój, Harry się z tobą ożeni.

Jego obłąkany głos rozlegał się bardzo ostro na tle miarowego, głębokiego szumu fal, dudniących ciężko o zewnętrzną stronę morskiego wału.

— Będzie się musiał ożenić. Ożeni się, bo inaczej — rzucił groźne przekleństwo — wyrzucę go jutro za drzwi bez grosza w kieszeni i zostawię wszystko tobie. Zrobię to! Tylko tobie. Niech zdycha z głodu.

Okno się zamknęło.

Harry odetchnął głęboko i zbliżył się o krok do Bessie.

— Więc to pani jest tą dziewczyną — rzekł zniżonym głosem. Stała bez ruchu, wciąż nawpół od niego odwrócona, ściskając skronie rękami. — Słowo daję! — ciągnął z niewidzialnym półuśmiechem na ustach — mam wielką ochotę zostać...

Łokcie jej drżały gwałtownie.

— Na tydzień — zakończył bez pauzy.

Zakryła gwałtownie twarz dłońmi. Podszedł do niej bliziutko i ujął łagodnie jej ręce. Poczuła jego oddech na uchu.

— Wpadłem w okropne tarapaty, i właśnie pani musi mi pomóc się z tego wygrzebać. — Usiłował odkryć jej twarz. Opierała się. Puścił ją więc i spytał, odstępując nieco wtył: — Ma pani trochę pieniędzy? Muszę odjechać natychmiast.

Przejęta wstydem skinęła prędko głową, a on czekał, nie patrząc w jej stronę, gdy się pochyliła, dygocząc i szukała kieszeni w spódnicy.

— Ma pan! — wyszeptała. — Niech pan idzie, na miłość boską, niechże pan już idzie! Gdybym miała więcej — więcej — dałabym wszystko, żeby zapomnieć — żeby pan tylko zapomniał —

Wyciągnął rękę.

— Niema strachu. Ani jednej z was nie zapomniałem. Były i takie co dały mi więcej niż pieniądze — ale teraz jestem żebrakiem — a wy, kobiety, musicie mnie zawsze z biedy wyciągać.

Podszedł zamaszystym krokiem do okna od saloniku i w mętnem świetle, sączącem się przez okiennicę, spojrzał na monetę leżącą na jego dłoni. Było to pół funta. Wsunął je do kieszeni. Bessie stała nieco

z boku, z głową opadłą na piersi, jak ranna; z rękoma zwisającemi bezwładnie, jak nieżywa.

— Nie może mnie pani wkupić do domu — powiedział — a siebie nie może pani wykupić.

Uderzył się zlekka po kapeluszu, umacniając go na głowie, i w następnej chwili Bessie uczuła się porwana w potężny uścisk jego ramion. Straciła grunt pod nogami, głowa jej zwisła wtył; zasypywał jej twarz pocałunkami z milczącym i gwałtownym żarem, jakby mu było pilno dobrać się aż do samej jej duszy. Całował jej blade policzki, jej twarde czoło, jej ociężałe powieki, jej zwiędłe usta; a miarowe ciosy i westchnienia wzbierającego przypływu towarzyszyły zachłannej mocy jego ramion, oszałamiającej potędze jego pieszczot. Było to jak gdyby morze obaliło wał, chroniący wszystkie domy miasta, i wysłało falę, która ogarnęła Bessie. Fala przepłynęła; Bessie zatoczyła się i oparła plecami o ścianę, wyczerpana do cna, jakby wyrzucona przez morze po burzy i rozbiciu okrętu.

Po chwili otwarła oczy; i wsłuchując się w pewne, swobodne kroki, oddalające się ze zdobyczą, zaczęła zbierać suknie w dłoniach, patrząc wciąż przed siebie. Nagle wypadła przez otwartą furtkę na ciemną i pustą ulicę.

— Stój! — krzyknęła. — Nie odchodź!

Wsłuchiwała się z głową przechyloną uważnie nabok, nie umiejąc zdać sobie sprawy, czy to rytm przypływu czy też nieubłagany krok Harry'ego pada okrutnym ciężarem na jej serce. Wkrótce wszystkie dźwięki zaczęły słabnąć w jej uszach, jakby zwolna obracała się w kamień. Przejął ją lęk przed tem strasznem milczeniem — gorszy niż przed śmiercią. Zebrała opuszczające ją siły na ostateczne wezwanie:

— Harry!

Nie doszło jej nawet zamierające echo kroków. Nic. Nawet grzmot przypływu, głos niespokojnego morza jak gdyby ucichł. Ustały wszystkie dźwięki, zamarł wszelki rytm życia, jakby Bessie została sama jedna, zagubiona w tym kamiennym kraju, o którym jej opowiadano, w kraju gdzie snują się obłąkańcy, szukając złota, i gardzą odkrytemi skarbami.

Kapitan Hagberd stał na czatach w swym ciemnym domu. Otworzyło się okno; i w ciszy kamiennego kraju przemówił głos nad głową Bessie, wysoko w czarnem powietrzu — głos obłędu, kłamstwa, rozpaczy — głos niewygasającej nadziei.

— Czy ten kpiarz, ten szpicel już sobie poszedł? Czy go słyszysz tu gdzie, moja duszko?

Wybuchnęła płaczem.

— Nie! nie! nie! Już go nie słyszę wcale — łkała.

Zaczął chichotać tryumfująco na górze.

— Odstraszyłaś go. Dzielna z ciebie dziewczyna. Teraz już wszystko będzie dobrze. Nie niecierpliw się, moja duszko. Jeszcze jeden dzień.

W sąsiednim domku stary Carvil, wylegując się jak jaki król w swym fotelu, przy lampie palącej się na stole, wrzasnął wniebogłosy:

— Bessie! Bessie! Ty tam, Bessie!

Usłyszała go wreszcie i, jakby pokonana przez los, ruszyła chwiejnym krokiem, milcząc, z powrotem ku domowi, ku swemu dusznemu piekiełku. Nie było tam wyniosłej bramy ani straszliwego napisu o zawiedzionych nadziejach — i Bessie nie rozumiała w czem leży jej wina.

Kapitan Hagberd na górze doprowadził się stopniowo do stanu hałaśliwego szczęścia.

— Niech pan odejdzie od okna! Niechże się pan uspokoi! — żachnęła się na niego ze łzami w głosie, stojąc u progu.

Zbuntował się przeciw jej władzy, uniesiony wielką radością, że się pozbył nareszcie tego czegoś co mu bróździło. Zdawało się iż obłęd całego świata, opętany nadzieją, wyrwał się na swobodę aby napełnić zgrozą serce Bessie — obłęd zaklęty w głos tego starca, głoszącego swoją wiarę w wieczyste jutro.

SPIS RZECZY: